

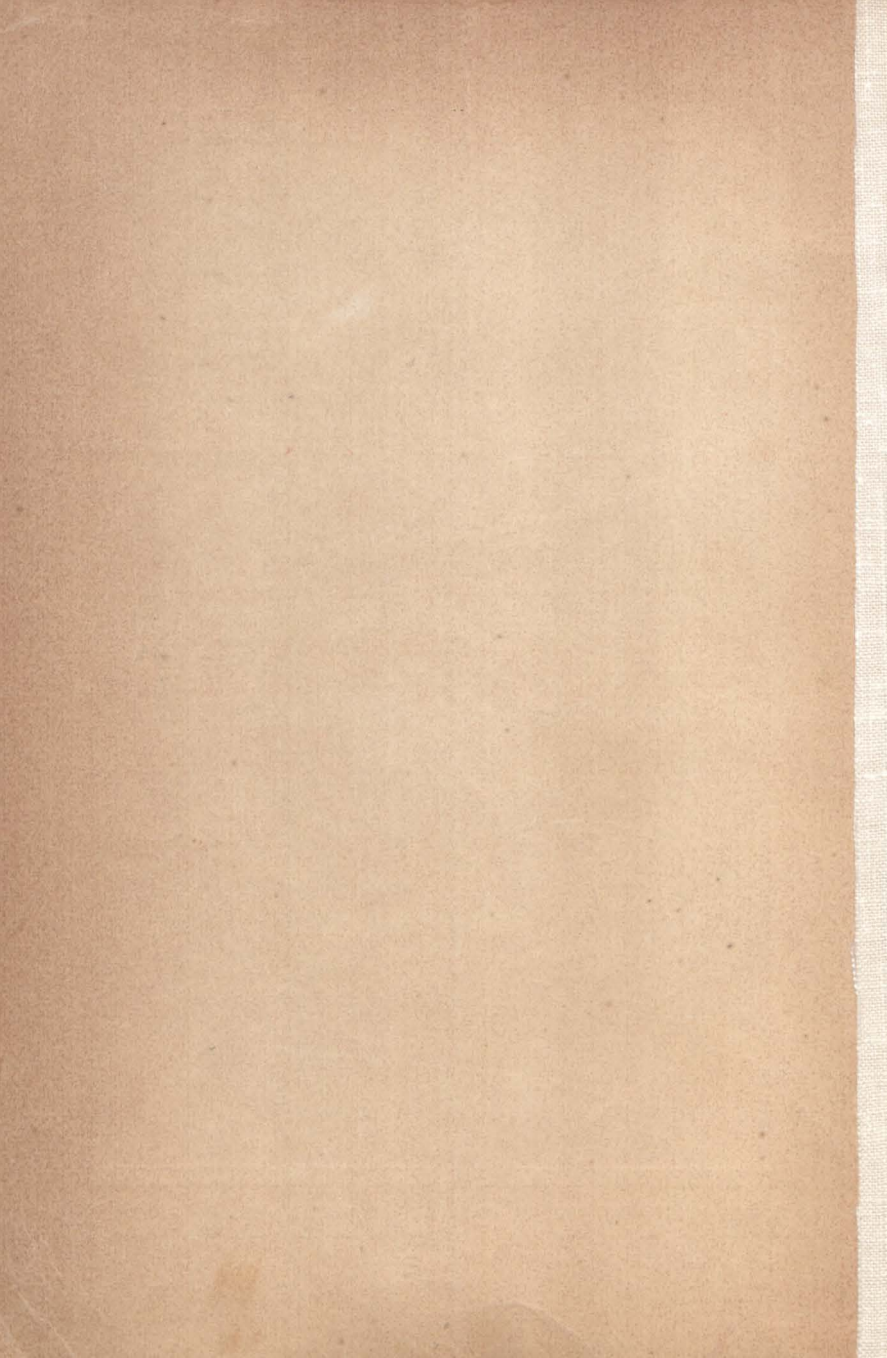
301.005
SERGIUSZ PIASECKI

SPOJRZĘ JA W OKNO...

II



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1947



„SPOJRZĘ JA W OKNO...”



„M a m i e”

SERGIUSZ PIASECKI

SPOJRZĘ JA W OKNO...



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1947

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603765



1.301.005.

EGZ. ARCHIWALNY

PRINTED IN ITALY

*Nie znam duszy zbrodniarza, znam natomiast
duszę człowieka porządnego: jest straszna.*

PASCAL

W miarę możliwości unikałem w powieści „Jabluszkó” wyrazów i zwrotów z żargonu złodziejskiego. Z uszczerbkiem dla powieści czyniłem to dlatego, żeby nie obciążać treści odsyłaczami i nie rozpraszać uwagi czytelnika... W tej powieści będę nieco obficie stosować żargon złodziejski, bo uważam, że inaczej ztracają się cechy charakterystyczne niektórych postaci tej powieści. W wypadkach łatwiejszych - tam gdzie można się orientować w znaczeniu wyrazów żargonowych z treści, nie będę stosował specjalnych objaśnień.

Zaznaczam, że żargon złodziejski, stosowany przez bohaterów tej powieści jest niejednorodny, np.: ucieczkę okręślają złodzieje wyrazami: zwiewać, urywać, plitować, drałować, piętować, nogować, dawać gwinta. Stać na warcie: być świecą, stać na stromie, stać na lipku, cynkować. Uprzedzić: dać zeks, dać cynk, dać abcyng. Rzeczy kradzione: barachło, awantyż, facjent, szmokty, ciuchy. Wywiadowca: moscer, hint, pies, legawy. Nie złodziej: fiej, karaś, frajer, żłob, szkop, cham, gad, dzwon, balon, tuman, szpagat (inteligent). Wyraz lipa ma wiele znaczeń: fałszywy paszport; lipy - fałszywe pieniądze. Są wyrazy żargonowe rzadkie, które prawie się nie zdarzają, np.: oksy - los; częstsze są takie, jak; piechota - kury.

Nie będąc językoznawcą, ani specjalistą w zakresie badań nad językiem przestępców, nie będę tego tematu rozwijał. Zresztą nie jest to teraz moim celem. Podam tylko, dla orientacji czytelnika, że powyższe wyrazy stosowane przez złodziei mińskich w tamtych czasach (akcja powieści obejmuje okres: od wczesnej wiosny 1918 roku po sierpień 1919 roku), pochodziły z różnych dzielnic Polski i Rosji, ponieważ wówczas w Mińsku, jako w dużym mieście przyfrontowym, o wielkich możliwościach dla fachowych przestępców, koncentrowali się oni z najrozmaitszych dzielnic dawnego imperium rosyjskiego.

I.

JĄŚ WKŁADA TOGE KRYTYKA LITERACKIEGO

Mrok zalewa Komarówkę. Deszcz piłuje i piłuje. Gdzieś daleko, niechętnie, niskim basem „skower” (*) się odzywa... bez powodu: dla rozrywki. Może głosu próbuje, lub otuchy sobie dodaje.

Bondarewskim zaułkiem Isaj zapycha. Łbem latarnie rozbija; nogami po błocie pisze; z parkanami się wita. Cała ulica jego Skoki (**) ma giemzowe, huzarskie, z harmonią u dołu cholew. Czapa z lakierowanym daszkiem fantazyjnie zbakierowana, a spod niej zadzierzyscie — po kozacku — pukiel włosów się czubi. Marynarka rozchełstana. Ręce w kułaki, kułaki w kieszeniach. Szalik z tyłu, jak bandera powiewa. Od razu widać: kierny (***) chojrak płynie.

Isaj to nie złodziej, ani alfons, chociaż w różnych okresach swego życia i po tych ścieżkach

* Pies; synonim: zwiaga.

** Buty; synonim: koła.

*** Podpity.

chadzał. Prędzej styrocznik: w jarmarki na Trojeckim Placu chamów w „czerwone-czarne” obrabia. A naprawdę to i nie styrocznik, a pospolity komarowski łobuz. Dziś się uchłał. Przymazał się do zarobionych chłopaków i golnął na darmochę. Teraz sunie zaułkiem, a gdy spostrzega, że z dala ktoś idzie, robi krętsze i częstsze zygzaki: zaczepki szuka — ulicy mu mało.

Bondarewski zaułek rzeczywiście jest ciasny... Ciasny, krzywy, zabłocony. Małe drewniane domki w popłochu na strony się rozbiegły, kucnęły i oczy przymknęły. Tylko gdzieniegdzie, przez szpary w drzwiach lub okiennicach, żółte ostrza światła się prześlizgują i jak w smole grzęzną w nocy... Jest to ostatnia ulica dzikiego przedmieścia Mińska, Komarówki. Ostatnia i ze względu na położenie i bezpieczeństwo. Frajery tu nawet w dzień zaglądają niechętnie; menty — w razie potrzeby — przychodzą uzbrojeni po kilku, lub kilkunastu na raz. Stąd idą jak w dżunglę tropy — nie zwierzy — myśliwych. Tropy tych, co szabrem zrywają kłódki i skoble, co wytrychami przenikają w najdalsze skrytki... Bo zwierzy — mają niezwykłą: pilnowaną przez sfory dwunogich psów tresowanych, opancerzoną w stal i prawa... Tu wracają myśliwi z łupami. Lub nie wracają długo, a czasami i nigdy... Tu żyją, bawią się, cierpią i kochają, lecz tu nie umierają nigdy. Może śmierci się wstydzą. Zwierzęta też nie umierają w gronie bliskich... A w rzeczywistości dlatego, że nie mają czasu by naturalnego końca się doczekać... Może byłby dla nich zbyt pospolity...

Isaj utonął gdzieś w mroku. Tam za ostatnią, dygocącą w mroku naftową latarnią, służącą do zgęszczania mroku i rozsiewania smutku po świecie. Natomiast ze Ślepiąńskiej ulicy Fiśko się wy-

toczył. Też pijany. Rąbnął dziś z „potoku” worek owsa i swej wiernej paserce Łai opylił. Teraz potokarz sunie na melinę i ciągle się uśmiecha, gestykuluje i z kimś rozmawia. Wesół mu i dobrze. Cały świat by do piersi złodziejskiej przycisnął i hamirą uraczył. Znaj fartowca! Gdy wypadł krętym zygzakiem w Bondarewski zaułek — najmilszy port — zerwał czapkę z głowy i potrząsając nią w powietrzu zaśpiewał:

Jeśli będziesz z blatnym żyć,
Będziesz cała złotem lśnić!
Mamo, blatnego kocham ja!
Hej — ja!
Mamo, blatnego kocham ja!

Piosenka ta spowodowała kłótnię w najbliższym domku. Mieszkało tam już dwa lata nieślubne, lecz dobrze dobrane stadło i każda prawie rozmowa kończyła się u nich kłótnią — inaczej i miesiąca by ze sobą nie wytrzymali. Byli to: farmazon Piećka Byk i doliniara Kasia Złota Trąba. Piećka Byk szeroko ziewając — serdecznie się znudził — z trudnością wyrzekł:

— Fiśko pruu — uje... Za-a-ro-biony!...

— Tak: zarobiony! — ironicznie parsknęła Kasia. Koniowi śniadanie rąbnął.

Zaczęła wciskać dłoń między uda spódnicy, oglądając jednocześnie z boku obcas lewego pantofla, co przez chwilę zaprzątnęło uwagę Piećki.

— Fiśko chłopak fartowy! — potwierdził Byk i klapnął dłoń po stole.

— Uhum... Na garnuszku u krowy — ironizowała Kasia. — A blatny z niego jak i z ciebie: od psucia powietrza. Kasia Złota Trąba łysnęła okiem ku kochankowi, oczekując wybuchu.

I nie omyliła się. Piećka poczerwieniał, pochylił w dół głowę (stał Byk) i ryknął:

— Co — o?

— To — o? — przedrzeźniła, wydymając dolną wargę Kasia i wparła się pięściami w boki. Jednocześnie rzuciła okiem po izbie: szukała odpowiedniego do obrony sprzętu. „Chyćę chyba pogrzebacz”.

Piećka Byk to egzemplarz niezwykły. Wyobraźcie sobie: morda jak na czerwono pomalowana cegła, nos nieforemny, długi jak dojrzały ogórek, a siny jak śliwa wieczorem. Uszy prawie wiszą. Oczy jak rodzyнки w żółtawych skrzepach flegmy pływające. Ani rzęs, ani brwi — taki spalony na ogniu placek. Aż dziw, że Kasia Złota Trąba w trąbę go nie puści. Kasia też nie nadzwyczajnego, ale postawna: biodrzasta, piersista i w zadzie odpowiednio rozrośnięta. Poza tym starowna ksiuta. Micę też prowadzi klawo. Niejeden gorszy fartowiec Bykowi kochanki zazdrości i na Kasię się oblizuje. Dawno by mu ją odbili, ale sama nie chce. Coś tam w nim znalazła i się przylepiła na amen.

Gdy Kasia się wparła z zaczepną miną w boki, Piećka jeszcze niżej pochylił głowę i sapnął:

— Swędzi cię skóra!... Swędzi!... Uwa-ażaj!...

— Ty, cholero, saganem nie kręć! Nie bardzo przestraszył! Naindyczył się, frajerska pało! — piszczala Kasia, kręcąc zaczepnie zadem, a podbródkiem jakby powietrze wierząc.

— Oj, uważaj! uważaj! — rzeził Byk. — Bo ci japę zalakuję!

— Aha: zalakujesz! Znam ciebie: odważnys jak stary Abram, co przez lufcik na rudego psa krzyczał... Za — la — ku — jesz...

Kasia, sypiąc błyskawice z oczu, zadreptała ku Bykowi i jeszcze wyżej zadarła podbródek.

— Oj, zalakuje! — coraz ciężej sapał blednąc Byk.

— Jak ryba ściśnie, rak piśnie, kura plunie, krowa frunie... Nie podoba mu się. Grojse ganef! Wielki zahapiora, groźny Warawa!... Zapomniał już jak kurze w dupę dmuchał!

Aluzja była zrobiona do dawnego zajęcia kochanka, który jako przekupień po wsiach chadzał. Teraz tego się wstydził. Piecka Byk nie wytrzymał: wytrzeszczył oczy i powoli podniósł się z krzesła. Mówić już nie mógł, tylko sapał.

— Oho, jak się naindyczyl!... Nie podoba mu się! — piszczała Kasia, coraz zaczepniej wydymając wargi.

Piecka Byk zrobił krok naprzód, poruszając palcami u rąk, jakby je nagle oparzył. Kasia też naprzód stąpiła.

— Widzisz go: znalazł fartowca! Fiśko i fartowiec!

— Fartowiec!! — huknął Byk.

— Aha — pisnęła Kasia. — Sam w barchanowym krawacie chodzi, a jego szmara w cajgowych majtkach!... Fartowiec!... Włóczy się luje jak dym po dachach. Tehórza w kurnikach zastępuje. Babom całą piechotę wydusili! Błatniacy! Szuja!...

I znów zrobili dwa kroki naprzód. Byk coraz więcej bladł i pośepniał, Kasia czerwieniła i zapalała się. Byk stracił mowę i ciężko oddychał. Kasia trajkotała coraz żywiej. I na pewno kłótnia by się skończyła biciem naczyń i łamaniem sprzętów (siebie najmniej uszkodzali), lecz do drzwi zapukano. Stało się to w ostatniej chwili (jak zwykle się dzieje w powieści), gdy prawie już się dotykali łbami. To gospodyni mieszkania, Katarzyna Sperda, przyszła do Kasi, czegoś tam pożyczyć od niej. Kasia poszła odemknąć drzwi,

a Byk powoli wrócił na miejsce i ciężko klapnął w krzesło, ocierając odwrotną stroną dłoni spoczone czoło.

A winowajca tego zajścia, Fiśko, szeroko rozpuścił chody i pruł dalej Bondarewskim zaułkiem, aż spod butów błoto daleko na cztery strony świata pryskało. W pewnej chwili drogę mu zaskoczył swawolny, ciepły, zachodni wiatr. Jak żagiel wydał marynarke i ruch zahamował. Fiśko się pochylił naprzód: do ataku. Chciał złamać niespodziany opór. Lecz wiatr sprytnie na bok się uchylił i Fiśko, tracąc równowagę, okręcił się na pięcie i zadem soczyście i smacznie chlapnął w kałużę... Aż z brzegów wystąpiła... Katakлизм!...

Złodziej westchnął. Potem roześmiał się... Siedzieć było wygodnie i miękko, a zimna od wody nie odczuwał, bo alkohol potężnie go rozgrzewał... Siedziałby tak może i długo, lecz znów wiatr nadleciał (może robotę obejrzeć) i nakrycie głowy mu zdmuchnął... Ach ten wiatr!... Więc czapczyna zaczęła hardo po kałuży żaglować. Tego Fiśko nie mógł już wytrzymać: zaklął i kilkakrotnie usiłował bezskutecznie uwolnić się z błotnej kąpieli. Wreszcie to mu się udało. Porwał czapkę z wody i, stojąc pośrodku kałuży, w ociekającym błotem ubraniu, nucił triumfalnie po Komarówce:

Blatny obrabia frajerów,

Ja z ciuchami do pasera.

Mamo, blatnego kocham ja!

Hej, ja!

Mamo, blatnego kocham ja!

Jaś przerwał czytanie rękopisu i zapalił papierosa.

— Jak ci się to podoba? — spytał chłopca Oby-

watel, który, uważając go za najinteligentniejszego z tego towarzystwa, w którym obecnie się obrażał, dał mu do przeczytania pierwszą część swej powieści z życia przestępców, którą obecnie pisał.

— Nie podoba mi się wcale — odparł szczerze Jaś.

— Co ci się nie podoba?

— Wszystko, od tytułu zaczynając... Cóż to za nazwa powieści: „Mgła”?

— Ja nad nazwą długo myślałem — rzekł Obywatel — i tę właśnie wybrałem, jako najodpowiedniejszą. Nasuwały mi się inne tytuły, o wiele ładniejsze, czy ciekawsze, ale odrzuciłem wszystkie i ten wybrałem... Bo ja, rozumiesz, piszę o świecie zupełnie nieznanym, a okropnie zakłamanym. Dla zwykłego obywatela życie przestępców jest mniej znane, niżli życie buszmenów. Nawet prawnicy i socjologowie tylko zielone mają o nim pojęcie, które się składa z samych bzdur i bajek. Dla zwykłych obywateli przestępca zawodowi to są ludzie z mgły, o których tym mniej wiedzą, im więcej przeczytają różnych kryminalnych powieści. To im ostatecznie wszystko wypaczy.

— A po co ci to pisać?

— Chcę powiedzieć prawdę o tych ludziach, o których mówią i piszą świadomie i nieświadomie same kłamstwa.

— Po co ta prawda jest potrzebna? Po co i komu?

— Przede wszystkim potrzebna jest samym przestępcom, aby pokazać ludziom szlachetnym, że ich wydziedziczeni bracia też są ludźmi, w których więcej jest bólu, niż złej woli. Poza tym dla przyszłości. Dla ludzi mądrych, którzy będą szukać prawdy o czasach przeszłych i o różnych odcinkach życia ludzkiego. Dla tych, którzy zechcą

krzawić i pogłębiać wiedzę o człowieku... Ja chcę powiedzieć publicznie, że przestępcy to są tylko ludzie nieszczęśliwi. Że winą za ich zbrodnie powinna być rozłożona między wszystkich obywateli, którzy nie potrafili uchronić ich od tego strasznego losu. O tym będę pisał. Powiem ludziom wiele prawdy o tych, których wyrzucono za burzę życia normalnego... Ja sam się czuję winnym wobec nich... Nasza obojętność i surowość dla nich są naprawdę zbrodnią. Podłe, okrutne... Nie mogę bez obrzydzenia przypomnieć sobie siebie samego, jak występowałem kiedyś w sądzie, jako przysięgły, w liczbie dwunastu innych przysięgłych. Sądziłszy młodego chłopca za zabójstwo ojca. Zabił go siekierą i sam przyszedł na policję. W sądzie nie z niego nie można było wydobyć do sensu. Mówił, że go diabeł opętał i wciąż płakał. Z zeznań świadków też mało co można było się dowiedzieć. Prokurator kokietując obecne na sali damy, machnął świetną mówkę. Myśmy zgodnie oświadczyli: winien. I chłopca posłano w katorgę, na bezterminowe. Słowem, wydarliśmy go z życia. Zniszczyli na zawsze...

Niedawno zaczęłem się zastanawiać nad tamtą sprawą. Przypomniałem sobie pewne szczegóły: że ojciec często wracał pijany i bił matkę i młodszego rodzeństwo. Świadkowie nazywali to: „lubił stary pouczyć”. Syn był zawsze trzeźwy i pracowity. I wiele innych doszło szczegółów. Wówczas wytworzył się we mnie zupełnie inny obraz. Ojciec: tyran, despota, katował rodzinę po pijanemu. Kiedyś syn wystąpił w obronie siebie, matki lub młodszego rodzeństwa. Przerwało się w nim może to, co widział, co przecierpiał przez wiele lat. Nadeszła „zła chwila”, w której zaślepienie i siekiera przecięły niemożliwą do zniesienia sytu-

cję... Kto winien? To jest pytanie właściwe... Kto winien temu poza ciemnotą i nędzą?... Bo to jest nasza wspólna wina... Kto bardziej winien z tamtych dwóch... Zabójca czy zabity?... Może zabity?... A kto będzie sądził tych sytych, inteligentnych byków, którzy urządzili sobie teatr z ludzkiej tragedii i świadomie do tamtej zbrodni dołączyli jeszcze jedną... Na jakie piekło na ziemi skazaliśmy tamtego człowieka?... Skazaliśmy i poszli dumnie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Czy była chociaż jedna próba zagłębienia się w duszę tamtego człowieka... Psia krew!...

I nikt nie przypomniał sobie słów Chrystusa: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni!”...

Obywatel zamilkł. Był widocznie zmęczony i zniechęcony. Waga i zawilość tematu, który poruszył, jakby przygniotły go. Złożył wpół rękopis i wsadził do bocznej kieszeni, brudnego, zniszczonego palta. Jasiowi udzielił się ten nastrój. Po dłuższej chwili chłopiec się odezwał:

— Nikt twej powieści, jeśli będziesz tak pisał, nie wydrukuje. Powiedzą, że występujesz w obronie przestępstwa.

Obywatel nagle dostał wypieków na twarzy i widocznie się zdenerwował.

— Może to powiedzą... Ludzie są podli... Ja występuję i będę występował w obronie sprawiedliwości... Dość mam podłości na sumieniu... Podle żyłem: syty, obojętny, bezpieczny, wówczas, gdy inni głodowali i kraść musieli to, co im słuszenie się należało... Nikt mnie tak życia nie nauczył, jak złodzieje... Jeden to mi powiedział kiedyś tak (wówczas siedziałem w Orle w więzieniu): „Jak się pan urządzał, aby żyć poczciwie i w ogóle w kryminale nie siedzieć?”... Dla niego było dziwne, że ja dopiero w 53 roku życia i to

wskutek rewolucji do kryminału trafiłem... — Obywatel się uśmiechnął. — Przypomniałem sobie kiedyś, jak studentem będąc, siedziałem przy oknie i przyglądałem się piłującym drzewo na podwórzu aresztantom. Podwórzem szła jakaś dobrze ubrana, tęga pani. Mineła więźniów, lecz wnet się zatrzymała, wyjęła pięć kopiejek, podeszła do jednego z pracujących i rzekła uroczyście:

— Macie, w imię Chrystusa!

Więzień, któremu dawała pieniądze, cofnął rękę i nagle rzekł złym, chrapliwym głosem:

— Ty, paniusiu, Chrystusem sobie pyska nie wycieraj. To nie twój brat! Nie dla ciebie przyszedł! Ty dasz 5 kopiejek, nagadasz na 50, nosa zadrzesz na 500, a ukradniesz 5000! I te 5 kopiejek dlatego dajesz, że albo powodzenie w interesie chcesz mieć, albo bilet jazdy do raju kupić!! Ale Boga nie przekupisz! Ty, lafiryndo! Mnie też nie oszukasz! Ja ci drabiną do nieba nie będę!

Byłem wówczas strasznie oburzony: takie chamstwo! Wieszać by takich! Dozorca zbeształ więźnia. Paniusia powiedziała naindyczona, że złoży skargę prokuratorowi... Tak została przyjęta dosadnie wyrażona prawda... Jakbym ja chciał spotkać teraz tamtego człowieka!... On znał życie!... Dla mnie teraz on więcej wart, od tysiąca porządnych obywateli z moich dawnych czasów...

Rozmowa ta się odbywała w mieszkaniu Ignaca Kulikowskiego na Niżniej Lachówce. Obywatel przyniósł tam na zlecenie Jasia kupione w różnych sklepach, według wskazówek Ignaca, rzeczy. Szykowali się do roboty „na maszynkę”. Wówczas jeszcze ten rodzaj afery był nieznany.

Jaś, który po ostatnich robotach dysponował dużą gotówką, dał Obywatelowi 500 rubli za fatygę.

— Nie trzeba tak dużo — protestował Obywatel. — Ja jakoś tam żyję. Głodu nie cierpię.

Obywatel poszedł do truszczoży Cypy, gdzie na niego czekał Filip Łysy. Z biegiem czasu Obywatel stał się niezbędnym członkiem towarzystwa spod znaku szabra. Złodzieje przyzwyczaili się do niego i polubili go. Umiał zjednać sobie całkowite ich zaufanie i pomagał, wyręczając chłopaków, w załatwianiu różnych drobnych spraw. Pisał listy, nosił grypsy, a czasem i „statki”, lecz nigdy nie brano go na żadną, najdrobniejszą nawet pracę, związaną z bezpośrednią robotą. Złodzieje wyczuwali, że byłoby to dla niego przykre... Obywatel stopniowo poznawał i zgłębiał życie przestępców. Brał z niego, na gorąco, typy dla swej powieści. Przynosiło to uszczerbek dla jej konstrukcji, lecz było pożyteczne ze względu na fakturę.

W sąsiednim pokoju siostra Ignaca, Mila, nuciła piosenkę:

Spojrzę ja w okno, spojrzę ja w szybę:—

A tam ulicą złodzieje idą...

Spodnie kloszowe, wyprasowane,

Buciki nowe, lakierowane...

Hej, dygu-dygu!

Hej! rachuciachu!

Buciki nowe, lakierowane!

Mila była bardzo ładna. Miała zaledwie 17 lat. Jaś wiedział, że dziewczyna żyje z bratem, jak z kochankiem. Zresztą nie ukrywali się z tym wcale. Ignas mówił: „Ja kocham Milę, a ona mnie. A ludzkie gadanie nic mnie nie obchodzi. Po co mam z byle dryzdą się paskudzić. Wolę ją. A że siostra, to cóż z tego? Też kobieta, a nie koza. Co, nie?!...

Ta ich śmiałość imponowała Jasiowi. Kiedyś, będąc z lekka zawiany, zapytał Ignaca: jak to się stało po raz pierwszy. Ignas się zastanowił, potem rzekł powoli:

— To mi samemu dziwne... Nigdy na Milkę uwagi nie zwracałem... Za babę nie uważałem... Aż raz wchodzę do niej. Widzę myje się w miednicy. Koszulę miała spuszczoną w dół. Ja przechodząc, ot tak sobie, klapnąłem ją po tyłku. Ona jak się wyźwirzy i wodą: lu mi w twarz... Ja ją za to jeszcze mocniej trzasnąłem. A ona mnie pięścią w pierś. Chwyciłem ją i nie wiem jak znaleźliśmy się na łóżku... Ja się wściekłem chyba. Ona krzyczy: co ty robisz, draniu! Chciałem się zerwać z niej, lecz ona już milczała i sama mnie trzymała rękami za szyję... Od tego czasu i poszło u nas... Trudno... Kochamy się... Wolę ją od stu innych...

Spojrzę na ręce: same pierścienie.

W dłoniach laseczki — srebrne gałeczki!

Hej, dygu-dygu!

Hej! rachuciachu!

W dłoniach laseczki — srebrne gałeczki!

Jaś się nie doczekał powrotu Ignaca z miasta. Spotkanie nie było umówione, więc nie miał o to żalu do kolegi. Powiedział Milce, żeby brat czekał go jutro wieczorem w domu, a sam poszedł w śródmieście.

Na Komarówkę, jak dwie rzeki, wpływają dwa trakty: Borysowski i Łogojski. Łączą się u wylotu ulicy Zacharzewskiej, przecinającej na dwie części prawie całe miasto.

Komarówka — to raj dla potokarzy. A potokarstwo, to szkółka elementarna dla początkują-

cych złodziei. Jest to najłatwiejszy rodzaj kradzieży, przy którym nie trzeba żadnych narzędzi, ani specjalnej wiedzy. Na „potoku” pracują nawet dzieci. Jednak są złodzieje, którzy prawie całe życie „chodzą na potok”. Starzy potokarze zwykle posługują się przy robotach wyrostkami.

Potokarze kradną co się da z wozów przejeżdżających traktem. Nie mają ustalonych metod pracy. Wszystko zależy od przypadku. Potokarze kradną rano i wieczorem. Okradają jadących do miasta i wyjeżdżających. Kradną rzeczy z wozów wykorzystując nieuwagę jadących. Obcinają kufry lub walizy, przywiązane z tyłu powozów. Penetrują zajazdy i, wykorzystując zagapienie się lub niedbalstwo, a czasem i pijaństwo chłopów; kradną co się da. Zdarza się, że zdejmują nawet uprzęż z konia, a były wypadki, że zabierano konia z wozem. Najulubieńszymi dniami potokarzy są dni targowe. To dla nich żniwa.

Niektórzy potokarze wychodzą daleko za miasto i tam czyhają na swe ofiary. Zdarza się, że chłop wyjedzie wcześniej z domu i się zdrzemnie. Gdy się obudzi, że nie ma towaru, który wioził na rynek. Lecz najczęściej operowano podróżnych przy wjeździe do miasta. Tu najłatwiej odwrócić uwagę ofiary, dopóki wspólnik ją obrabia.

Pewien chłop, kilkakrotnie okradziony przez potokarzy i doliniarzy, sprzedał konia i pojechał do domu. Nauczony doświadczeniem zawinął pieniądze w chustkę i usiadł na nich, zdecydowany nie wstawać — aż się znajdzie za miastem. Pewien doliniarz „paś” go od dawna, śledząc, gdzie schowa pieniądze. Kierując się za wozem poszedł na Komarówkę. Tam spotkał się ze znanym sobie firmowym potokarzem i wyjaśnił sprawę.

— Robimy go do sitwy? — spytał potokarz.

— Klawo jest.

I poszli dalej, uważnie śledząc chłopą. W pewnym miejscu wóz się zatrzymał. Chłop wyjął z kieszeni drobne pieniądze, zawołał kręcącego się w pobliżu chłopca i kazał mu kupić papierosy i zapalki. Potokarz szepnął kilka słów doliniarzowi i poszedł zdecydowanie ku koniowi. Spokojnie i obojętnie zaczął go wyprzęgać z wozu. Chłop wytrzeszczył ze zdumienia oczy i całkiem zbaraniał. Dopiero, gdy hołoble leżały na ziemi, chwycił bat i porwał się z miejsca:

— Ty co robisz?

Potokarz spojrział jakby zdziwiony na chłopą:

— Psiakrew! Myślałem, że to szwagier... Omyliłem się.

Tego momentu, w którym chłop porwał się z miejsca, wystarczyło, aby doliniarz sprzątnął mu spod siedzenia chustkę z pieniędzmi. A chłop po wyjeździe z miasta, gdy chciał wyjąć pieniądze, w żaden sposób nie mógł zrozumieć — jak i kiedy mu je skradziono.

Jaś od pewnego czasu był częstym gościem na Komarówce. Miał tu wielu kolegów i znał prawie wszystkie meliny. Pracując nadal do spółki z Baranem i jego kompanami, którzy stanowili elitę świata złodziejskiego, chętnie poznawał i jego proletariat.

Przez pewien czas chodził na potok z Balerorem. Ten rodzaj robót małe dawał mu zyski, lecz otwierał jeszcze jedne drzwi do złodziejskich salonów miasta. Kierowała nim teraz nie chęć zysku, a niepohamowana ciekawość świata, ludzi i chęć przygód. Bardzo łatwo znajdował sobie w

świecie złodziejskim przyjaciół, bo był szczery, wesoły i dobry. Od żadnej pracy się nie wykręcał i pracował śmiało. Często wysuwał sam nowe koncepcje robót, które przy realizacji okazywały się świetne. To wszystko wytworzyło mu opinię charakternego chłopaka. A zdobyć taką opinię wśród przestępców nie łatwo.

Tak mijały dni i tygodnie, a chłopiec coraz mocniej wrastał w środowisko złodziei i wszechstronnie poznawał ich życie i obyczaje.

II.

NA MASZYNKĘ

Wszystko płonęło na zachodzie. Wybuchał tam wulkan barw i zalewał potokiem kolorów gorące tło nieba. Zmieniały się i przeplatały w panoramie Natury niemożliwe do odtworzenia kolory. Purpura, złoto, fiolet, błękit — w setkach odcieni i nasileń mieniły się nieustannie... Wreszcie, jakby zmęczone tą feerią barw, niebo zaczęło blednąć... Jeszcze raz okrył wieczór krwistym szkarłatem cały teren, potem — przechodząc w róż i fiolet — zgasł.

Noc jesienna nieśmiało, wstydliwie zaczęła ukazywać swe klejnoty.. Z początku mieniły się na niebie nielicznie, wreszcie całe niebo śmiało, szczerze i zwycięsko roześmiało się gwiazdami.

Jaś i Ignac szli powoli traktem na Radoszkowice. Mieli ze sobą zrobione z dykty pudełko, w którym były wszystkie przyrządy roboty „na maszynkę”.

W pewnej chwili Ignac zaczął mówić:

— To gad ciepły. Sarmaku u niego pełne kasety, a blit nie na sztuki, a na wagę liczy. Chytry jak lis. Nawet „szkiełka” ma. A żyje, jak świnia.

Domownicy pijani z głodu chodzą. Ubrania we wstążkach. Żebrak lepsze ma. Dwie żony zamorzył. A jaki posag za każdą wziął! Teraz trzeci raz się ożenił. Sam ma pod sześćdziesiąt, a szmarę wziął siedemnastówkę. Dziadkiem jej może być. Takiego tylko i rąbać.

— Skąd ma takie bogactwo? — zainteresował się Jaś.

— Po pierwszej żonie wziął młyn i mająteczek. Tam dobrze się obłowił. Druga zwariowała. I po niej chapnął nie mało. Potem dostawy do wojska. Sam rozumiesz: handel-szwindel. No i poszło... I wiesz: taki bogacz, a kradzione konie od starowierców kupował. Stąd go i znam.

— Czy potrafimy go zrobić?

— To już na zycher... Ja wszystko wystawiłem: pierwsza klasa. Bez obciachu. Tylko ty się nie zblamuj. — rzekł Ignac.

Skreśli z szosy na pełną drogę i około 10-ej godziny wieczorem zbliżyli się do kompleksu zabudowań. Spotkało ich wściekłe ujadanie psów. Koledzy zbliżyli się do wejścia na obszerny dziedziniec folwarku. Z ganku odezwał się zły, nieco zatrwożony głos:

— A kto tam łązi?!

— Swój. Janek Nacewicz z koleżką. Witamy pana Bonifacego.

— Aha! Zaraz... Proszę zaczekać!

Wkrótce potem do furtki zbliżył się wysoki, barczysty mężczyzna. Prowadził na smyczy psa. Jaś i Ignac weszli na dziedziniec i skierowali się ku domowi. Odprowadzał ich koncert złych podwórzowych psów uwiązanych na łańcuchach, w różnych kątach podwórka.

Wstąpili do dużego, ponurego domu. Z sieni, przedzielającej dom na dwie części, gospodarz

wprowadził ich na czystą połowę domu, gdzie mieszkał wraz z żoną. Służba mieszkała na czarnej połowie. Koledzy znaleźli się w dużej izbie, z której prowadziły drzwi do innych pokoi.

Przy świetle naftowej lampy Jaś zobaczył wysokiego, nieco zgarbionego mężczyznę. Miał szczeciasty, rudy zarost i małe latające oczki. Ubrany był w samodziślowy sukienny garnitur.

Gospodarz ciekawie przyglądał się Jasiowi.

— Czy to właśnie ten majster — zapytał, nieco zdziwiony młodym wiekiem chłopca.

— Właśnie on. To nie, że młody. Za to mądry za nas obu. Pokazywałem panu już jego robotę. Lepiej i w Ameryce nie robią. A jutro machnie próbkę. Żeby pan sam widział, co to za interes. Miliony można zrobić!

— No! dobrze — zatarł ręce gospodarz. — Pewnie wy bez kolacji. Ale co ja wam dam jeść?

— Niech się pan nie troszczy o to — uspokoił go Ignac. — Mamy ze sobą i kiełbasę i 3 pudełka szprotek. Jest i flaszka kminkówki. U nas nie to co u pana: dzień popracujemy i tysiąc dolarów w kieszeni. Początek już jest, a dalej to zależy od pana. Możemy do spółki popracować; dla wszystkich wystarczy. Grunt, że u pana miejsce pewne.

Ignac, w czasie poprzedniej bytności — gdy zaczął wstępne zachody interesu — przedstawił sprawę w sposób następujący: Do Mińska przyjechał młody chemik, który pracował w Petersburgu na „Monietnom Dworze” i zna doskonale technikę drukowania pieniędzy. Uciekając od bolszewików, przedostał się tu bez niczego. Ignac zapoznał się z nim i chemik zaproponował mu wyrób fałszywych, a w rzeczywistości prawdziwych pieniędzy, bo rzecz polega na tym, że każdy banknot jest tak nasycony farbami, że z

niego można zrobić — odcinając część farb — jeszcze jeden banknot. W ten sposób ze storubłówki, można mieć jeszcze jedną storubłóvkę, stosując odpowiednie środki chemiczne. Ponieważ carskie pieniądze obecnie miały niski kurs, zamierzono robić odbitki banknotów dolarowych. Cała trudność polegała na tym, że nie opłaca się produkcja na małą skalę, a dla masowej produkcji potrzeba sporo autentycznych banknotów. Ignac dał już poprzednio panu Bonifacemu nowiutki banknot dwudolarowy, jako wzór pracy petersburskiego technika. Nasycono go z lekka olejkim goździkowym.

Pan Bonifacy uważnie obejrzał banknot i kryjąc zdenerwowanie, rzekł:

— Toż, panie Ignacy, można grubą forszę zrobić.

— Owszem, odparł Ignac. — Tylko nie można tego robić długo, bo chmikalia są rzadkie. Trudno je tu znaleźć. Więc trzeba za jednym razem robić dużą ilość banknotów. W tym celu trzeba skupić u czarnogieldziarzy jak najwięcej grubszych banknotów amerykańskich, minimum 5-cio dolarowych, a pożądane są grubsze. Na to trzeba dużo pieniędzy, więc właśnie szukam człowieka, który by mógł to finansować. Zysk podzielilibyśmy tak: Chemik za robotę 40%, ja za pośrednictwo i pomoc w pracy 20%, a ten kto wydobędzie prawdziwe banknoty otrzyma też 40% zysku.

Pan Bonifacy, patrząc chciwie na leżący przed nim banknot powiedział:

— Czy się nie poznają na nich, że fałszywe?

— Ale gdzież tam! Zresztą niech pan sam weźmie ten banknot i zmieni w banku lub u czarnogieldziarzy. O tym nie ma mowy. Takie banknoty nie są wcale fałszywe. Chyba to tylko, że w

przyszłości się okaże, że za jednym numerem są dwa banknoty. Ale kiedy to nastąpi?... Za wiele lat, a może i nigdy.

Pan Bonifacy przez chwilę się zastanawiał.

— A czy ten pański chemik nie buja?

Ignac się roześmiał.

— Widzę, że pan ciężko myśli. Banknot leży na stole jak wół. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, więc kupiłem dwa banknoty po 2 dolary i dwa po 5. Myśli pan, że dureń jestem. Mnie by nie oszukał. Sam byłem przy próbnej robocie. Długa to i trudna praca. Widziałem każdy szczegół roboty. We wszystkim pomagałem. Potem wymieniłem w jednym banku dwudolarówkę, w drugim pięciodolarówkę. Jakież tu jeszcze wątpliwości. Pozostały mi te dwa dolary, co tu pan widzi. A pięć jeszcze mam. Ignaś wyjął portfel i położył na stole jeszcze 5 dolarów. Nowiutki banknot cuchnął, jak i tamten, olejkiem goździkowym. Pan Bonifacy, obejrzał uważnie i ten banknot.

— A to nic, że śmierdzi?

— Głupstwo. Położyć na kilka godzin do cieplej duchówki i wyparuje — odparł Ignacy. — Z tamtymi tak zrobiłem.

Pan Bonifacy, przyglądając się to Ignacemu, to banknotom i coś medytował. Wreszcie przymrużył lewe oko i rzekł chytrze:

— A możebyśmy tamtego technika, czy chemika puścili w trąbę. Wtedy można by zysk jego między nas podzielić. Pan by miał aż 40%, a reszta moja.

— Nie rozumiem co pan ma na myśli — udał zdziwienie Ignac.

— No pan mu pomagał i — jak pan mówi: widział pan wszystko, jak to się robi; więc po co on nam?

Ignac udał oburzonego:

— Ależ to niehonorowo! Jak tak można!

— Niehonorowo, ale zdrowo! Ch-che-che! — zaskrzeczał pan Bonifacy.

— Ja na to się nie zgadzam — rzekł z namaszczeniem Ignacy. — Jeśli pan nie chce inaczej, to muszę poszukać innego współnika.

Pan Bonifacy nieszczerze się roześmiał:

— Ja tylko żartowałem... Chciałem zobaczyć, jak pan to przyjmie.

— Chyba że tak — rzekł Ignacy. — Zresztą nie można się bez niego obejść, bo ja znam tylko porządek pracy. A jakie tam płyny i maście zielonego pojęcia nie mam... Ja chciałem z początku znaleźć współnika w mieście. Potem przypomniałem sobie pana. Pan ma znajomości wśród kupców. Panu łatwo zebrać czy pożyczyć każdą sumę. Im więcej, tym lepiej. Potem można im po robocie zwrócić te same pieniądze.

Stało na tym, że Ignac miał zaprosić chemika ze wszystkimi przyrządami, aby się naradzić wspólnie nad przeprowadzeniem roboty.

Teraz właśnie przyszli do pana Bonifacego, aby sprawę załatwić. Koledzy wyjęli z plecaka flaszkę wódki, szproty i kielbasę.

— Chleba to już nam pan da — rzekł Ignac.

Pan Bonifacy, którego rozplómiła perspektywa dużych zysków, zdławił w sobie skąpstwo i postanowił wystąpić z uroczystą kolacją. Zawołał żonę z przyległego pokoju:

— Marysiu.

Do izby weszła młoda, ładna, pięknie zbudowana kobieta. Ignac przesadził z jej młodością. Mogła mieć około 20 lat. Była bardzo nieśmiała. Nie podnosząc oczu, przywitała się z gośćmi.

— Marysiu! Zrobisz nam kolację. Do wóde-

czki, przede wszystkim jajecznicą. Jajek nie za-
łuj, słoniny też. Dasz ogórków i grzybów. Tam są
słone rydze. I nie marudź.

— A my tymczasem wypijmy pod szprotki —
rzekł Ignac, wybijając dłonią korek z flaszki.

Wkrótce butelka była próżna. Pan Bonifacy się
rozochocił i wyjął z kieszeni wiązkę kluczy.

— Poczęstuję was wódeczką własnej roboty.
Piercakiem.

Przyniósł wkrótce litrową flaszkę samogonu i
zabarwił go wiśniowym sokiem. Pili w dalszym
ciągu. Wkrótce Marysia podała na stół jajecznicę
i przekąski. Jaś, któremu kobieta bardzo się po-
dobała, poprosił ją do stołu.

— Nie wypada, panie Bonifacy, żebyśmy pili,
a pańska żona obsługiwała nam, jak kuchta.

I zaczął uparcie pić jej zdrowie, zachęcając ko-
bietę do kieliszka. Nastrój się polepszył. Pan Bo-
nifacy przyniósł jeszcze litr samogonu. Upił się
prędko i gadał niedorzecznie. Jaś się rozzuchwalił
i zaczął pod stołem trącać Marysię nogą. Złapał
na sobie jej szelmowskie spojrzenie i uśmiech. To
go zupełnie wyprowadziło z równowagi. Zaczął
śledzić kobietę. Znalazł sposobność, gdy wyszła do
kuchni, by przyłapać ją w sieniach. Objął ją silnie
i chciwie całował. Marysia płonęła.

— Puść, miły, puść! Stary mnie zabije.

— Kiedy nie mogę... Nie usnę...

Marysia po chwili zaczęła szeptać:

— Oni niech piją... Ty nie pij dużo... Jak ko-
lega uśnie, wyleż oknem i przyjdź do mnie... Moje
okno następne... Będzie otwarte... Teraz idź prę-
dzej, bo stary się połapie...

Marysia wróciła do kuchni, a Jaś znów, niby
wracając z podwórza, dołączył się do kompanów.

Zachęcał ich do kieliszka, sam sprytnie omijając kolejki.

Dopiero teraz pan Bonifacy pozbył się skąpstwa. Na stole zjawiała się flaszka firmowego jarzębiaku; potem koniak. Ukazały się suche kiełbasy, wędlina, masło.

Po północy Ignacy i gospodarz domu byli zupełnie pijani. Kolega śpiewał „Sto lat...” na cześć gospodarza. Pan Bonifacy przechwalał się bogactwem...

— Ty myślisz, że jak ja w samodziłach chodzę, to na dobre ubranie nie mam?... Co?... Pluję na to?... Jak zechcę, to całą ulicę w Mińsku kupię?... Fabrykę postawię... Co zechcę, to zrobię!... Ot jak!...

Ignacy mu potakiwał. Jaś dolewał im do kieliszków i od czasu do czasu porozumiewawczo spoglądał na Marysię, której kilka wypitych wódek rzuciło płomienie na twarz i zapaliło i bez tego piękne oczy...

Jaś rozebrał i ułożył do snu zupełnie pijanego towarzysza wyprawy. Potem odemknął okno, które wychodziło do sadu. W sąsiednim pokoju słyszał głośne chrapanie Bonifacego, który już przed kwadransiem poszedł spać. Z następnego pokoju, przez zamknięte jeszcze okno — jak Jaś się domyślał — pokoju Marysi, padał w sad długi prostokąt światła. Jaś po cichu wylazł do sadu i zbliżył się do okna. Zobaczył przy świetle lampy Marysię, która odwrócona do niego bokiem, myła się w postawionej na zydłu miednicy. Jaś z rozkoszą przyglądał się nagiej, pięknej kobiecie która nie podejrzewając, że jest podpatrywana, zachowywała się zupełnie swobodnie. To zwiększało powab jej dobrze ukształtowanego ciała. „Chociażby

odemknęła okno!" myślał Jaś. „Jeśli nie odemknie — zapukam". Kobieta wytarła się ręcznikiem i umieściła lampę tak, aby wyraźnie widzieć swą postać w lustrze. Zobaczył, że Marysia wyjęła z szufladki małą flaszeczkę i korkiem dotykała twarzy, piersi i barków. „Perfumuje się" — pomyślał Jaś i przypomniał sobie Marusię Łobową, swą pierwszą kochankę. Teraz Jaś był pewien, że okno będzie odemknięte. Marysia obejrzała się uważnie ze wszystkich stron w lustrze. Jasia to denerwowało. „Cóż ona marudzi?"

Wreszcie po dłuższym przeglądzie broni przed lustrem, Marysia wdziała nocną koszulę i uczesała włosy. Potem podeszła do okna i odemknęła je. Jaś niespodzianie złapał kobietę za ramię, potem prędko dostał się do pokoju. Zaczął całować Marysię. Kobieta chętnie przyjmowała jego pieszczoty. W pewnej chwili powiedziała:

— Idź do siebie... Rozbierz się, potem wracaj... Żeby tu nie było twoich rzeczy. I zamknij drzwi na klucz...

Jaś wrócił do swego pokoju. Jaś pośpiesznie się rozebrał i wrócił do pokoju Marysi.

Rano, po śniadaniu, koledzy urządzili prowizoryczne laboratorium. Sposób działania był prze-myślany i omówiony w mieście. Najważniejszą rolę w dzisiejszej próbie odegrywały dwa dwudolarowe, prawie nowe, banknoty. W mieście je zwilżono, złożono razem i wyprasowano, aby miały jednakowe zgięcia. Oba były za identycznymi numerami. Osiągnięto to w ten sposób, że wybrano ze sporej ilości banknotów u znajomego czarnogieldziarza, dwa najwięcej podobne do siebie i zbliżone numerami. Różnice w cyfrach wyrównano w ten sposób, że obrócono na jednym za pomocą tuszu trójkę w ósemkę, czwórkę w jedynkę i dzie-

wiatkę w zero. Było przy tym nieco skrobania brzytwą. Dolar, który miał numerację autentyczną, włożono między dwa kawałki czystego papieru tejże wielkości.

Jaś kazał panu Bonifacemu napalić pod płytą, żeby duchówka była ciepła. Potem włożył do duchówki włożony między dwie żelazne płytki banknot i papier okrywający je.

— To musi leżeć w cieple dwie godziny — rzekł Jaś, patrząc na zegarek.

Teraz chłopiec dyrygował pracą, a Ignacy posłusznie i gorliwie spełniał jego rozkazy. Pan Bonifacy, był przejęty niezwykłymi czynnościami, które odbywały się w jego oczach i uroczystymi minami kolegów.

— Szkoda, że nie ma więcej banknotów — rzekł Jaś. — Nie lubię robić prób na próżno. Za mało mam niektórych środków.

— Więc nie trzeba ich marnować — rzekł pan Bonifacy.

— Chcę tylko pokazać panu system mej pracy, aby pan miał zaufanie.

— Nie mam żadnych wątpliwości — odparł gospodarz. — Przecież widziałem wyniki pańskiej pracy.

— Więc dobrze — rzekł Jaś. — Ponieważ mamy sporo czasu, zrobimy mniejszą próbę. Zresztą chcę wypróbować siłę nowego płynu. Czy ma pan jakiś nowszy banknot carski?

— Owszem: mam.

Pan Bonifacy wnet przyniósł Jasiowi kilka banknotów. Jaś wybrał z nich dziesięćorublowy i zasiadł do pracy. Laboratorium jego wyglądało imponująco. Różne flaszeczki z kolorowymi płynami, pędzle, wałki, szklane i metalowe płytki, noże i nożyczki, linie, wata itd. Główne miejsce zajmo-

wało blaszane pudełko, w którym były dwa wałki. To właśnie była cudowna „maszynka”.

Prace „na maszynkę” wykonywane są w różny sposób, zależnie od posiadanych przyborów i pomysłowości aferzystów. Jedna tylko jest zasada ogólna: wybiera się „ciepłego” gościa i proponuje się mu robienie pieniędzy, udowadniając, że z jednego banknotu można mieć dwa. Chodzi o to, aby oflara zebrała jak najwięcej banknotów. Następnie manipuluje się nimi w ten sposób, aby to sprawiało wrażenie: kręci się je w maszynie, smaruje się, okłada papierem. Zakończenie bywa przeważnie takie, że aferzyści znikają, pozostawiając ofiarę z poleceniem pilnowania maszynki. A czasem wkładają przygotowaną do odbitek paczkę do duchówki lub pieca. Potem powstaje trwoga: „zegarek stanął i za długo trzymano paczkę w piecu”. Co prędzej, wydostają wszystko i znajdują w środku popiół. Aferzyści klną, klóć się, wpadają w rozpacz i zdarza się, że sam poszkodowany pociesza ich, a czasem proponuje powtórzenie próby. Więc „strzygą” gościa dwukrotnie.

Takie sprawy przeważnie uchodzą bezkarnie, bo oflara boi się nawet zameldować policji o swej stracie, którą poniosła w tak niezwykły sposób. Przecież brał udział w fałszerstwie. Nie zawsze aferzyści pracują w sposób tak przemyślany i drobiazgowy, jak Jaś i Ignac. Lecz oni zamierzali przeprowadzić wszystko „na zycher”, bo „karaś” był „ciepły” i można było dobrze się obłowić.

Jaś, w obecności pana Bonifacego, posmarował dziesięciorubłowy mikołajewski banknot olejkim goździkowym. Potem obłożył go z obu stron czystym papierem. Następnie położył wszystko razem na stalowej płytce i kilkadziesiąt razy mocno przeciągnął po papierze twardym wałkiem. Gdy

wyjął banknot z powrotem, na papierze pozostały blade, lecz wyraźne barwne odbitki banknotu, utrwalone na odwrót.

— Widzi pan — rzekł Jaś — nawet za pomocą tego jednego płynu, bez dalszych manipulacji i ogrzewania, widać wyraźnie odbitkę banknotu. Potem w środek wkłada się papier, przygotowany na banknot i znów wszystko idzie w robotę. Robota trudna i wymaga cierpliwości, ale skutek zawsze pewny.

Jaś objaśnił w dalszym ciągu, że dolary skleja się z dwóch odbitek, a w środku się umieszcza skrawki jedwabnych, kolorowych niteczek. Wodne znaki robi się specjalnym stalowym wałkiem, po zwilżeniu banknotu odpowiednim płynem.

Pan Bonifacy był olśniony. Nie miał żadnych wątpliwości i z podziwem patrzył na tego młodego magika. Po raz pierwszy w życiu spotkał człowieka, który mu zaimponował. I to taki smarkacz!

— Ile panu trzeba banknotów? — pytał Jasia.

— Jak najwięcej, bo płynów mam mało... Niektórych nigdzie nie można znaleźć... Dla mnie mała różnica, czy odbiję jeden banknot, czy sto, czy tysiąc, bo rozumie pan... — i Jaś puścił się na zawiłe tłumaczenie techniki tej pracy, przy której najważniejszą rolę grał płyn do utrwalania barw, którego było bardzo mało.

— Do zmiękczenia barw mam dość płynu... jeszcze na kilka razy. Tak samo i do ściągania ich. Ale najgorzej z płynem do utrwalania. Mam go tylko tyle.

Jaś pokazał panu Bonifacemu flaszeczkę, w której było trochę bursztynowego koloru płynu. Po prostu esencja herbaty.

Pan Bonifacy powiedział:

— Ja pieniędzy nie mam ani rubla. Same stra-

ty ponoszę. I służba kradnie i podatki... Ale na taki interes mogę pożyczyć...

Ignac znacząco mrugnął do Jasia: wzięła rybka!

Postanowiono, że po obiedzie pan Bonifacy z Ignacym pojedą do miasta, aby zebrać pieniądze i kupić jak najwięcej banknotów dolarowych. Wrócić jak tylko tę sprawę załatwią. Ignacy miał pomóc w skupywaniu banknotów.

Gospodarz zadysponował Marysi dobry obiad i koledzy poszli do sadu na owoce. Tymczasem pan Bonifacy udał się do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Z najrozmaitszych skrytek wydostawał pan Bonifacy kasetki, pudełka, rulony i paczki z kosztownościami i pieniędzmi. Pan Bonifacy miał przeszło trzy tysiące dolarów w banknotach. Lecz opanowała go chciwość i postanowił kupić jeszcze jak najwięcej. W tym celu trzeba było sprzedąć trochę złota lub brylantów. Ze złotem panu Bonifacemu było szczególnie trudno się rozstać. Postanowił sprzedawać brylanty. Jednak wziął ze sobą również sporo złotych mikołajewskich monet.

Po dobrym obiedzie Ignac i gospodarz pojechali do miasta elegancką bryczką. Pan Bonifacy na odjeźdźnym rzekł do Marysi w obecności Jasia:

— Uważaj, żeby gościowi nic nie zabrakło, bo... skórę spuszcze...

— Staram się jak mogę — spuszczając oczy, odparła kobieta.

Jaś się uśmiechnął.

Wieczorem Jaś i Marysia zjedli kolację i bardzo wcześnie poszli spać. Wspomnienie pieszczot poprzedniej nocy ogarnęło ich nowymi pragnieniami.

Gdy byli już razem, Jaś po pewnym czasie spytał:

— Po cóżes wyszła za takiego wstrętnego dziada?

— Czy ja z dobrej woli?... Rodzice zmusili... Utopić się chciałam... A teraz postanowiłam uciec... Mam w Homlu brata... Żonaty. Jest maszynistą na kolei... Pisałam do niego jak mi źle... Brat mnie lubił bardzo... Napisał, żebym przyjeżdżała... Że żyje dobrze... Wziął za żonę dom z ogrodami i jest zadowolony... Niedługo pojedę tam...

— Może ci dać pieniędzy na drogę?

— Nie trzeba... Uzbierałam tyle, że mi wystarczy... Jak stary nie pilnował, a zebrałam na złą godzinę. Wiedziałam, że długo tu nie wytrzymam... Czy wiesz, że on matkę swoją z domu wypędził... Po żebraczym chlebie chodzi... Taki żmiuda!...

Minał jeszcze jeden dzień i trzecia, pełna emocji noc. Dopiero w południe wrócili Ignac i gospodarz. A po obiedzie zamknęli się w „laboratorium” i przystąpili do pracy.

Gospodarz położył na stole gruby plik banknotów. Było tam 11.500 dolarów.

— Niech pan przejrzy: może tam są niedobre?

Jaś obejrzał pieniądze i uznał, że wszystkie nadają się do roboty.

Zakipiała praca. Jaś i Ignac cięli na miarę banknotów dolarowych papier. Potem Jaś zaczął przygotowywać chemikalia. Pod wieczór wszystko było gotowe. W maszynie ścisnięty dwiema deskami leżał cuchnący plik papieru. Pan Bonifacy nie podejrzewał, że druga paczka identyczna z tą, w której były dolary, została w czasie jego nieobecności (wysłano go po esencję octową) schowanego pod poduszką nałóżku Jasia.

Nie będzie za gorąco? — spytał Jasia

Była godzina siódma wieczór. Jaś powiedział:

— To wszystko musi leżeć tak przez trzy go-

dziny, a potem włożymy to na 12 godzin do duchówki.

Zapalono pod płytą, aby rozgrzać duchówkę i udano się na kolację, którą i tym razem zakro-
piono obficie alkoholem.

Po kolacji, o godzinie dziesiątej wieczór, Ignac uroczyście przeniósł „maszynkę” i umieścił ją w duchówce.

Nie będzie za gorąco? — spytał Jasia.

Chłopiec wsadził do duchówki dłoń.

— Nie... w sam raz.

Ignac zwrócił się do gospodarza:

Dobrze by było, żeby ktoś z nas tu spał. Sam pan rozumie: 23.000 dolarów... To nie w kij dmuchał.

— Owszem, owszem... — skwapliwie potwierdził pan Bonifacy. Ja o tym właśnie myślałem.

— Można tu przenieść łóżko — zaproponował Jaś.

— Po co — rzekł pan Bonifacy, przystawiając do płyty krzesło. — Ja tu i tak posiedzę. Spać mi się nie chce wcale.

— Jak pan uważa — odparł Jaś. — Tylko proszę nas obudzić przed 10-tą. A'bo samemu wyjąć o 10-tej wszystko z duchówki.

— A czy będzie już gotowe?

— Na pewno — odparł Jaś.

— Dobranoc! — rzekł pan Bonifacy.

Koledzy poszli do swego pokoju, a pan Bonifacy został na straży skarbu i mozolnie kombinował, jakby to samemu zawładnąć wszystkim.

„Po prostu wyrzucę smyków za drzwi i zagrozę policją” — postanowił wreszcie pan Bonifacy.

Tymczasem koledzy po cichu wyleźli oknem w

sad, a stamtąd przez parkan przedostali się na drogę, prowadzącą do traktu. Unosili ze sobą 11.500 dolarów. Prócz tego Jaś uniósł wspomnienie słodkich pieszczot swej przygodnej kochanki.

A na chutorze pozostało otwarte okno pokoju Marysi (nie wiedziała, że Jaś dziś odejdzie) i pan Bonifacy, siedzący przy duchówce i pilnujący umieszczonych w „maszynce” skrawków papieru.

III.

ZMARTWIENIE PAWCI I ETYKA TOMASZA CHURDZICZA

Chluśnięta w twarz woda ocuciła Paulinkę. Otworzyła oczy i przerażona patrzyła na swego kochanka. Baran mocno przewiązał ramię wyżej łokcia, aby zahamować krew, płynącą z głębokiej rany koło łokcia; potem ręcznikiem okręcił ranę. Włożył frenez, wziął czapkę i nie spojrzawszy na Paulinkę wyszedł z pracowni.

Pawcia przez pewien czas leżała, przypuszczając, że Baran zaraz wróci, lecz gdy nie było go dłużej, wstała i poszła do swego pokoju. Spojrzała w lustro i cofnęła się przerażona. Twarz, szyję i pierś miała we krwi... Wnet się jednak uspokoiła, bo przypomniała sobie, że to krew kochanka. Tylko zaklęła: „Czekaj, bandyto, ja ci tego nie daruję! Popamiętasz mnie!” Sprzątnęła pracownię, potem zdjęła bluzkę i umyła się.

Tego dnia Baran do domu nie wrócił. Nie przyszedł i na noc. Nazajutrz Paulinka, gdy zobaczyła Jasia, zapytała go a Olka, lecz chłopiec nie o nim nie wiedział.

Czwartego dnia rano Paulinka elegancko się

ubrała, włożyła karakułowy sak i poszła do Balów. W drodze rozmyślała: co robić? „Może Olek porzucił mnie? A może wpadł?... Prędzej, że wpadł”. Paulinka nie chciała pogodzić się z myślą, że Olek mógłby ją porzucić. U Balów Pawcia nasłuchiwała się mnóstwa zachwyty nad bogactwem i pięknością swego stroju. Pochlebilo to jej bardzo. Wróciła do domu późno. Olka nie było.

W nocy Paulinka nie spała. Zastanawiała się nad sobą i myślała: co począć? Przypomniła sobie Tolusia, który był dla niej wzorem grzeczności i elegancji i postanowiła pójść do niego po radę. „Jeśli Olek nie wróci, to może on weźmie mnie do siebie. Uciułałam trochę pieniędzy, mam sporo drogich rzeczy. Otworzylibyśmy większy zakład fryzjerski. Ja bym mu wstydu nie zrobiła. Przecież jestem taka ładna. Olek za mną wariował. Przecież i tamto było z miłości dla mnie... Czyż ja dla Tolusia nie para... Też mogłabym czytać różne książki i pięknie mówić”. Pawcia rozplynęła się w marzeniach i usnęła.

Nazajutrz Paulinka ubrała się jak mogła najpiękniej i poszła do Tolusia. Przechodząc obok fryzjerni, spostrzegła, że klientów wewnątrz nie ma, więc mile uśmiechnięta, rozpromieniona, weszła do środka.

— Tolusiu, kochany, wybaczone, że tak dawno u ciebie nie byłam... Tyle spraw... — Pawcia nie dokończyła.

Tolus, który w czasie wejścia Paulinki układał w szafie serwetki, powstał z miejsca. Przerażonymi oczami patrzył na kobietę. Wreszcie wypiął hardo pierś, uniósł w górę brodę i wskazał jej wyniośle palcem drzwi.

— Szanowna pani raczy stąd się wynieść! Zrozumiane?!
!

Paulinka nie rozumiała jednak.

— Tolusiu, co ty mówisz? Opamiętaj się!

Fryzjerowi piana ukazała się w kącikach warg.

— Precz! — wrzasnął histerycznie. — Byle kurwa będzie mi tu włożyć do przyzwoitego interesu! Precz, bo policję zawołam!

Paulinka rozumiała, że to nie żart, tym więcej, że Toluś podskoczył ku niej i wcale nie w hrabiowski sposób wypchnął ją za drzwi.

— Precz paskudna suko! — wrzasnął na pożegnanie. — Żebyś ciebie tu nie oglądał więcej, lafiryndo!

Paulinka, wycierając chusteczką łzy z twarzy, wróciła do domu. Tam długo płakała: „Jej Toluś, jej bóstwo, jej marzenie, jej ideał, taki inteligentny, taki uczony i tak z nią się obszedł!”. Stopniowo odczuła do niego nienawiść. Mijały godziny i z chaosu myśli i uczuć Pawcia wyluskała jedną prawdę: jednak Oluś dla mnie był zawsze o wiele lepszy... Mógłby mnie zabić wówczas, nawet zabić, lecz nie mnie, a siebie nożem uderzył. I wszystko to przez tamtego podleca!... Może Oleś z rozpaczysobie życie odebrał?... I cóż ja biedna pocznę?... Teraz może nigdy nie wróci, a miał mi kupić złoty zegarek z brylancikami... Jaka ja nieszczęśliwa!”. I znów płakała, coraz więcej rozczulając się nad swym losem.

Minał tydzień, a Olek nie wracał. Paulinka nie wiedziała, co począć. Wreszcie zupełnie rozpaczona poszła do ojca. Zastała rodziców przy obiedzie.

Przy jej wejściu Tomasz Churdzicz ściągnął krzaczaste brwi:

— No, czego chcesz?

Z oczu Paulinki łzy trysnęły.

— Tatusiu, ja taka nieszczęśliwa!

— Czemuż to tak?... A?... Sama na ojca nasz-

czułaś tamtego draba... Sama za nim poleciałaś, a teraz: nie — szczę — śliwa...

Tomasz obejrzał się po izbie. Szukał powrozu. Wtem spojrzął na córkę i w głowie zaświtała mu myśl: „Jak prać babę w karakułowym saku?”.

— Więc czego chcesz? — rąbnął twardo Churdzicz.

— Ja do mamusi... — westchnęła żałośnie Pawcia.

— Chodź tu! — ryknął Churdzicz. — A wy wont!

Stasia i Julek co prędzej wynieśli się z komnaty, a Pawcia posłusznie usiadła do stołu i milczała, roniąc z oczu łezki.

— No — o! — warknął Tomasz.

Paulinka jakając się opowiedziała rodzicom o zajściu z kochankiem. Że przez zazdrość zrobił jej awanturę i przebił się nożem. O Tolusiu, naturalnie, ani słówkiem nie wspomniała. Potem porzucił ją i cały tydzień nie wraca do domu.

Churdzicz z kamienną twarzą i zmrużonymi krytycznie oczami patrzył na córkę. Gdy przestała mówić, nagle odezwał się spokojnie, czym wprowadził w zdumienie żonę i córkę:

— Wiem, że to złodziej... A złodzieje to spryciarze... Trzeba było go się trzymać i doić jak krowę, a nie puszczać się z byle psem... Myślałem, że masz trochę mojego rozumu... A on widać, że chociaż to i złodziej, ale dureń, bo by ciebie nożem szastnął... Chyba, że oślepl z miłości i zdurniał... Z takim można w złocie chodzić, a ty co masz?...

— Mam ładne sukienki, bieliznę, pierścionki, karakuły... — tłumaczyła się ośmielona nieco Pawcia.

— A forsy ile masz?

— Mam trochę...

— Mam tro — chę... — przedrzeźnił ją ojciec.

— Zaraz, jak ci zedrę te karakuły i skórę wygarbuje, to nauczysz się rozumu. Miałaś kopalnię złota, to trzeba było ją szanować.

Pawcia tylko płakała.

— Ty się nie ślimacz — podniósł głos Tomasz. — A jak cię rozumu uczę, to uważaj i pamiętaj... Ten twój gagatek wróci. To pewne... Idź do domu i czekaj... Jak wróci, to przymil się do niego, zamydlij czymś oczy i ciągnij co się da... Z kogo drzeć skórę, jak nie ze złodzieja... Tylko trzeba z rozumem... Żeby tak wychodziło, że sam daje, a nie ty świdrujesz z niego... Ot, co... Blisko pół roku z nim żyjesz, a co masz?... Mądra na twoim miejscu, to już kupę forsy by miała... A ty! kara — ku — ły!... Idź teraz do domu, ładnie wszystko posprzątaj, sama się pięknie ustrój i czekaj... A jak wróci, to popłacz i przyjm go jak królewicza... Jak trzeba: przeproś... w łapę śmierdzącą cmoknij, przymil się, kolana pokaz siadając, do cycek przyciśnij... Sama wiesz czym suka psa weźmie... A głównie: doglądaj go, żeby nie był głodny, żeby miał co lubi, pytaj o zdrowie (a myśl: zdechnij, cholero!)... Tym sposobem nie tylko forszę, a i skórę z niego ściągniesz... No, poszła precz i pamiętaj, bo jak rozumu się nie nauczysz i drugi raz tu przyjdiesz chlipać, to ci na dupie karakuły wybije!

Nigdy w życiu Churdzicz nie przemawiał tak długo i życzliwie do córki. I matka, i Pawcia były tym po prostu zdumione. Była to pierwsza w życiu lekeja etyki, psychologii i taktyki cywilnej, dana przez ojca córce. I słowa jego nie przebrzmiały w pustce. Pawcia dobrze je sobie zapamiętała i postanowiła w dalszym ciągu działać spryt-

nie i ostrożnie, aby jak najwięcej obłupić złodzieja.

Olek Baran przede wszystkim poszedł do blatnego felczera, z którym utrzymywali kontakt lepsi złodzieje i specjaliści od pracy „na sobaczkę”. Nazywano go Cacy, za częste powtarzanie tego wyrazu. Cacy robił złodziejom środki usypiające, które podane w piwie lub wódce, waliły z nóg ofiary. Wywoływał kobietom poronienia. Dawał lubczyki i środki podniecające erotycznie.

— Ależ pana urządzili! — rzekł Cacy, obejmując ranę Barana.

— Sam się urządziłem.

Cacy nieufnie spojrział na Barana i jak sznurkiem zebrał zmarszczki na czole. Zrobił Olkowi opatrunek i kazał przyjść za dwa dni.

— Wiele panu za fatygę? — spytał Olek.

— Daj ile chcesz... Możesz nic nie dać... A mogę i ja tobie dać, jeśli potrzebujesz...

To był system Cacy: brać ile dadzą, a gdy trzeba, to pomagać pacjentom. Jak się okazało, system ten był zupełnie dobry, bo wdzięczni pacjenci, którzy w potrzebie byli leczeni darmo, gdy zdobywali gotówkę, rewanżowali się sownie swojemu dobroczyńcy. W ten sposób Cacy zdobywał gotówkę i serca.

Cacy był dziwnym typem. Malutki, łysawy, lat około 50, wyglądający o wiele starzej. Twarz szara, jakby brudnym brezentem obciążnięta. I z tej brzydkiej twarzy patrzyły dobre, dziecięce oczy... Cacy był kiedyś wojskowym felcherem na Sybirze. Potem za jakieś sprawy trafił do więzienia, później po amnestii został zwolniony... Przewędrował cały Sybir. Był w Mandżurii i Chinach. Wreszcie przyjechał do Mińska z córką zesłańca,

z którą się ożenił (ona pochodziła z Mińska i miała tu rodzinę). Żona mu zmarła w 1910 roku.

Cacy był znany wśród biedoty całego miasta. Nie miał prawa praktyki, lecz zwracano się do niego we wszystkich trudnych wypadkach i Cacy pomagał tam, gdzie opuszczali ręce lekarze. Możliwie, że było w tym sporo szczęścia. Sądzę, że dużo znaczyła sugestia, bo Cacy leczył i zamawianiem... Cacy badał chorego bardzo dokładnie, nie raz po kilka razy, wreszcie dawał lekarstwa, które sam preparował, przeważnie z ziół. Cacy „stalnikiem” leczył najcięższe choroby jelit, wątroby i żołądka; siarką wraz z ziołami, leczył zupełnie skutecznie i prędko wrzody, choroby skóry i przemiany materii. Gruźlicę płuc leczył dawaniem do picia przez dłuższy okres czasu wyciągów ze słomy (gotowanej godzinami), aloesu i miodu. Wapno dawał z tłuczonych na mączkę skorupki jaj. Stosował czasem dziwne i ryzykowne środki, np.: kilka razy wyleczył ciężkie zapalenie płuc, jedynie okładaniem chorych kiszoną kapustą. Po zabiegu dawał pić wódkę i herbatę.

Cacy nie odmawiał pomocy w żadnym wypadku, nawet wchodzącym w kolizję z prawem.

Pewnego razu zawołano go do żony miejscowego dygnitarza, która od wielu lat jeździła po uzdrowiskach i modnych lekarzach. Była chora na brak apetytu, bezsenność, złą przemianę materii i „nerwy”. Cacy dokładnie zbadał chorą i rzekł poważnie:

— Proszę przez pierwszy miesiąc kuracji nie jeść wcale mięsa. Następnie: ostatni posiłek może być nie później, jak na cztery godziny przed pójściem do łóżka. Poza tym codziennie rano musi pani nago chodzić pół godziny na czworakach po ogrodzie, albo po dobrze wywietrżonym pokoju, a

bezpośrednio przed snem proszę brać 15-minutową, bardzo gorącą kąpiel. Lekarstwo przysłę pani jutro. Proszę zażywać stołową łyżkę przed każdym posiłkiem. — Była to mocna piołunówka.

Dygnitarzowa była nieco zaskoczona tymi zleceniami lekarza, lecz pewność siebie i powaga Cacy tak na nią podziały, że, aczkolwiek z pewną rezerwą, zastosowała się do zleceń Cacy.

Po miesiącu czasu Cacy odwiedził swą pacjentkę. Okazało się, że paniusia ku wielkiemu swemu zadowoleniu, straciła na wadze kilka kilo, odzyskała apetyt i dobrze spała.

Do złodziei Cacy miał szczególny sentyment. Możliwe, że wpłynął na to jego kilkuletni pobyt w więzieniu. Pomagał im we wszystkim i miał u nich prócz przydomku „Cacy”, jeszcze jeden: „Ojciec”. Były wypadki, że złodzieje udawali się do niego w sprawach wzajemnych waśni, jako do arbitra lub sędziego. W tych wypadkach Cacy zawsze sprawiedliwie i bezstronnie rozstrzygał kwestię i złodzieje bezapelacyjnie przyjmowali jego wyrok.

Olek wyjął z kieszeni portfel i chciał zapłacić Cacy za opatrunek, lecz spostrzegł, że w portfelu pieniędzy nie ma. Zupełnie o tym zapomniał. Mocno tym się zażenował. Życie jego tak się układało, że brak pieniędzy uważał za hańbę. „Nie umie zarobić, albo szpaniuga, albo ten co drefi”.

Cacy spostrzegł konsternację Olka i rzekł łagodnie, biorąc go za rękę:

— Wie pan co, panie Aleksandrze, niech pan nigdzie nie idzie, a zostanie u mnie przez parę dni. Rana pańska nie jest poważna, ale wymaga spokoju, bo wpływ krwi był duży. U mnie jest wolny pokoik, odpocznie pan, no i cacy. Rozumie pan?

I Baran złamany fizycznie i moralnie, został u

Cacy, który troskliwie zaopiekował się pacjentem.

Wieczorami Cacy przychodził do Olka i małymi kieliszkami pili wódkę. Cacy prędko się upijał i wówczas opowiadał Olkowi o Sybirze:

— Wie pan, panie Aleksandrze, nie ma na świecie piękniejszej, bogatszej i cudowniejszej krainy. Tam po złocie się chodzi, a cuda dookoła. Mówię panu, nie życie — cacy. A co za ludzie! Bezinteresowni, śmiali, dumni... Każdy, jak król — cacy! Jedź pan na Sybir, panie Aleksandrze, tam życie cacy... U nas kawior z „kieci” po rublu kilo sprzedawali, a tam miliony pudów w dopływach Amuru ginęło. Nie było komu — cacy — eksploatować... A jakie bogactwa w górach, lasach, rzekach... Tu człowiek z człowiekiem o ochłapy się żre, tam miliardy pod nogami leżą... Tam wolność, tam dosyt, tam... ech, cacy, - cacy!... Tam miód beczkami, masło beczkami, futra darmo, zwierza moc! A ziemia!... Byłe jak zaorzesz: pszenica jak złoto... Chłopi bydła nie liczą... konie na setki i tysiące sztuk rachują!... Ryb w jeziorach, aż gęsto!

W czwartym dniu pobytu Olka u Cacy przyszedł do felczera Filip Łysy. Przywitał się i ziewając przeraźliwie, rzekł, niby obojętnie:

— Chcę was Ojezulku poradzić się w sprawie włosów... Smaruję, smaruję różnymi naściami tyle lat. Kupę forsy wydałem i nic — Filip ziewnął. — Co by tu zrobić?

— Przestać smarować... Głupi włos na mądrej głowie nie rośnie. Ot i cacy!

Filip się zmartwił.

— Jakże tak bez włosów żyć? Ludzie się śmieją.

— Ot zaba: bez włosów całkiem, a sto lat żyć może i nikt się nie śmieje... Cacy i już... Ja też

bez włosów i się nie martwię wcale... To nie bez nóg, bez rąk, bez oczu!... co?

— Wiadomo — ziewnął Filip. — Ale z czego to się stało?

— Krew nie dochodziła, więc korzonki powypadały... Teraz klapa... Jak zaczęły wypadać była rada, aż cacy... Szczotkować, masować, alkohol wcierać, rumiankiem myć... Od czasu do czasu ciepłą wodą z solą moczyć... Teraz nie warto o tym i myśleć... A wszystkie maście i płyny, to puc bez glansu!

— Serwus Mongoł! — zdziwił się Filip, lecz natychmiast zatuszował zdziwienie szerokim ziewnięciem.

Do pokoju wszedł Baran i przywitał się z Filipem.

— „Panicz” drugi dzień ciebie szuka — rzekł Filip, ściskając dłoń Barana.

„Panicz” było to przezwisko Jasia w świecie przestępczym.

— Co z tobą się stało? — pytał dalej Filip, patrząc na obandażowaną rękę Olka.

— Nic wielkiego — zbył go Olek. — Ojciec mnie migiem wyleczy.

— Czemu nie leczysz się w domu? Miałeś szocher? — badał Filip.

— Tak... Tylko nie mów nikomu, gdzie jestem... Jednemu Paniczowi... Ot daj mu ten fingier... Niech sprzeda i forszę mi tu przyniesie...

Baran dał Filipowi pierścionez z rubinem, który kupił kiedyś Paulince, a potem odebrał Toluśowi.

Rzeczywiście Jaś, którego Paulinka kilkakrotnie pytała o Barana, szukał go po melinach. Przypomniat sobie po powrocie z roboty „na maszynkę” opowiadanie Barana o Paulince i zaniepokoił

się losem mistrza. Obszedł wiele znanych mu me-
lin i wszędzie szukał Mongoła. Wreszcie Kazik go
powiadomił, że Filip ma do niego polecenie od
Barana. Filipa Jaś znalazł u Cypy. Filip dał mu
pierścionek Olka i powiedział, zastrzegając dys-
krecję, gdzie może znaleźć Olka.

Było to późnym wieczorem. Jaś nie zwlekając,
udał się do Cacy. Baran z felczerem sączyli wó-
deczkę. Gdy chłopiec wszedł do mieszkania,
felczer wyszedł do drugiego pokoju, dając im moż-
ność rozmówienia się na osobności. Jaś przede
wszystkim zwrócił Olkowi pierścionek.

— Czemu nie opyliłeś go? — spytał Olek.

— Bo nie trzeba — odparł Jaś, dostając z kie-
szeni spory plik dolarowych banknotów. — To z
ostatniej roboty. Poza tym mam jeszcze sporo pie-
niędzy. Bierz, ile chcesz. Ty mnie wiele razy po-
mogłeś, niech ja chociaż raz ci się przydam.

Jaś dostrzegł, że Baran się waha, więc użył
zdania, które kiedyś posłyszał u przestępców:

— Złodziej od złodzieja może wziąć pienią-
dze... Od frajera nigdy. Tylko ukraść!... Bierz na
szans!

Baran położył zdrową rękę na dłoni Jasia.

— Dobrze, dobrze... Od dawna wiedziałem coś
wart... Na fart wezmę...

Olek wziął od Jasia 1000 dolarów i 2000 ostru-
bli. Nie wiedział co pocnie z tymi pieniędzmi, lecz
nie lubił zostawać bez gotówki. Miał przesąd, że
brak pieniędzy prowadzi do niepowodzeń.

— Paulinka kilka razy pytała mnie o ciebie —
rzekł Jaś.

— Ta — ak?... No i co? — jakby w zamyśle-
niu spytał Olek.

— Powiedziałem, że nie o tobie nie wiem.

— Mów tak dalej.

— Czy nie wrócisz do niej... do domu... — poprawił się Jaś, przeczuwając, że mowa o Paulince może być przykra Olkowi.

— Mój dom tam, gdzie są kraty w oknach. A kochanka w kieszeni — odparł Baran ponuro. A po chwili milczenia powiedział cicho, obojętnie:

— Złodziej nigdy nie powinien żyć z frajerką... Albo go zdradzi, albo do kicza wpakuje, albo krew z niego wyssie jak pijawka...

IV.

AMOR DOBIERA WYTRYCHY DO SERC.

Jaś kąpał się w przygodach... Miał dużo pieniędzy. Elegancko się ubrał i bardzo dbał o swój wygląd. Marusia Łobowa, widząc próżność chłopca, pochlebiała mu, chcąc go w ten sposób zatrzymać przy sobie. Chłopiec zaczął ją nawet tyranizować, lecz ona i to znosiła, bo poprzedni kaprys kobiety przetworzył się u niej w nieco samolubną miłość.

Chłopiec nie był zdolny kochać (fizycznie) jednej kobiety. Pociągały go wszystkie ładnie zbudowane, lub czymkolwiek wyróżniające się dziewczęta. Prawie w każdej wynajdywał coś ciekawego, co podniecało jego wyobraźnię. Marusia — bardzo doświadczona erotycznie — zaczęła używać coraz wyszukańszych pieszczot, posuwając się aż do perwersji. Chłopiec przy tym pokrywał zakłopotanie udaną swobodą lub zasłyszczanym od kolegów cynizmem i brnął w rozpustę.

Marusia postanowiła opanować zmysły Jasia i stać się dla niego niezbędną. „Po mnie, po moich pieszczotach, każda inna kobieta będzie dla niego nudna”.

Role ich się zmieniły. Dawniej Marusia była

śmiała, lubiła ukazywać się nago, aby chłopca podniecać. Teraz Jaś nic sobie nie robiąc z obecności Marusi chodził nago po pokoju. Mył się przy niej. Gimnastykował. W dużej mierze wpłynęła na to świadomość Jasia, że jest pięknie zbudowany. A świadomość tę rozbudziła i utrwaliła w nim sama Marusia. „Tyś mój grecki bóg! Żywy marmur! Tyś powinien goły chodzić po ulicach!” mówiła do niego Marusia. Pokazywała mu reprodukcje słynnych rzeźb i obrazów. Pokazała kiedyś duży francuski album męskich aktów. „Jesteś piękniejszy od nich wszystkich”, mówiła Łobowa. „Twoje ciało, twoje ruchy, to sama harmonia!” I Jaś wbijał się w szczenięcą dumę i rzeczywiście wracał do Marusi, bo polubił jej zachwyty nad sobą... Natomiast Łobowa coraz oszczędniej operowała nagością. Tyle tylko, aby podniecić go, gdy uważała to za potrzebne. Rozumiała, że Jaś jej nie kocha, a nie chciała mu spowszednieć. Wiedziała z doświadczenia, że jeśli mężczyzna nie kocha, to nadmierne zaspokojenie jego ciekawości erotycznej prowadzi do zubożenia, a nawet do odrazy.

Ze stosunku z Łobową Jaś dużo zyskał. Marusia w znacznym stopniu rozszerzyła jego wiedzę o życiu i ludziach. Chłopiec był bardzo ciekawy, a Marusia chętnie i ładnie opowiadała. Łobowa uczyła Jasia, jak się ubierać gustownie. Wynalazła dla niego odpowiednie uczesanie włosów. Opowiadała mu dużo i szczerze o kobietach.

Pewnego razu, gdy w czasie pieszczot Marusia była zbyt śmiała, Jaś powiedział:

— Mnie przykre to co robisz; to musi być i dla ciebie nieprzyjemne.

Marusia odparła:

— Dzieciaku mój... Wiedz, że nie w tobie nie

jest mi wstrętne... Czyż ty nie zrozumiałeś dotychczas, że ja ciebie kocham... Czy matka brzydzi się dzieckiem, które kocha?... Wiem, że ty mnie nie kochasz i że w ogóle nie umiesz kochać... Żeby nauczyć się kochać i pokochać naprawdę trzeba długo żyć i wiele się zawieść... Nie ma miłości młodszej... Jest tylko młodzieńcza głupota i urojenia... Miłość to jest to, co ja dla ciebie czuję teraz... Ja nie rozumiałam tego od razu... Bawiłam się tylko tobą... I oparzyłam się... A jak przyszedł czas, że chciałam ciebie wyrzucić precz z myśli, to zobaczyłam to... że nie mogę... Ty mnie nie rozumiesz... Nie mów nic... Ja jak matka... wiem, że ciebie porwie ode mnie inna kobieta, czy w ogóle kobiety... I godzę się z tym... Tylko mi smutno, bo ja ciebie naprawdę kocham...

Jaś milczał. To co powiedziała Marusia nagle przeraziło go. Czemuś było mu wstyd. Po pewnym czasie zrozumiał dlaczego: „Te pieszczoty jej, to ofiara dla mnie... bo mnie kocha...” Jednak Jaś, pomimo to że był dość wrażliwy i dobry, nie umiał znaleźć w sobie żadnych ciepłych uczuć dla Marusi. Tylko stał się dla niej więcej grzeczny i uprzedzający. Marusia w lot to spostrzegła i pewnego razu powiedziała smutnie:

—Mój miły, ty się zmieniłeś dla mnie na lepsze. To dlatego, że wówczas nie wytrzymałam... Powiedziałam ci to, o czym nie powinnam była mówić... Ale ty o tym nie myśl... Mnie wystarczy to co ja czuję... To też dużo... Bądź taki jak przedtem... Ja chcę tylko żebyś ty mi ufał i chcę abyś u mnie dobrze się czuł... Chcę być twoją czystą radością i wypoczynkiem, bez żadnego z twej strony przymusu.

Lecz przymus ten już się stworzył. Marusia przestała istnieć dla Jasia, jako narzędzie dla

osiągania przyjemności. Stała się człowiekiem...

Pewnego razu Jaś dostrzegł, że Marusi coraz gorzej się powodzi. Straciła parę lekcji francuskiego, bo przyszła moda na niemiecki. A bibliotekę zamknięto. Potem wuj Żardoń zawołał Jasia w kąć podwórza i rozwinął trzymaną pod pachą paczkę:

— Zobacz, jakie biżuterie!

Pokazał Jasiowi kilka par ładnych koszulek i majteczek.

— Na psy nasza hrabina schodzi... Dopóki tu Lenin z Trockim na pomoc jej przyjdą, to cały międzynarodowy interwał opchnie!

— To Łobowej?

— Teks!... Pani komisarzowej łatki na zadki... Fest żyli przedstawiciele proletariuchów! Komu była, komu — na, a komu — nie...

Wuj Żardoń, błaznując potrząsał majtkami.

— Wyjdę na rynek: ej towarzysze, łączcie się pod tym sztandarem... wszystkim miejsca wystarczy!

— Niech wuj tak się nie wygłupia! — rzekł Jaś zirytowany.

— A co smyku! — zdziwił się wuj. — Może i ty już na melodię międzynarodowego Bogu się modlisz?... Ha?...

— Wcale się nie modlę. Nie nagrzeżyłem tyle ile wuj. Tylko wuj do słowa przyjść nie daje.

— No, przyjdź sobie.

— Chcę tę bieliznę od wuja kupić.

— Do wachania, czy do lizania... A?... A może w ramki oprawisz?... Bo dla ciebie się nie nadaje: rozporka nie ma.

— Wuj na starość całkiem zwariował.

— Naturalnie: babskich majtasów już pod poduszką nie trzymam.

— Chcę kupić ja dla swojej dziewczynki. Rozumie wuj... I niech wuj zapomni o tamtym Jasiu, co z wujem baby w łaźni podglądał... To dobre dla wuja... Ja mogę ładną babę i w łóżku mieć. Wuj wziął to na sprzedaż. Ja jestem pierwszy kupiec. Ile wuj za to chce?... Ot i cały interes.

— O, to ty tak się obszubał? — pociągnął zdumiony Filip Żardoń.

A tak... A jak wuj będzie ze mnie kpić, to mogę wujowi coś niemiłego powiedzieć.

— Cholero! Daj ciębie uścisk! To mi kupiec! Masz te delicje kochasiu i świdruj tu 1000 rubelków! — wuj szyderczo się uśmiechnął i zmrużył oczy.

Lecz Jaś uroczyście wywindował z kieszeni grubo wypchany portfel i demonstrując dolarowe banknoty, odliczył 1500 rubli:

— Proszę. Pięćset rubli więcej: za pogaduszki.

Wuj skwapliwie przyjął pieniądze i szyderczo zadeklamował:

— Dziękuję najuprzejmiej szanownemu panu Janowi za jego szczodroblliwość. Polecam się pa-mięci... Mam porteczki po zmarłym rabinie... Antyk można powiedzieć... Amatorska rzecz. Może pan Jan reflektuje?

— Dziękuję, proszę sobie na pogrzeb zachować! Wuja diabeł już dawno szuka po świecie, bo w piekle bez wuja nudno... I niech wuj nie mówi Łobowej, że ja to kupiłem...

— Powiem wszystkim... Afisze wydrukuję... W gazetach ogłoszę... Majtki furami będą zwozić... Taki kupiec...

I wuj błaznując poszedł rozrachować się z Łobową za dany mu na sprzedaż towar. A Jaś ze smutkiem myślał, że dotychczas nie przyszedł z pomocą Marusi, która dla niego była zawsze tak

hojna. Tylko w ostatnich miesiącach coraz rzadziej ukazywały się na stole dobre wina i smakołyki. Dopiero teraz Jaś zrozumiał przyczynę tego.

Nazajutrz Jaś poszedł do miasta i zakupił całą pakę różnych wiktuałów. Były tam i nieumiejętnie wybrane wina. Jaś przywiózł to do domu i postawił w spiżarni. Na dziedzińcu spotkał Marusię. Była dość wesółą:

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem na dobrą kolację — zaprosiła Jasia.

— Dobrze — rzekł Jaś — ale tylko pod pewnym warunkiem.

— Jaki warunek?! — zdziwiła się Łobowa.

— Że przyjmiesz ode mnie prezent i spełnisz jedną prośbę.

— Dobrze, dobrze — uśmiechnęła się Marusia.

Gdy Jaś wieczorem przyszedł do Łobowej, zobaczył na stole ciastka, cukierki, owoce i flaszkę likieru. Marusia wiedziała, że Jaś lubi słodczyce. W maszynce była przygotowana do zaparzenia kawa.

— Nareszcie — rzekła Marusia. — Siadaj, zaraz będzie kawa.

— Tylko przedtem prezent ci przyniosę — odparł Jaś i poszedł do spiżarni.

Wkrótce przyniósł i postawił na krześle sporą paczkę, którą zaczął rozpakowywać, wydostając z niej flaszki wina, pudełka sardynek, sery, wędlinę, biszkopty, słodczyce.

— Jaki z ciebie dzieciak! — rzekła Marusia.

— Jak niepraktycznie to załatwiłeś. Po co tyle masła? Będzie się psuło. I w ogóle.

— Prezentu się nie krytykuje — rzekł Jaś. — A teraz prośba: ja jestem dla ciebie bardzo życzliwy i przykro mi, że nie masz do mnie zaufania

— Na przykład?!

— Na przykład to! — Jaś rozwinął z papieru bieliznę Marusi, którą kupił od wuja. — Jesteś w kłopotach materialnych, sprzedajesz potrzebne ci rzeczy, a nie mi o tym nie mówisz. Ja znowu pomagam ci przejadać te pieniądze i tego nie dostrzegam. Dopiero przypadek mi to wyjaśnił. Wówczas zrozumiałem wszystko... To dla mnie ogromnie przykre, szczególnie dlatego, że w ostatnich miesiącach zarobiłem dużo pieniędzy... Przecież widziałaś, że kupuję sobie ładne ubrania i rzeczy. Mogłaś mi powiedzieć o swych kłopotach... Czemu nie mówisz?

Lecz Marusia zamiast odpowiedzi zaczęła płakać. I nikt by z mieszkańców podwórza, którzy znali Łobową, jako energiczną, śmiałą, umiejącą kłąć, a nawet zdolną i do rękoczynów komisarzową, nie uwierzył, że Marusia potrafi tak głupio, po dziecinnemu łkać.

— ...Przyjdą towarzysze: nowe zacznie się życie... Kraść nie trzeba. Każdemu pracę dadzą. Wszystko jedno czy ma kto prawa, czy nie. Złodziej, nie złodziej — każdy swoje poszanowanie ma...

Wygłaszał uroczyście Czesiek Swoboda, łódzki złodziej kieszonkowy, który kiedyś należał do P.P.S. i był bojówkarzem. Potem z jakichś względów został usunięty z partii i trafił do więzienia. Tam wykrył w sobie zdolność do operacji kieszonkowych i zaczął „uprawiać dolinę”. Teraz przeczytał kilka propagandowych książek bolszewickich i poczuł do nich wielką sympatię. A ponieważ miał pociąg do agitowania, więc nie opuszczał żadnej sposobności, aby aktualną mówkę machnąć.

Janek Złoty Ząb sceptycznie mu się przysłu-

chiwał. W pewnym momencie przerwał Cześkowi swym ulubionym powiedzonkiem:

— Franek nie rób wiatru!... A co będzie z takimi co sił, albo zdrowia nie mają do pracy. No?

— Też utrzymanie dostaną... Bo to nie burzuje, a nasi bracia — proletariusze. Tam jest taki człowiek, Lenin się nazywa, bo jak uciekał z Sybiru, to największą na świecie rzekę, Lenę, w ubraniu przepłynął. Otóż ten sam Lenin i jego szwagier Marks wynaleźli taką maszynę, co z drzewa lub słomy jakie chcesz żarcie zrobi.

— I kielbasę? — zainteresował się Baran.

— Nawet salceson i szynkę — odparł Czesiek Swoboda.

— A fotografie masz? — ironicznie odezwał się Janek Złoty Ząb.

Lecz Swoboda, nie zwracając uwagi na docinki, w dalszym ciągu opowiadał o raju sowieckim, o którym sam nie miał pojęcia. Złodzieje albo nieufnie, albo obojętnie mu się przysłuchiwali. Na ogół przestępcy polityką się nie interesują, a do socjalistów nie mają zaufania. Niektórzy nawet nienawidzą tych zbawców proletariatu. Wpłynęły na to znane w 1905 roku zatargi między złodziejami i bojówkarzami z P.P.S. w Warszawie i Łodzi. Starzy złodzieje dotychczas pienia się przy wspomnieniu o tamtych czasach i zajęciach.

— Ty nam tu chrzanem nie nieprz — odezwał się Żaba, stary warszawski złodziej, przerywając mowę Swobody. — Nam nikt nie da zbawienia. Ni Bóg, ni cesarz, ni bohater (*). A tym więcej żaden szpagat. Złodziej tylko na złodzieja może liczyć.

— Z jednej strony to jest racja, z drugiej stro-

* Początek « Internacjonalu » w języku rosyjskim.

ny sytuacja — powiedział milczący dotąd Peta (poeta).

Profesor uważał za potrzebne dla swej godności też zabrać głos w tej sprawie:

— Cały ten komunizm ma dużo efektów — miał na myśli: defektów — i nie wytrzymuje „subletnej” krytyki. Trzeba mieć „kurzą” ślepotę, żeby tego nie widzieć. Ja uważam tak, że każdy kto bolszewików chwali konwencjonalnie kłamie...

Dyskusję na tym zamknięto. Jednak Czesiek Swoboda bynajmniej nie uznał się za przekonanego i nadal, gdzie tylko się nadarzyło, agitował za bolszewikami.

Olek Baran drugi tydzień włóczył się po truszczeniach. Od tygodnia zaczął dużo pić. Od czasu do czasu chodził na nocne roboty „na sznif”. Rana mu się podgoiła, ale ręką władał jeszcze niezbyt swobodnie.

Lecz ani wódka, ani roboty, ani towarzystwo swoich chłopaków i hulanki, nie mogły zagoić w nim tej rany w sercu, którą mu Pawcia zadała. I złodziej w bezsenne noce z goryczą myślał o swej kochance, którą nadal lubił gorąco. Na melinach podsuwano mu dziewczęta lub kobiety; narzucały mu się złodziejki i prostytutki — każdej imponowałby taki kochanek — lecz Oleś obojętnie się odnosił do każdej.

Pewnego razu, idąc Kołomińską ulicą, Olek zupełnie niespodzianie dla siebie spotkał Paulinkę. Chciał ją wyminąć, lecz Paulinka stanęła mu na drodze.

— Oluś! Mój kochany! Gdzieżeś ty się podział?... Jaż ciebie szukam po całym mieście!

— A na co ci jestem potrzebny?

Baran uważnie patrzył w oczy kobiecie

— Jak ty tak możesz mówić!... Ja sobie oczy wyplakałam, a ty się śmiesz.

Baran się nachmurzył.

— Czego ty chcesz?

W oczach Paulinki ukazały się łzy.

— Nic od ciebie nie żądam. Chcę tylko, żebyś przyszedł do domu... Nie chcesz żyć ze mną, to nie żyj, ale czy tak się ludzie rozstają... Ja nie wiem, co i robić... Olusiu!

Zaczęto na nich zwracać uwagę. Baran poczuł, że od łez Paulinki coś mu serce ściska. Powiedział pośpiesznie:

— No dobrze: przyjdę dziś wieczorem. Idź teraz, bo ludzie patrzą.

Po spotkaniu z Paulinką Baran długo chodził ulicami. Potem skierował się do Gubernatorskiego Ogrodu. Tam usiadł na ławeczce nad brzegiem rzeki i długo bezmyślnie patrzył w fale.

Tymczasem Paulinka krzątała się w domu, aby jak najlepiej przyjąć kochanka. Lekcja Churdzi-cza nie poszła na marne. Cóрка okazała się bardzo pojętną uczennicą. Przygotowała dobrą kolację, nawet flaszkę wódki postawiła na przygotowanym do przyjęcia stole. Porządnie sprzątnęła mieszkanie. Sama dobrze się ubrała.

Olek przyszedł gdy zapadł zmierzch. Patrzył ponuro i nieufnie. Paulinka od progu przyjęła go radosnym: „No nareszcie!”. Podbiegła do Barana i objęła go ramionami za szyję. Spostrzegła że Baran bardzo zimno do tego się odniósł.

— Olusiu, mój miły! Czemu ty taki?

— Dobrze wiesz czemu...

— Olusiu — Paulinka złożyła ręce — przysięgam ci, że nigdy w życiu z takim draniem się nie zobaczę... Ty wiesz, Olku: ja go tak nienawidzę! Tak nienawidzę! Boże! Udusiłabym go włas-

nymi rękami... A ty mi nie wierzysz!

W głosie i w spojrzeniu Paulinki było tyle szczerości i brzmiała tak niekłamana nienawiść dla fryzjera, że Olek uwierzył. Przez chwilę jeszcze milczał, potem rzekł powoli:

— No dobrze... Ja o tamtym zapomnę... Niech już tak będzie jak było...

Paulinka rzuciła się na szyję Olkowi.

Baran nigdy jeszcze nie widział Paulinki tak pięknej i ujmującej. Po prostu promieniowała z niej radość i werwa. Przy kolacji nalewała Olkowi kieliszki i sama piła, wesoło się śmiejąc... Oboje ani słówkiem nie wspominali o tamtym zajściu.

Pierwszy raz od dwóch tygodni Baran położył się spać w czystym pachnącym świeżą bielizną łóżku. A niedługo potem Paulinka wesoła, nieco podchmielona, wślizgnęła się do jego łóżka.

— Wiesz, ja sama tak się bałam... I było mi bez ciebie tak smutno... Olusiu, mój kochany!

Po raz pierwszy w życiu Oluś poczuł się naprawdę szczęśliwy. W duszy jego jeszcze snuły się jakieś cienie, lecz i one wnet znikły, od namiętnych, tym razem przez samą Paulinkę szczerze darzonych, pieszczot.

V.

JAS I SZTUKI PIĘKNE

Od pewnego czasu Jaś dorywczo „chodził po dolinie”. Pracował z Toską Sroką, Kulomiotem i ze Swobodą. Kulomiot był najsprytniejszym doliniarzem miasta. Swoboda też dobrze pracował, lecz nie miał tego „gliku”, co Kulomiot. Przezwiśko swoje Kulomiot otrzymał ze względu na dziwny sposób mówienia. Gadał prędko, niewyraźnie i czasem trudno go było zrozumieć. W Warszawie nazywano go Sięczkarnią. Tosia Sroka, chociaż była samodzielną złodziejką, pracując z kompanami dawała im pierwszeństwo w robocie. Przy wspólnej pracy występowała, jako „tucerką” (*) albo „robiła ściankę” (**). Jaś pracował na razie również, jako „tucer”, lecz od czasu do czasu próbował swych zdolności w dolinie. Kilka razy zrobił „zakupy” z „oczka” i „wierzchówki” (***).

Jaś podziwiał wspaniałą zdolność Kulomiota, który niezawodnie „kupował” najgrubsze „skó-

* Tucér — naganiacz kieszonkowca.

** Oślaniała kradnącego.

*** Zewnętrzne kieszenie.

ry'', z najdalej ukrytych kieszeni. Kieszonkowiec nie obawiał się nigdy, że ofiara może spostrzec jego zabiegi. Natomiast uważa za niebezpiecznych przechodniów i dlatego była potrzebna „ścianka''. Parę razy się zdarzyło, że obrabiali frajera w ruchu, działając we czwórkę. Niektóre roboty były bardzo skomplikowane. Trzeba było rozpinać palto, marynarkę, nawet kamizelkę. Kulomiot nie lubił operowania żyłką do wycinania. Uważał, że wszystkiego można dokonać palcami.

Zazwyczaj kieszonkowcy, szczególnie rosyjscy, pracują, osłaniając swe ruchy szalikiem, gazetą, książką lub obrazkiem, stąd rosyjska nazwa doli-niarza: szyrmarz, od szyrma = parawan, osłona.

Najłatwiej „uprawiać dolinę'' w tłoku. Jeśli sposobności takiej nie było, robiono umiejętnie sztuczny tłok, przez zahamowanie drogi, przepraszanie z lewa, wówczas gdy współnik ocierał się o ofiarę z prawa i odchodził z portfelem. W tym Tośka Sroka była bezkonkurencyjna. Umiała nie tylko zatamować frajerowi drogę, lecz i zaczepić się o niego tak gruntownie, że trudno było się wywikłać. Dokonywała tego kokardkami u mufki (jej szyrma), sznurami na rękawach, haczykiem u palta... Zwykle wdzięcznie przepraszała, z pięknie udanym zażenowaniem i czasem wyswobadzając się z jednego zahaczenia, powodowała następne — jeśli to było potrzebne! Kulomiot bardzo lubi pracować ze Sroką. Mawiał...

— Z Tośką, o-o-o! Ja z fra...a...je...je...ra...,ra...ra... i krawat zdej — mę ta...ta...tak!

Swoboda dość często stosował przypalanie papierosa. Czasem brał torebkę gipsu lub mąki i niosąc zaczepiał za ofiarę, wysypując zawartość. Po tem usilnie przepraszał i pomagał oczyszczać zabrudzone ubranie. I przy tym dokonywał roboty.

Metody i tricki doliniarzy były bardzo pomyślowe. Np. szpilki z krawatów wyciągano pętelką z cienkiego drutu, umocowaną u brzegu kapelusza lub przy końcu laseczki albo parasola. Pewnego razu Jaś do łez się uśmieł, widząc, jak Swoboda „wziął” chama „na wuja”. Był to miasteczkowy handlarz bydła, który spieniężył partię świń, czy krów i wsadził grubo wyładowaną „skórę” głęboko do kieszeni kamizelki, pod marynarkę. Robili go we trzech: Jaś, Sroka i Swoboda. Jaś, idąc z tyłu, uderzył go dłonią po ramieniu.

— Przepraszam pana...

Handlarz odwrócił głowę w lewo, idąc nieco wolniej. Wtem Tośka Sroka szła naprzeciw, otarła się o handlarza i rozpięła mu marynarkę i górny guzik kamizelki.

— Gdzie jest ulica Dołgobrodzka? — spytał Jaś.

— A nie wiem panie. Gdzieś za Gubernatorskim Ogrodem.

Wtedy Czesiek Swoboda rzucił się frajerowi na szyję ze słowami: „Wuju, kochany!”. Zaczął go ścisnąć i całować. Handlarz zgłupiał. Przechodnie oglądali się. Jaś „robiąc ścianę”, uśmiechał się. Wtem Swoboda zdziwiony się cofnął.

— Ach, przepraszam pana... Takie podobieństwo!... Myślałem, że to mój wujaszek przyjechał z Mołodeczna...

Złodzieje oddalili się, a handlarz jeszcze nie prędko spostrzegł brak portfela. Nie wiadomo, czy posadził dziwnego krewniaka o kradzież. Może nie przyszło mu to nawet do głowy.

Kilka razy wspólnicy jeździli na gościnne występy — „na gastroli”, do małych miasteczek, w pobliżu Mińska, gdy tam się odbywały większe jarmarki. Nie do uwierzenia, że w ciągu kilku go-

dzin pobytu na rynku robili 30 do 60 kradzieży. Lecz te wypadki z miasta były rzadkie. Operowano raczej w mieście na rynkach, dworcach, na giełdzie, w sklepach, urzędach, bankach, teatrach. Tam, gdzie nadarzała się sposobność by dostrzec, że frajer ma gotówkę i gdzie ją chowa.

Ze Sroką Jaś się zaprzyjaźnił. Podobała mu się werwa i fantazja dziewczyny. Poza tym szanował jej charakter. Tośka kochanków nie miała. Była samodzielna, śmiała i pewna siebie, jak mężczyzna. Chłopaki nazwali ją Sroka, ze względu na to, że lubiła się stroić. Tośka była zawsze elegancka, czysta i wesoła. Jednocześnie była bardzo pomyślowa. Prócz doliny Tosia uprawiała „szopenfeld”. Wciągnęła w tę pracę i Jasia. „Na szop” chodzili we trójkę: Jaś, Sroka i Sabina, przyjaciółka Tosi, zawodowa szopenfeldziara.

Sabina miała około 40 lat. Była szczupłą, wysoka i, w odróżnieniu od Tośki, bardzo poważna, prawie ponura. Pochodziła z Białegostoku. „Na szop” chodziła po całej Rosji. Znała doskonale Moskwę, Petersburg, Kijów, Charków, Odessę, Warszawę, Lwów. Jeździła na gastrole za granicę. Była w Wiedniu, Berlinie, Paryżu. Odbyła kilka wyroków w różnych państwach. Znała język polski, rosyjski, niemiecki, francuski i żargon żydowski. Była to złodziejska arystokratka ze starej gwardii. W swoim fachu pracowała 20 lat. Karierę rozpoczęła od tego, że stała się kochanką słynnego w Rosji aferzysty, kolegi Schpeiera, postaci prawie legendarnej. Gdy Schpeier wpadł i zlikwidowano „Klub Czerwiennych Waletów”, kochanek Sabiny pracował w międzynarodowych pociągach i w modnych uzdrowiskach. Sabina występowała zwykle, jako jego żona. Mieszkali zazwyczaj na

fałszywych dokumentach. Kochanek Sabiny zaraz po rewolucji 1917 roku pojechał do Moskwy i nie wrócił. Dotychczas nie było o nim żadnych wiadomości. Sabina została sama. Z początku utrzymywała się ze sprzedaży wartościowszych rzeczy. Potem zaczęła chodzić „na szop”.

Obecne czasy i praca były dla Sabiny degradacją. Ona, która poprzednio pracowała w międzynarodowych pociągach, w luksusowych hotelach, albo w pierwszorzędnym sklepie jubilerskim, teraz chodziła na pospolity „szop”, kradnąc ze sklepów sztuki materiałów, pończochy, galanterię, nawet pantofle i kalosze.

Sabina, wspominając dobre czasy, opowiadała Jasiowi, jak zarabiała dziesiątki tysięcy w najlepszych sklepach jubilerskich europejskich stolic. Twierdziła, że to jej wynalazkiem była sztuczna ręka, umieszczona w rękawie i zawieszona na temblaku, zastępowała prawdziwą rękę (lewą), schowaną pod nakryciem. Można było, prawie bez ryzyka, brać z lady kosztowności, lub zamieniać je na małowartościowe imitacje.

Kobietom łatwiej chodzić na szop, niż mężczyznom. Suknie ich dają możliwość chowania nawet dużych rzeczy. Zwykle pod spódnicami mają torbę, urządzone jak fartuch, albo taśmy, ewentualnie haki — zależnie od rodzaju towaru i zamiłowania szopenfeldziarzy. Takie schowki są i w pałtach. Poza tym posługują się parasolkami, koszykiem, walizeczką, torebką.

Zwykłą ich taktyką było zwiedzanie sklepów we trójkę. Udawali rodzeństwo: Sabina — matka, Jaś i Tośka — dzieci. Zawsze byli dobrze ubrani i to, wzbudzając zaufanie, ułatwiało pracę. Starali się przyjść do sklepu w czasie największego ruchu. Sabina ze znanstwem żądała drogich materiałów

na suknie, bieliznę lub palta. Tosia kaprysiła, wybierając desenie. To — za ciemne, tamte — za jasne, to nietwarzowe. Jaś, doradzając, zwiększał chaos... Zawalano ładę górami materiałów. Wreszcie kupowano jakiś drobiazg lub nic nie kupowano, obiecując wstąpić później... po naradzie z krawcową, lub prosząc o sprowadzenie takich gatunków, jakich nie było w sklepie.

Zawsze po takiej wizycie ze sklepu w tajemniczy sposób znikala pewna ilość towaru... Tak samo kradziono galanterie, futra, gotowe ubrania, a czasem nawet artykuły spożywcze.

Pewnego razu Sroka wpadła na pomysł kupowania w dużej Miejskiej Kooperatywie wielkich ilości towaru za drobne pieniądze. Spostrzegła, że ekspedientka wydaje towar po okazaniu kartki z kasy ze stemplem: Zapłacone. Więc urządzali się w ten sposób, że Jaś szedł do Kooperatywy sam i kupował różne drobiazgi: papierosy, zapalki, szkło do lampy... Następnie wracał do kasy należność z rachunku i otrzymywał kwit kasowy ze stemplem: „Zapłacone” i z sumą wypisaną na kwicie ołówkiem. Jaś płacił w kasie, lecz towaru nie odbierał. W ten sposób zostawało mu kilka kwitów. Wówczas szedł do Sroki. Wycierano gumką sumę i po upływie pewnego czasu, przeważnie wieczorem, szli razem do Kooperatywy. Tośka kupowała sardynki, wina, sery, bakalie, czekoladę, herbatę itp. Gdy wszystko było wybrane, ekspedientka wypisywała rachunek i dawała go Tośce, sama zabierając się do pakowania towaru. Tośka oddawała go Jasiowi.

— Masz, zapłacić w kasie.

— Dobrze — odpowiadał Jaś i szedł w kierunku kasy.

Tam stawał z boku i na porannym kwicie wpi-

sywał sumę z obecnie otrzymanego kwitu. Potem wracał do lady i oddawał Tośce kwit. Tamta wręczała go ekspedientce i potem wychodziła z paczką ze sklepu. Z różnymi modyfikacjami — zależnie od sytuacji — powtórzyli to kilkanaście razy, wykorzystując zawsze natłok w kooperatywie, potem roboty tej zaprzestali... Wiedzieli, że personel sklepowy wreszcie się połapie na oszustwie i mogą wpaść.

Sabina mieszkała w hotelu obok dworca. Mówiła, że w hotelu najlepiej się czuje, bo całe życie — odkąd poznała swego męża (nigdy nie mówiła kochanka) — spędziła w hotelach, od najwykwintniejszych do nędznych zajazdów. Jaś i Tośka często ją odwiedzali, planując nowe roboty, lub w ogóle przychodzili na pogaduszki.

Pewnego wieczoru Jaś i Tośka pili u Sabiny herbatę dość obficie zaprawioną koniakiem. Sabina ożywiła się i zaczęła opowiadać o swym mężu. Pokazała kilka jego fotografii.

— ...Ja nie żałuję, że spędziłam życie z aferzystą, że przeżyłam je w pociągach, hotelach i więzieniach. Więzienie było dla mnie wypoczynkiem i szkołą, a praca z mężem-opium... Nie myślcie, że mam chociaż cień żalu do niego lub do siebie... Żeby mogła na nowo zacząć życie, żeby dano mi inny, najświetniejszy los z kimś innym... nie zgodziłabym się... Myśmy byli nie małżeństwem, a przyjaciółmi. A przyjaźń nasza była większa i więcej warta dla nas, niż najgorętsza miłość... Myśmy kpili z życia i z ludzi. Nauczyliśmy się pogardzać nędzną, tchórzliwą, obłudną trzodą bogaczy i z radością obieraliśmy ich z pieniędzy... My rozmawialiśmy oczami... rozumieliśmy swoje dusze... My w naszym związku byliśmy wolni zupeł-

nie i wiązały nas tylko wspólne myśli i wspólna wiara w siebie... W nas nie było ani krzty wyrachowania... Ja znam życie... widziałam tysiące małżeństw... Wiem, jakie ohydne zdarzają się związki... Jeśli pominąć wszystkie kombinacje, czy przypadki, dla których ludzie się żenia, jeśli wziąć za przykład najlepsze małżeństwa, to prawie każde stawało się z biegiem czasu więzieniem dla dwóch ludzi... Kajdanami, które wlekli albo z musu, albo z przyzwyczajenia, albo z wyrachowania, albo przez tchórzostwo. U nas wszystko było szczere i swobodne. Ani on, ani ja nie dążyliśmy do tego, aby być w górze, mieć przewagę. Nigdyśmy nie szukali w sobie wad. Nigdy dla jednej urazy, nie zapominaliśmy setek wypadków dobroci... Nie byliśmy stałem rozplodowym, a sprzymierzeńcami, zawsze sobie wiernymi psychicznie w zły i dobrej godzinie.

Jaś i Sroka chętnie słuchali, a Sabina, rozpromieniona, dużo opowiadała o swym „mężu”. Opowiedziała kilka słynnych jego afer.

— ...Pewnego razu Petersburg odwiedziła grupa Anglików. Byli to bardzo zamożni ludzie. Michaś (kochanek Sabiny), przez swoich informatorów, których on i jego koledzy mieli wszędzie, dowiedział się, że jeden z angielskich gości chce kupić w Petersburgu pałac. Zrobiono naradę i zabrano się do pracy. Znaleziono odpowiedni do sprzedaży pałac. Należał do jednego z asów finansjery rosyjskiej. Udano się do niego i poproszono o pozwolenie na zwiedzenie pałacu przez Anglików. Michaś i jeden z jego kolegów przedstawili się właścicielowi pałacu, jako wyżsi urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pozwolenie łatwo otrzymano i właściciel czuł się zaszczycony tym wyróżnieniem. Natychmiast inny człowiek z

ich paczki, wspaniale władający językiem angielskim, porozumiał się z Anglikami telefonicznie w sprawie sprzedaży pałacu. Wyznaczono spotkanie dla obejrzenia obiektu.

Nazajutrz do pałacu kupca R. przyjechało dwóch Anglików w towarzystwie dwóch aferzystów. Właściciela w domu nie było. Zresztą gdyby był, to też nie wielką stanowiłby przeszkodę, bo kupiec nie znał języka angielskiego, a Anglicy rosyjskiego. Zwiedzającym, w myśl zarządzenia kupca, pokazano cały pałac. Trwało to sporo czasu... Wreszcie Anglicy postanowili pałac nabyć. Jeden z aferzystów występował jako właściciel pałacu.

W dalszym ciągu tej sprawy, po paru dniach, Anglicy i aferzyści udali się do notariusza, dla spisania aktu kupna... Wszystko już było do tego przygotowane. Na jednej z pobliskich ulic ukazał się na frontowych drzwiach skromny szyld: Notariusz. Tu, przez innych członków bandy aferzystów, została zainscenizowana kancelaria notariusza.

Umowę spisano i podpisano. Tytułem zadatku otrzymano czek do banku na bardzo wysoką sumę, którą natychmiast podjęto. Wówczas znikła i kancelaria notariusza i aferzyści.

Gdy w parę dni potem Anglicy według umowy mieli się wprowadzić do pałacu, byli zdziwieni, że wszystko tam było po dawnemu. Kupiec spotkał ich bardzo chętnie, domysławiając się, że ma do czynienia z Anglikami, którzy zwiedzali jego pałac. Lecz porozumieć się ze sobą nie umieli. Kupiec znów oprowadził ich po pałacu i zaprosił na obiad... Wytworzyła się komiczna sytuacja. Kupiec się dziwił, że ci Anglicy są tacy natrętni. An-

glicy zdumiewali się — że umowa nie została dotrzymana.

Sytuacja się wyjaśniła. Policja zaczęła energiczne poszukiwania aferzystów — naturalnie bezskutecznie. Prawdopodobnie rząd rosyjski zwrócił Anglikom stracone pieniądze..

Jaś już słyszał opowiadania o tej aferze, tylko kupcami byli nie Anglicy, a przemysłowiec z południowej Rosji, a sprzedano pałac jakiegoś księcia.

Następna, ciekawsza afera dokonana była w Moskwie. Pewnego razu jeden z aferzystów zobaczył jadącego z drzewem na targ chłopą, który do złudzenia mu kogoś przypominał. Po pewnym zastanowieniu się zorientował, że chłop jest bardzo podobny do znanego w Moskwie metropolity. Przyszło mu do głowy, że to podobieństwo można wyzyskać. Robotę rozpoczął w ten sposób, że kupił od chłopą drzewo i kazał mu przyjechać do Moskwy na służbę, za którą miał otrzymywać 100 rubli miesięcznie. Chłop zgodził się z radością, bo suma ta dla niego była ogromna. Aferzysta dał mu 30 rubli jako zaliczkę na pensję i kazał zgłosić się za tydzień.

Gdy chłop przyjechał już na stałe do miasta, wzięto go w obroty. Pracy prawie nie miał, natomiast uszyto dla niego duchowne suknie i uczono się modlić. Było to trochę dziwne, ale panowie jego byli tacy mądrzy i hojni, tak doskonale go karmili i poili, że chłopina o nic nie pytał. „Chyba lepiej wiedzą, co i jak, niż ja - ciemny chłop”. Zresztą pensję płacą, więc co tu pytać. Trzeba robić, co każą”.

Po dłuższej tresurze i przygotowaniach uznano sprawę za dojrzałą do likwidacji... Otóż pewnego dnia, do jednego z dużych sklepów jubilerskich na

Kuźnieckim Moście, podjechała znana w Moskwie karoca metropolity. Z karocy wyszedł sam pasterz, prowadzony z uszanowaniem pod rękę przez jakiegoś duchownego niższej rangi, i w asyście cywilnego urzędnika z teczką, skierowali się do sklepu. Właściciel był bardzo zaszczycony tymi odwiedzinami i czekał na zlecenia. Sekretarz zwrócił się do właściciela sklepu.

— Jewo Preoświaszczeństwo (*) chce kupić dla kilku klasztorów i nowych cerkwi na Północy większą ilość cerkiewnych rzeczy.

— Można zrobić na obstalunek.

— Na to nie ma czasu, bo jutro jedziemy na inspekcję. Proszę pokazać to co jest.

Na ladach się ukazało wiele kosztownych naczyń cerkiewnych i krzyżów. Zaczęto wybierać potrzebne rzeczy: Sekretarz spoglądał w spisy i wymieniał ilości poszczególnych rzeczy. Protojerej (**) je wybierał. Wreszcie zakupy skończono. Sekretarz podał właścicielowi sklepu walizkę i kazał wszystko tam ułożyć. Następnie poprosił o rachunek. Sprawdził sumę i rzekł do „metropolity”.

— Może wasze Preoświaszczeństwo zaczeka trochę w sklepie, żeby się nie fatygować jazdą, a my tymczasem podejmiemy pieniądze z banku i uregulujemy rachunek.

— Dobrze — odrzekł flegmatycznie „metropolita”.

I aferzyści odjechali karocą, uwożąc sporą ilość złota i drogich kamieni. Były tam i rzeczy mniejszej wartości, które brano do kompletów, aby nie wzbudzić podejrzenia.

* Jego Wielebność.

** Dziekan.

Metropolita siedział w krześle ze złożonymi na kolanach dłońmi i w milczeniu cierpliwie czekał na powrót swych chlebobawców... Upływały godziny. Zbliżał się czas zamknięcia sklepów, a karoca nie wracała. Właściciel sklepu zaczął się niepokoić. Wreszcie w głowie zaświtało mu podejrzenie, że tu coś nie w porządku. Zwrócił się z uniżonymi przeproszeniami do metropolity i zapytał, czy nie stało się coś złego w drodze jego asyście, bo nieobecność ich za długo trwa. Odpowiedź była dość dziwna i jak na osobę tak wysokiego stanu, głupia. To skierowało podejrzenie jubilera na inne tory: że padł ofiarą oszustów. Zwrócił się już śmieiej do dostojnego klienta z pytaniami i wnet wywnioskował, że to wcale nie metropolita. Natychmiast zawołano policję. Chłopa aresztowano i zbadano. Opowiedział jak umiał i co wiedział o całej sprawie. Lecz aferzystów nie ujęto.

W ten sposób opowiadała Sabina wiele różnych afer swego męża. Opowiadała nie w skrótach — jak ja tu piszę — lecz obszernie delektując się szczegółami, komentując i podkreślając pewne fakty, aby zwrócić na nie szczególną uwagę.

Pod wpływem opowiadań Sabiny Jasiowi przyszła do głowy pewna afera i zaczął się zastanawiać nad jej wykonaniem. Wkrótce miał gotowy plan działania i zabrał się do pracy przygotowawczej. Co dwa, trzy dni wstępował do luksusowego sklepu wyrobów tytoniowych przy ul. Zacharzewskiej, którego właścicielem był niemłody, lecz dobrze się prezentujący Ormianin, ożeniony z bogatą, bardzo młodą i ładną Rosjanką. Obsługiwali sklep sami, jednocześnie, lub na zmianę. Nie było to trudne, bo praca w sklepie nie wymagała dużej fadygi. Rzadko kiedy zakupy trzeba było pakować, bo przeważnie klienci wkładali je do kieszeni. Jaś

wiedział, że małżeństwo jest bardzo zamożne, bo poza dochodami, ze sklepu czerpali ogromne zyski z handlu walutą, złotem i biżuteriami.

Jaś wstępował do sklepu zawsze elegancko ubrany i kupował tylko najlepsze papierosy i cygara. Pewnego razu zaproponował Ormianinowi kupno 20 dolarów (niby nie wiedział gdzie je sprzedać, a zabrakło mu gotówki). Innym razem zaproponował mu kupno dużego pierścienia z szafirem (sam specjalnie w tym celu go kupił). Przy dokonywaniu tranzakcji wykazał zupełny brak orientacji w wartości pierścienia, prosząc zaledwie o trzecią część ceny.

Ormianin coraz życzliwiej przyjmował swego klienta i wywiązała się między nimi pewna zażyłość. Jaś przelotnie opowiedział, że ma w pobliżu Borysowa duży majątek, że rodzice jego wskutek wojny nie powrócili z zagranicy, a on z najdroższymi rzeczami wyjechał z majątku do Mińska, w obawie przed bandytami. Tu czeka na koniec wojny.

Dla przeprowadzenia afery Jasiowi był potrzebny wspólnik. Uważał, że to musi być człowiek niemłody, dobrze ubrany, wzbudzający zaufanie swym wyglądem. Po dłuższym namyśle, wybór padł na Filipa Łysego. Byli chłopcy mądrzejsi i sprytniejsi od niego, lecz Filip Łysy swym wyglądem zewnętrznym i „dystynkcją” niewątpliwie był najodpowiedniejszym dla Jasia partnerem. Chłopiec porozumiał się z Filipem.

— Czemu nie zrobisz tego interesu i tak dalej z Chamem? — ziewnął Filip, mając na myśli stałego wspólnika Jasia, Barana.

— Cham się nie nadaje... Tu rozumiesz wygląd potrzebny... Takiego arystokraty, znawcy sztuki... No i bogatego pana, co się zowie...

Filip szerokim ziewnięciem zamaskował zadowolenie i rzekł:

— Ty tego... Wysoko fruwać zaczynasz...

Lecz na robotę się zgodził. Jaś obszernie objaśnił mu całą sprawę i szczegółowo tłumaczył więcej niż dwukrotnie starszemu od siebie koledze, jego rolę.

Teraz Jaś się zabrał do zwiedzania antykwarni, sklepików i straganów z różnymi starymi gratami. Dość trudno było mu znaleźć to, czego potrzebował. Wreszcie trafił na Niżnim Rynku na podniszczony portret staruchy, wykonany olejnymi farbami. Powierzchnia portretu była poprzecina na siecią pęknięć. Płótno w kilku miejscach było przedarte. Rama też była w bardzo marnym stanie. Jaś doprowadził portret do porządku i kupił do niego inną ramę. Poza tym w rogu portretu, na dole postawił prawie niewidoczną literę, stanowiącą zakończenie podpisu malarza. Początek ginał na brzegu płótna.

Gdy wszystko było przygotowane, Jaś owinał portret w dwa arkusze pakowego papieru i poszedł z nim do miasta. Na Zacharzewskiej wstąpił do trafiki i kupił paczkę papierosów. Zaczął rozmawiać jak zwykle z Ormianinem. W pewnej chwili rzekł:

— Chcę zostawić u pana ten portret. Niosłem go do oceny pewnemu znawcy tych rzeczy, który skupuje tu obrazy dla muzeów i galerii niemieckich. Jeśli by cena była dobra, sprzedałbym go. Ale nie zastałem kupca w domu. Wyjechał na kilka dni. Nie chce mi się nieść go z powrotem. Wolę, jak wróci, wziąć portret od pana, bo to blisko.

— Ależ bardzo proszę — zgodził się chętnie Ormianin. — Niech tu będzie ile czasu trzeba. Miejsca dość.

Jaś pieczołowicie ustawił obraz za ladą przy ścianie, tak, by nie tamował przejścia, a jednocześnie aby było go widać ze sklepu. Papier pakowy w jednym miejscu był umyślnie przedarty tak, że było widać część portretu. Jaś pogadał jeszcze trochę z Ormianinem. Między innymi powiedział, że obraz ten stanowi pamiątkę rodzinną i jest prawdopodobnie dość drogi, ale że nie lubi go i, będąc teraz w kłopotach, woli sprzedać ten obraz, niż inne kosztowne rzeczy.

Od pewnego czasu do trafiki wstępował co kilka dni wysoki, elegancki, dystyngowany pan i kupował drogie cygara. Był małomówny, obojętny na wszystko i jakby nieco roztargniony. Ormianin spostrzegł, że ma złoty zegarek, a na rękę duży pierścion z herbem.

— Ten to musi być jakiś hrabia, albo książę — rzekł do żony właściciel trafiki.

— A może jaki minister carski, który od bolszewików tu drapnął — wyraziła przypuszczenie małżonka.

Ormianina korciło by uciąć pogadankę z wysoką osobistością. Lecz od „ministra” bił taki chłód i promieniowała taka godność, że się nie ośmielił. Tym więcej, że gość był zawsze małomówny. Nie witał się, nie żegnał. Wchodził z pogardliwie wydeętymi wargami. Krótko rzucał „cygara” i wymieniał markę. Potem: „wiele płacę”? I wychodził sztywny, zimny, uroczysty. Pieniądze wyjmował z grubo wyładowanego portfela, jakby się brzydząc nimi. Patrzył nie w oczy, a przez oczy. Filip ujawnił duży talent artystyczny. Jaś nie wyobrażał sobie nawet, jak doskonale jego współnik odgrywa swą rolę.

Nazajutrz po przyniesieniu przez Jasia portretu, pan „minister” wstąpił do sklepu.

— Cygara!

Ormianin rzucił się do szuflady i wyjął pudełko cygar, które zwykle dygnitarz kupował. Otworzył je i z uszanowaniem cofnął ręce. Wiedział, że „książę” nie lubi, aby dotykano cygar rękami. Dygnitarz wziął z pudła 6 cygar i umieścił je w dużym skórzanym portcygarze.

— Płacić! — na ladę padł 500-rublowy banknot.

Ormianin pośpiesznie odliczał resztę. Wtem rozległ się suchy, energiczny głos:

— A to co?

Ormianin zobaczył wyciągniętą przez ladę laskę z monogramami, skierowaną na dziurę w opakowaniu obrazu... Nieco się speszył, lecz usłużnie poskoczył ku obrazowi i rzekł:

— Portrecik, jaśnie wielmożny panie...

— Rozwinać!

Wnet zleciały z ramy sznurki i papier pakowy. Obraz postawiono na ladzie. Ormianin go trzymał. Książę, to cofał się, to zbliżał. Patrzył z boków. Wreszcie obejrzał z bliska płótno z obu stron i rzekł:

— Wiele pan chce... Płacę każdą cenę...

Ormianin zdębiał.

— No!... — zniecierpliwił się dygnitarz.

— Ja nie wiem...

— Co: nie wiem... Na wszystko jest cena... Chyba, że tego się nie sprzedaje.

— Owszem... sprzedaje się...

— Więc ile?

W głowie kupca zjawiała się myśl: „Toż można zrobić doskonały interes”! Po chwili, niby namysłu nad ceną, kupiec odparł:

— Ja jaśnie wielmożny panie co do ceny muszę naradzić się z żoną.

— Uhm... No dobrze — rzekł dygnitarz. Proszę po ustaleniu ceny przynieść mi obraz pojutrze o godz. 7-ej wieczór do hotelu „Europa”. Tam panu portier wskaże moje locum. Proszę! — dygnitarz rzucił na ladę wizytówkę.

Następnie „minister” wyjął z portfela paczkę ostrubli, w banknotach po 50 rubli każdy. Na opasce paczki była wystawiona suma 50.000.

— Ten drobiazg daję panu jako zadatek... Uprzedzam, że obecnie ja mam prawo pierwokupu tego obrazu, bez względu na to, jaką sumę dadzą inni amatorzy.

Dygnitarz łaskawie skinął głową oniemiałemu ze zdumienia kupcowi i uroczyście wyszedł ze sklepu.

Gdy w kwadrans później żona kupca przyszła, aby zastąpić go w czasie obiadu, pomyślała, że mąż jej zwariował.

— Ty rozumiesz! Ty rozumiesz! — krzyczał jej mąż, wymachując paczką banknotów. — Tak się robi interesy: 50 tysięcy w 5 minut!... Mam głowę, co?

Zaczął chaotycznie opowiadać zdumionej kobiecie o rozmowie ze swoim klientem, pokazał jej zadatek i wizytówkę, na której było wydrukowane:

Iosif Michajłowicz

Złociński

Dyrektor Akademii Sztuk

Pięknych w Pietrogradzie.

— To wspaniały interes! — rzekła zachwycona małżonka. Trzeba tylko dobrze go wykorzystać.

— Ale jedno mnie dziwi, że za taki łachman samego zadatku dał 5.000. Powiedział jeszcze, że to „drobiazg” i że zapłaci każdą cenę.

Żona, która ukończyła gimnazjum i zawsze imponowała mężowi, umiejącemu tylko czytać, pisać i rachować, zabrała głos:

— Wartość obrazu nie zależy od tego co namalowane, albo w jakim obraz jest stanie, tylko od tego: jak namalowane i jaki artysta go wykonał. Są obrazy, które oceniają na miliony nie ostrubli, a na miliony w złocie lub dolarach... Tu trzeba dobrze uważać, aby tamten dyrektor nas nie oszukał... Kto, jak kto, a on najlepiej się zna na rzeczy... Może to obraz Rubensa, albo Tycjana, albo innego słynnego malarza z ubiegłych stuleci.

Małżonkowie zaczęli się naradzać — jak dalej poprowadzić sprawę. Najwięcej niepokoiła ich ta okoliczność, że klient, który obraz zostawił, mógł się rozmyślić i nie sprzedać go. Albo nie zgodzi się sprzedać bez oceny specjalisty. A jak wypadnie ocena — nie wiadomo... W trafice niecierpliwie oczekiwano przyjscia Jasia, lecz ten nie przychodził.

Dopiero nazajutrz rano Jaś, pięknie ubrany, wesół, wstąpił do trafiki. Zastał tam kupca i jego żonę, którzy prawie całą noc nie spali, podenerwowani możliwością łatwego i dużego zarobku.

— Dzień dobry — rzekł Jaś. — Proszę o papierosy i chcę zabrać obraz.

Twarze małżonków wyciągnęły się.

— Przyjechał ten pan, który skupuje obrazy?

— Przyjechał i znów wyjechał. Tym razem do Berlina. Tak powiedzieli mi w hotelu. Więc nie ma co czekać, bo nie wiadomo kiedy wróci? A może nigdy...

— A jak z obrazem?... Nie sprzeda pan? — pytał trwożnie kupiec.

— Nie... Sprzedam coś ze złotych rzeczy... Bo, rozumie pan: sprzedać za bezcen — szkoda... A

możliwą cenę da tylko znawca... Na ogół ten obraz przedstawia ogromną wartość... Nie wiem dobrze jaką... Ja bym go oddał i za piątą część wartości, bo to by mnie na długo wybawiło z kłopotów... Ale i tego nikt niekompetentny nie da.

Wówczas według ułożonego przez małżonków planu, zabrała głos żona kupca. Mile i kokietyjnie uśmiechając się do chłopca powiedziała:

— A ja właśnie mam dla pana dobrego kupca na ten obraz.

— Naprawdę? — zdziwił się Jaś.

— Tak... To ja jestem tym kupcem...

Wówczas wtrącił się Ormianin:

— Wyobraź pan sobie: żona zainteresowała się pańskim obrazem. Papier był tam przedarty. Uparła się, by go koniecznie jej pokazać, bo lubi sztukę. Pokazałem... Jak odmówić kobiecie... I wyobraź pan sobie, że portret ten przypomina jej do złudzenia nieboszczkę matkę. Więc suszy mi głowę, żebym jej to kupił.

Jaś się uśmiechnął:

— Drogi kaprys.

— Co zrobić — westchnął Ormianin. — Chce się kobiecie dogodzić, więc obiecałem jej, że kupię. Tylko niech pan nie żąda zbyt drogo, bo to i ramy nieciekawe i obraz taki, że mało co widać: Starucha jakaś...

— Ach, głupstwa mówisz... Nie znasz się na tym i już — przerwała mu żona i kładąc dłoń na rękę Jasia, zalotnie patrzyła mu w oczy, mówiąc: — Kiedy ja tak lubiłam mamusię. Mam jej fotografie, ale marne, a tu taki portret: jak żywa. Sprzedaj mi to pan.

Jaś udawał zakłopotanie. Niby się wahał. Wreszcie rzekł zdecydowanie:

— Dobrze. Oddam państwu ten obraz za

500.000. Uważam, że to jest ogromnie niska cena, ale wzruszyła mnie pani. Zresztą i pieniędzy potrzebuję. Tylko poproszę tę sumę wpłacić mi dzisiaj i to w złocie, według kursu czarnej giełdy.

Małżonkowie poprosili by zostawił im trochę czasu do namysłu. Jaś się zgodził przyjść wieczorem i powiedział, że albo zabiera obraz, albo sprzedaje go za powyższą sumę. Nie patrząc na usilne prośby i targowania się, nie zgodził się nie opuścić z wymienionej sumy.

Po wyjściu Jasia małżeństwo zaczęło się naradzać: co robić? A może dyrektor nie zapłaci takiej, sumy, żeby był zarobek. Kto to wie? A jeśli kupią za 500 tysięcy, a poproszą o milion, to może ich wykpić. Naturalnie, że najprostszą rzeczą byłoby pośredniczyć w kupnie obrazu między dyrektorem akademii i paniczem z majątku spod Borysowa. Lecz wówczas nie można było liczyć na zbyt duży zysk. Tylko pewne wynagrodzenie za wyszukanie kupca.

Postanowiono, że mąż uda się do hotelu, do pana dyrektora i powie, że żona zgodziła się sprzedać obraz za 1.500.000. A jeśli trzeba będzie, to opuści z tej sumy.

Gdy trwały dalsze narady (w kwadrans po wyjściu Jasia), drzwi do sklepu się odemknęły i wszedł sam dyrektor. Małżeństwo oniemiało.

— Sprzedaje żona obraz? — krótko zapytał dyrektor.

— Tak... Owszem, owszem... Naturalnie sprzedaje... Czemu nie? — jąkał się Ormianin.

— Wiele?!

Ormianinowi tchu w piersi zabrakło. Żona dostała wypieków i zaczęła mówić:

— Pół... pół... — nie dokończyła, bo mąż nagle

jej przerwał i odchrząknawszy rzekł wypinając pierś:

— My się znamy panie dyrektorze na tym obrazie... To wysokiej szkoły... Milion i ani rubla mniej. Ot, co... My ludzie biedni... Każdy swoje ceni i szanuje...

Filip przymrużonymi oczami zimno patrzył w oczy kupcowi. Nagle wargi jego wykrzywił lekki uśmiech:

— Wiele pan powiedział?!

„Za dużo?” — pomyślał Ormianin i też dostał wypieków, próbując powtórzyć sumę:

— Mi... mi...

— No milion?... Tak? — pomógł mu dyrektor.

— Niby tak.

— Doskonale! — rzekł dyrektor i sięgnął po portfel.

Po chwili się rozmyślił.

— Teraz całej sumy nie mam, bo nie wożę ze sobą większych pieniędzy, a zadatek pan i tak ma... Więc dobrze, obraz jest mój. Proszę mi go dostarczyć jutro o siódmej wieczór i otrzyma pan resztę pieniędzy.

Dyrektor z lekka skinął głową na pożegnanie żonie kupca i wyszedł na ulicę.

Po jego wyjściu kobieta z zacieśnionymi pięściami podbiegła do męża:

— Ty durniu! ty idioto! Pół miliona wyrzuciłeś za okno! I po co ja za takiego chama wyszłam za mąż!

Kupiec soczyście splunął:

— Ty sama idiotka. Przecież ty zaczęłaś mówić: pół...

— Właśnie chciałam powiedzieć: półtora, ale się zacięłam, a ty mi przeszkodziłeś i nie dałeś dokończyć. Jak ostatni dureń wylazłeś z milionem.

Widziałeś, jak on się uśmiechnął z twej głupoty. On by przecież i dwa miliony dał i trzy, może nawet pięć, czy dziesięć... Ot dureń, dureń, dureń!

— Przecież tamten panicz ocenił go na 500.000?
— próbował bronić się mąż.

— Bo ja go uprosiłam. Rozumiesz? A zresztą co taki chłystek się zna na rzeczy. Sam mówił, że nie wie, ile to kosztuje... I co tu mówić. Jeśli postanowiliśmy, że zażądamy półtora miliona, dlaczego prosileś o milion?!

I kłótnia trwała w dalszym ciągu. A myśl o straconych, a tak bliskich milionach, doprowadzała i męża, i żonę do rozpacz.

Wieczorem do sklepu przyszedł Jaś. Był w płaszczu podróżnym, a na ramieniu miał pled.

— No jak: bierzecie państwo obraz, bo ja zaraz wyjeżdżam?

— Owszem bierzemy — ponuro odparł Ormianin: — Ale może by pan trochę ustąpił. Co w tym malowidle jest: i farby popękane, i brudne to, i malowane byle jak...

— Nic nie mogę ustąpić. Albo pan kupuje, albo nie? Ja pana nie zmuszam. Chwalić obrazu nie będę. Sprzedaję to, co pan widzi. A jeśli cena nie dogadza, nie kupuj pan.

Za pół godziny Jaś wyszedł ze sklepu, mając w kieszeni 50.000 ostrubli (tę paczkę, którą Ormianin dostał, jako zadatek od dyrektora) a pozostałe 450.000 ostrubli w złocie i dolarowych banknotach. Suma ta była dość nieuczciwie przerachowana przez Ormianina. Lecz Jaś udał, że się nie poznał na tym.

Od tego czasu kupiec i jego żona nie zobaczyli więcej ani Jasia, ani dyrektora. Bo, gdy nazajutrz, o godz. 7-ej wieczór, Ormianin z obrazem pod pachą przyszedł do hotelu Europa, to okazało się,

że tam w ogóle nie mieszka żaden gość o podobnym nazwisku.

W ten sposób stracili 450.000 i dwóch dobrych klientów. Lecz dziwna rzecz, mniej się potem kłócili i martwili, niż poprzednio, po stracie możliwych do osiągnięcia milionów. Zyskali trochę doświadczenia i mieli — na pamiątkę — portret „ukochanej nieboszczki mamusi”.

Lecz długo jeszcze potem Ormianin podejrzliwie spoglądał na każdego klienta, który kupował drogie papierosy lub cygara.

VI.

GRANDA

Złota Pawcia królowała na Złotej Górze. Drugi miesiąc prowadziła samodzielnie sklep, którego stała się właścicielką. Sklep był nieduży, lecz pięknie odremontowany, jasny i wygodny. Przedtem był tu sklep materiałów piśmiennych, który bardzo marnie prosperował; obecnie mieściła się sódowiarnia. Poza wodą sodową czystą i zaprawioną wielobarwnymi sokami — można było tu nabyć cukierki, czekoladę, orzechy, pestki, owoce.

Pawcia wykazywała duży zmysł handlowy. Umiała tak słodko sprzedawać swój słodki towar, że jednała sobie coraz więcej klientów. Zupełnie niespodzianie okazało się, że sklep — już w pierwszym miesiącu — pokrył wszystkie wydatki i dał jeszcze zysk. Nieduży to był dochód, lecz biorąc pod uwagę to, że handel dopiero rozpoczęto i że włożono sporą sumę w urządzenie, remont i na zakup niedużej ilości towaru, można było przypuszczać, że handel pójdzie doskonale.

Życie Olka Barana z Paulinką weszło na inną tory. Pawcia była z nim zawsze grzeczna, dobra, uprzedzająca. Rzeczywiście starała się zgadywać jego życzenia. Dbiała o to, żeby miał zawsze czystą

bieliznę i ubranie. Nawet buty mu zaczęła czyścić, bo spostrzegła, że kochanek lubi mieć zawsze pięknie lśniące obuwie. Lecz Olek nie pozwalał jej na to.

Gdy Baran wracał z miasta, Pawcia zawsze czule go witała, obejmowała, całowała, pytała czy jest zmęczony; szykowała wodę do mycia przygotowywała jedzenie, starając się, aby kochanek miał to, co lubi.

Olek Baran nie poznawał w niej dawnej Paulinki. Była to zupełnie inna kobieta, niż tamta, którą znał przed ich rozejściem się. Pawcia obecna stała się dla Barana urzeczywistnieniem, jego dawnego marzenia... Lecz, nie bacząc na wszystko, z duszy Olka nie znikła zupełnie nieufność do niej. Czasem, niepostrzeżenie, obserwował ją i zastanawiał się: „czy naprawdę taka jesteś, czy tylko bujasz?”. Nawet w sprawach materialnych Pawka stała się bardzo delikatna. I to do tego stopnia, że nigdy już sama nie prosiła o pieniądze na zakupy i wydatki w domu.

Olkowi minęła zła passa, w ciągu której nawet się zadłużył. Teraz „roboty” same szły mu w ręce i wykonywał je łatwo i pewnie. Wkrótce spłacił długi i miał piękny zasób gotówki. Pewnego razu Paulinka wieczorem zaczęła przymilać się do niego. Potem rzekła:

— Wiesz co, mój kochany; my teraz dużo zarabiamy. Pieniądzy na wszystko wystarcza i jeszcze zostaje. Kupuj ty złoto. Nie wiadomo co tam dalej będzie. Może jakie zmiany. A złote pieniądze zawsze swoją cenę mają.

— Już mam dwie dziesiątki — rzekł Baran i pokazał Paulince złote monety.

— Tylko ty dobrze chowaj, żeby ci nie zginęły.

— Nie bój się — odparł Baran. — Nie jestem frajer.

Paulince to nie bardzo się podobało. Woląla wiedzieć, gdzie kochanek chowa pieniądze, lecz bała się wypytywać go o to, aby nie posądził jej o „interesowność”.

Pewnego dnia do Olka przyszedł w odwiedziny Fiedzia Huzar. Był to brat słynnego w centralnej Rosji bandyty, o którym krążyły legendy. Huzar po rewolucji poszedł po tejże drodze co i brat. Tamten stał się bandytą wskutek zatargu z przełożonymi i z chęci zemsty. Ten — po rewolucji — został w nędzy, a ponieważ był bardzo śmiały i sprytny, stał się rekinem i był postrachem władz policyjnych kilku województw. Wreszcie, będąc szczególnie zagrożony, drapnął do Wilna i tu odnalazł kilku kolegów z Moskwy. Przez nich wnet poznał całą przestępczą arystokrację Mińska.

Baran i Huzar długo się naradzali nad robotą, którą od dawna planowano, a do której Fiedzia Huzar zabrał się natychmiast po przyjeździe do Mińska. Była to granda, albo — jak wyrażał się Fiedzia — stopka. To znaczy napad rabunkowy. Baran, jako kwalifikowany, stary złodziej, bardzo niechętnie szedł na grandę. W ogóle złodzieje specjaliści nie lubią tego rodzaju spraw. Mówią: „To nie sztuka frajerom spluwać pod nosy wsadzić i forse wytrząść. To byle cham potrafi. Ty zrób z frajera balona i tak go obstaw, aby nie nie zauważył”.

W tej niechęci fachowych złodziejów do napadów rabunkowych odgrywa rolę zwykła kalkulacja. Wsypa za kradzież nie grozi zbyt dużym wyrokiem. Natomiast wsypa za grandę, powoduje bardzo surową karę... Udział fachowych złodziejów w napadach rabunkowych jest minimalny.

Większość z nich, w normalnych czasach, w ogóle tego rodzaju robót nie uznaje. To jest dziedzina przeważnie ludzi przypadkiem wykolejonych, którzy zaczynają napady, powodowani rozpaczliwą sytuacją, a później nie mając drogi do powrotu (gdy zostaną zdekonspirowani), brną dalej po tej drodze... do śmierci, albo zdrady i wieloletniego więzienia.

Planowano napad na mieszkanie bogatego właściciela fabryki przetworów mlecznych i kilku sklepów mleczarskich. Po dokładnym zbadaniu terenu i ułożeniu planu napadu zdecydowano, że dla wykonania roboty wystarczy pięciu ludzi. Zaproponowano udział w robocie Jasiowi. Huzar się zmarszczył: za młody! Lecz Baran powiedział: „Znam go dobrze. Wspólnik. Nie gorszy będzie ode mnie i od ciebie”. Jaś chętnie się zgodził. Mały — koniokrad i Baleron, jego wspólnik, którzy mieli broń, zamykali piątkę. Dla Jasia Olek kupił nazajutrz browning belgijski. Sam miał nagan. Nie ufał broni automatycznej.

W dwa dni później, ciemnym wieczorem, cała piątka spacerowała ulicą w pobliżu miejsca zamierzonego napadu. Byli tu dłuższy czas, lecz nie rozpoczęli roboty. Zdarzyła się przeszkoda: po drugiej stronie ulicy, prawie jednocześnie z nimi znalazły się dwie grupki po trzech ludzi, którzy chodzili tam i z powrotem. Z powodu ciemności zaledwie można było dostrzec ich sylwetki.

Piątka Barana oczekiwała, że „przeszkoda” zniknie. Myśleli, że to zwyczajni przechodnie lub spacerowicze. Lecz tamci po przejściu ulicy do końca zawrócili i w tym samym szyku poszli z powrotem. Powtórzyło się to kilka razy. Fiedzia Huzar zaklął i zwrócił się do Barana:

— Co za cholera! Może „psy”?... Ja pójdę zobaczyć...

— Tobie nie można — odparł Baran — ty wystawny... Panicz pójdzie...

Jaś zostawił u Olka swój pistolet i poszedł na przeciwległy chodnik. Potem wolno się skierował naprzeciw idącym ku niemu ludziom. Gdy się rozmijali, nieufnie, lecz uważnie przyglądając się sobie w półmroku, Jaś poznał w pierwszej trójce Ignaca Kulikowskiego.

— Panicz?! — zawołał Ignac.

— Ja.

— A tamci kto?

Ignac wskazał ręką na przeciwległy chodnik.

— Swoi chłopcy: Mongoł, Huzar i jeszcze dwóch.

— Co tu robicie?

— A wy co?

— Spacerujemy.

— My też.

Na odgłos rozmowy Olek Baran i reszta jego towarzyszy przeszli przez ulicę. Stanęli kupą. Po krótkiej rozmowie złodzieje się zorientowali, że przyszedli w dwóch grupach na ten sam napad. Było to dla nich dziwne i komiczne. Po krótkiej naradzie postanowiono wyrobić grandę razem. Szkoda było zmarnowanego czasu, a przypuszczali, że będzie czym się dzielić.

Zaczęto naprędce układać nowy plan działania. Jaś miał zostać na ulicy i pilnować kolegów. Baran, Fiedzia Huzar, Ignac i Małysz, mieli wejść do mieszkania z frontu. Baleron musiał pilnować podwórza i czarnego wejścia. Pięciu ludzi: Antek Turek, Żrebak, Partoła, Michał Hiś i Konwalia, mieli za zadanie opanować serownię i składy,

aby nikt z obecnych tam robotników nie wydostał się z dziedzińca.

Olek Baran jeszcze w domu dorysował sobie nieco większe wąsiki o pogłębił cienie pod oczami. Poza tym zrobił zmarszczki od kątów warg ku brodzie i nalepił plaster na lewy policzek. Ignac włożył okulary i zaczesał nisko na czoło włosy. Dół twarzy chował w postawionym kołnierzu kurtki. Inni — mający operować w mieszkaniu — w różny sposób pozmieniali wygląd twarzy i ubrania. Fiedzia Huzar żadnej charakterystyki nie stosował. Był i bez tego „wystawny”, więc nie dbał o podanie jego rysopisu do policji.

Huzar zadzwonił do drzwi frontowych. Wszyscy udali się na wyznaczone miejsca. Po pewnym czasie za drzwiami rozległy się kroki, a potem drzwi uchyliły się.

— Kto tam?

— Ja z policji! — rzekł ostro Huzar. — Dlaczego u was parkan leży na chodniku? Gospodarz w domu?

— Nie ma.

— Gospodyni jest?

— Jest.

— Proszę otworzyć drzwi. Muszę spisać protokół.

Brzęknął łańcuch i drzwi się uchyliły. Czterech bandytów weszło do środka. Baran zamknął drzwi na klucz. Fiedzia Huzar, Ignac i Małysz szli za służącą. Broni nikt nie wyjmował, chociaż każdy trzymał ją w pogotowiu. Doświadczeni bandyci wiedzą, że na widok broni kobiety mogą dostać ataku hysterii i przeszkodzić w robocie. Wnet zebrano wszystkich domowników do stołowego pokoju. Było tam 7 osób: dwoje dzieci, jeden mężczyzna, 2 służące, pani domu i jej córka.

Fiedzia Huzar powiedział do obecnych:

— Proszę o spokój... O nie nie pytać i nie rozmawiać... Pani — zwrócił się do gospodyni — wyda mi wszystkie pieniądze i kosztowności... Radzę nie nie ukrywać, bo jesteśmy dobrze poinformowani...

Lecz okazało się, że gospodyni ma tylko niedużą gotówkę i trochę biżuterii. Reszta pieniędzy i kosztowności były w szafie ogniotrwałej w gabinecie męża. Gdzie jest klucz od szafy gospodyni nie wiedziała.

— Prawdopodobnie mąż ma ze sobą.

— Kiedy wróci mąż? — pytał ją Huzar.

— Powinien wkrótce wrócić.

— Zaczekamy — rzekł Huzar.

W stołowym pokoju zostawiono panią domu i jej córkę. Resztę domowników zaprowadzono do sypialni o jednym oknie, od podwórka. Pozostawiono przy nich na warcie Ignaca i Małysza. Olek Baran i Huzar, wraz z panią domu i jej córką, oczekiwali na dzwonek. Baran okręcił jakimś szalem lampę elektryczną i pokój się znalazł w półmroku.

Tymczasem Antek Turek, Żrebak, Partoła, Michał Hiś i Konwalia zebrali ze składów i serowarni znajdujących się tam ludzi. Było ich niespodzianie dużo: około dwudziestu. Spędzono wszystkich do serowarni i kazano pracować w dalszym ciągu. Zbadano dokładnie wszystkie lokale i podwórze, aby nikt się nie wymknął.

Jaś, stojąc za niskim parkanem obserwował ulicę. Zadanie jego było dość poważne, bo liczone się z tym, że ktoś z domowników mógł niepostrzeżenie się wymknąć i zaalarmować policję. W tym wypadku — gdyby nadeszli policjanci — Jaś powi-

nien był ostrzec kolegów dwoma wystrzałami z pistoletu.

Czas się dłużył. W pewnej chwili z furtki dziedzińca wyszedł Baran i cicho dwa razy gwizdnął. Jaś się odezwał. Baran zbliżył się do niego.

— Spokojnie?

— Tak... Długo marudzicie...

— Czekamy na gospodarza... U niego klawisz od pudła.

Baran wrócił do mieszkania. Jaś został na swoim posterunku. Było już późno, gdy do drzwi frontowych zbliżył się jakiś mężczyzna i zadzwonił. Gdy nadchodził Jaś tak się ulokował, aby było łatwo, w razie jego cofnięcia się, odciąć mu drogę. Lecz to okazało się zbędne. Drzwi otworzono i jęzomość wszedł do środka.

— Witam szanownego pana! — zamykając drzwi odezwał się do gospodarza domu Huzar. — Długośmy na pana czekali.

— A o co panu chodzi? — rzekł zdumiony przybysz.

— Chodzi o gotóweczkę i dodateczki, które są w ogniotrwałej szafie — rzekł Huzar: — wzięlibyśmy i sami, ale kluczyk pan fabrykant zabrał ze sobą.

— A jakim prawem!... — uniósł się fabrykant.

— Spokojnie! Spokojnie! — zniżył głos Huzar. — Pańskim prawem: prawem silniejszego i sprytniejszego. Rozumie pan...

— To rabunek...

— Aha!... Można powiedzieć delikatniej: eksik... Ale jak pan chce to niech będzie rabunek...

— Klucza nie mam! — powiedział twardo fabrykant.

Fiedzia Huzar uważnie spojrział ofierze w oczy i rzekł ostró, stanowczo:

— Klucz się znajdzie!... A jak się nie znajdzie — ponuro seiszył głos — to córeczkę weźmiemy ze sobą i da pan okup. A jak okupu nie dostaniemy, to pamiętaj pan: całą pańską fabryczkę i dom puścimy z ogniem... Nas tu jest jedenastu asów i żadna panu policja nie pomoże, ani ochroni... Moglibyśmy pana przycisnąć trochę, to by pan nam żywo klucz oddał. Ale ja nie lubię takiej roboty... Więc proszę o klucz!...

Fabrykant milczał. Twarz miał czerwoną. Na czole ukazał mu się pot.

— Panienska się ubierze! — zwócił się Huzar do siedzącej przy stole dziewczyny. — Wiemy ile pan ma w kasie. Okup będzie o wiele większy.

— Tatusiu! — zwróciła się do ojca dziewczyna. — Niech tatuś im odda pieniądze... My jeszcze zarobimy...

Fiedzia Huzar zrewidował fabrykanta, lecz klucza przy nim rzeczywiście nie znalazł. Wówczas kazał Baranowi zawołać dwóch ludzi z serowarni i Małysza. Gdy tamci przyszli kazał im powiązać znajdujących się pod ich strażą ludzi.

Tymczasem dziewczyna płacząc ubrała się. Wówczas matka jej zwróciła się do męża:

— Oddajże im klucz... Co ty za głupie pieniądze chcesz zgubić córkę... Nie wiadomo co tam z nią będzie.

— Bądź pani spokojna: będzie syta i cała. Jest komu jej pilnować. To dla nas droga osóbką. Krzywda jej się nie stanie.

Potem Huzar się zwrócił do fabrykanta:

— Wykup za córkę: 40.000 dolarów. Po siedmiu dniach proszę co wieczór chodzić z tymi pieniędzmi ulicą Zacharzewską, prawą stroną w kierunku Złotej Górki, aż do kościoła. Gdy do pana podejda moi ludzie, albo ja, i zapytają: „Ma pan

40.000?'. Odda im pan pieniądze. Córkę wówczas natychmiast zwolnimy. Teraz państwo pozwolą się związać, żeby wcześniej nie psuć nerwów policji.

Huzar kawałkiem sznurka związał ręce fabrykantowi i jego żonie. Potem przywiązał końce sznurów do fotelu.

— Za 10 minut, jeśli zdołacie się rozwiązać, możecie wszczynać alarm... Panienska pozwoli z nami... Pójdziemy pod rączkę. Dowidzenia państwu...

— Czekajcie — rzekł fabrykant.

— Słucham szanownego pana — odezwał się Huzar, który już zamierzał wychodzić.

— Mam klucz!...

— Pysznie... To usuwa kłopot i nam, i panu... No i wydatek będzie mniejszy...

— Łotrze! — nie wytrzymał fabrykant.

— Kolego nie denerwuj się — odparł Huzar.

— Wiem, że nie lubisz konkurentów.

Huzar rozciął sznurki krępujące ręce fabrykanta. Zostawił na warcie w stołowym pokoju Małysza, a sam z Baranem udał się za fabrykantem do gabinetu. Fabrykant otworzył szafę biblioteczkę i ze skrytki nad górną półką wyjął klucz.

— Proszę odemknąć kasę i cofnąć się! — kazał mu Huzar. — Wiem, że tam jest nabity browning.

Gdy drzwiczki kasy stały otworem, Huzar zaczął wyjmować z kasy grube pliki banknotów i pudełka z kosztownościami. Rzucał to wszystko niedbale do otwartej walizki.

Gdy kasę wypróżniono wrócili do stołowego pokoju. Huzar wyłożył zawartość walizki na stół.

— Trzeba tu podzielić — rzekł do Barana. — Czasu mamy dość.

Zaczęto liczyć pieniądze, a potem rozdzielać je

na 11 części. W pewnej chwili żona fabrykanta zwróciła się do Huzara.

— Niech mi pan odda medalion. To pamiątka po matce.

— Proszę... Obrączki też może pani wziąć... —
podał jej medalion i obrączki.

Wreszcie pieniądze, monety i biżuterię przy zgodnej ocenie kolegów podzielono na jedenaście części. Każdy otrzymał sporą sumę pieniędzy w banknotach, dolarach i złotych.

Ciemną, wietrzną nocą Jaś i Baran zaułkami przekradali się na Złotą Górkę.

VII.

JAS DOWIADUJE SIĘ, ŻE JEST FRAJEREM

Kazik Morecki sprawnie, bez szmeru, wycinał i wylupywał nożem z ramy okiennej skamieniałe pasma kitu. Trwało to dość długo. Gdyby w oknie był lufeik, robota poszłaby prędko, lecz lufeik znajdował się w oknie od ulicy i padało na nie światło od znajdującej się na pobliskim rogu latarni. Musieli zacząć „sznif” z ogródka w dziedzińcu.

Gdy kit był usunięty, Kazik poodchylał nożem gwoździe, przytrzymując szybę i wyjął ją z ramy. Minutę posłuchał. Wewnątrz było cicho. Wówczas Kazik wsadził rękę do środka i powoli, przyciskając drugą dłońią ramę, odkręcił antabę i otworzył okno. Zestawił z parapetu kilka doniczek z kwiatami.

Krótki błysk latarki przez rozsunięte firanki do wnętrza przekonał złodzieja, że wszystko idzie pomyślnie. Tymczasem Jaś zdjął trzewiki i postawił je na ławeczce obok okna.

— Można... — szepnął mu Kazik.

Jaś cicho wlaź na parapet i zsunął się do wnętrza pokoju. Odchylił na bok firanki. W pokoju panował półmrok. Tylko jeden kąt był nieco

jaśniejszy, od padającego skośnie z ulicy światła latarni.

Jaś kilka razy przez palce oświecił wąskimi smugami latarki pokój. Znalazł szafę na ubranie. Cicho zbliżył się do niej i odemknął drzwiczki. Znalazł stojącą z lewa walizkę. O nią mu chodziło. Było tam sporo sukien, futra, palta. Lecz nie wziął więcej nic. Była umowa: barachła nie brać. Jaś zdawało się nie chodził, lecz pływał po pokoju.

Odniósł walizeczkę do okna i oddał ją Kazikowi. Potem wrócił do pokoju i przejrzał szuflady komody. Wreszcie zbliżył się do łóżka. Wąska smuga latarki oświetliła śpiącą w łóżku kobietę. Jaś zobaczył założone pod głowę ramie i pochyloną w lewo twarz. Usta były lekko otwarte. Oczy zamknięte. W powietrzu unosił się subtelny zapach perfum. Jaś długo patrzył na śpiącą kobietę. Miał chęć pochylić się i pocałować ją. Dziwne, denerwujące i przykre mu było to, że ją okrada... Poczul do siebie wstręt... Zaczął się śpieszyć. Zabrał z blatu nocnego stolika torebkę, wziął zegarek, lecz po chwili położył go na miejsce. Wysunął szufladkę: nie dostrzegł w niej nic wartościowego.

Wtem odczuł, że coś się zmieniło w pobliżu. Przerzucił ręką smugę światła w prawo i zobaczył szeroko otwarte, ciemne, przerażone oczy. Powieki natychmiast się przymknęły. Kobieta udała śpiącą. Nie zmieniła pozycji, nie poruszyła się. Tylko Jaś spostrzegł, że kołdra, w tym miejscu, gdzie musiały być podciągnięte w górę kolana, jakby drży.

Jaś pewien czas stał nieruchomo obok łóżka, potem zaczął się wycofywać ku oknu. Wylazł z pokoju i włożył trzewiki. Potem, wraz z Kazikiem, prędko wyszedł na ulicę. Nikt nie krzyczał; nikt ich nie ścigał.

Na melinie Kazika wspólnicy przejrzeni skradzione rzeczy. W torebce było trochę gotówki, dokumenty, listy i kobiece drobiazgi. Lecz na to nie liczono. Chodziło im o walizeczkę.

Robota ta była nadana. Ofiarą była znana aktorka operetkowa, która grała dawniej w wielkich miastach Rosji, a obecnie występowała w letnim teatrze „Renesans”. Poinformowano Kazika, że aktorka ma biżuterię na ogromną sumę, którą wkłada na scenę i którą przynosi ze sobą w walizeczce. Informacje były bardzo dokładne i miały cechy prawdopodobieństwa. Kazik porozumiał się z Jasiem i zrobili wspólnie „sznif”.

Walizka zawierała: parę luksusowej bielizny, 2 pary gazowych pończoch, cielisty trykot, błękitny szal, kilka chusteczek do nosa, szminki, biustonosz i 4 pudełka z biżuterią. Były w nich 2 kolie, bransolety, koleczki i medalion. Jaś i Kazik od razu zorientowali się, że to są tylko imitacje drogich kamieni. Nawet złoto nie było prawdziwe.

— Lipa nie szkiełka! — rzekł zirytowany Kazik... Nie ma korzyści sobie, a „dolatorce” strata...

I siarczyście zaklął.

Jaś, nie wiedząc czemu, zaproponował Kazikowi, aby wziął sobie pieniądze, a jemu oddał, jako jego dołę, wszystkie rzeczy. Kazik chętnie się zgodził.

— Tylko uważaj, aby się nie wsypać z tym — rzekł Kazik. — Nie dawaj nosić ksiutom, bo raz-dwa się wkrochmalą i ciebie położą.

W domu Jaś uporządkował zabrane aktorce drobiazgi. Dokumenty postanowił — według zwyczaju firmowych złodziei — podrzucić aktorce, czy w komisariacie, ostatecznie przesłać je pocztą.

Z torebki Jaś wyjął spory plik listów. Było tam i kilka fotografii. Na jednej zobaczył podobiznę

jakiegoś oficera carskiej armii. Na odwrocie była umieszczona dedykacja: „Kochanej, nigdy niezapomnianej, najcudniejszej mej bogini...”. Następnie przejrzał jeszcze kilka fotografii mężczyzn, przeważnie z bardzo czułymi dedykacjami. W osobnej kopercie było aż sześć zdjęć aktorki 3 w kostiumach, a 3 zupełnie nago.

Jaś zaczął czytać listy. Wszystkie były od jej wielbicieli. W niektórych oświadczano się jej, w innych błagano o randkę. Jakiś przemysłowiec prosił ją by została jego żoną i wyliczał rzeczowo jakie korzyści z tego odniesie.

Jasiowi ta przygoda pomieszała szyki. Wciąż myślał o aktorce, o tamtej nocy w jej sypialni, przypominał sobie w najdrobniejszych szczegółach jej wygląd w łóżku — przy świetle latarki. Miał wciąż nieodpartą chęć zobaczenia jej.

W dwa dni po kradzieży w gazecie ukazało się ogłoszenie:

Zabrane mi przez omyłkę dokumenty, proszę zwrócić za dużym wynagrodzeniem do kasy teatru „Renesans” dla

Jaś postąpił inaczej: włożył wszystkie rzeczy do walizki, umieścił ją w skrzynce, opakował i przesłał pocztą na adres prywatny aktorki.

W kilka dni potem, w niedzielę, Jaś poszedł do teatru na operetkę. Siedział w pierwszym rzędzie i oczekiwał niecierpliwie ukazania się aktorki na scenie. Teraz wydała mu się jeszcze piękniejsza. Tak cudnie śpiewała i tańczyła, tak uroczo wyglądała. I Jaś stał się od tego dnia wielkim miłośnikiem operetki.

Chłopiec spostrzegł, że aktorce często wręczają bukiety i kosze kwiatów. Zorientował się, że to od wielbicieli jej talentu. Dowiedział się od portiera,

jak się to załatwia i odtąd zaczął codziennie posyłać jej na scenę duże bukiety róż. Poza tym, co kilka dni, posyłał jej kwiaty do mieszkania.

Jaś miał dużo pieniędzy, więc wydatki na kwiaty nie robiły mu różnicy.

Stała obecność chłopca w teatrze, który siedział zawsze w pierwszym rzędzie, zwróciła na siebie uwagę aktorki. Może się domyśliła lub została poinformowana przez służbę, że to on właśnie ciągle przysyła jej kwiaty. W każdym razie Jaś zaczął dostrzegać na sobie jej spojrzenia. Kilka razy był pewien, że do niego się uśmiecha. Chciało mu się bardzo zobaczyć ją bliżej i pomówić z nią. Wreszcie ośmielił się umieścić w koszu kwiatów kopertę z kartką, na której napisał: „Zachwycony Pani urodą i talentem, pragnę pomówić z Panią. Jeśli to możliwe, proszę napisać mi kilka słów i zostawić list u portiera dla Ołóńskiego”.

Po dwóch dniach Jaś otrzymał od portiera małą błękitną kopertę, z której wyjął również błękitną kartkę papieru. „Czekam Pana jutro na drugiej przerwie u siebie w garderobie”.

Nazajutrz Jaś zapukał we wskazanym czasie do drzwi garderoby aktorki.

— Proszę — rozległ się z wewnątrz zirytowany głos. Zupełnie inny niżli ten, który zwykle słyszał z estrady. To zdetonowało trochę chłopca, jednak odemknął drzwi i wszedł do środka.

— Ach to pan... pan... Ołóński...

Głos zmienił się nie do poznania. Znikła suchość, niecierpliwość, irytacja. Zabrzmiały miękkie, głębokie tony...

— Proszę, niech pan siada...

Aktorka szminkowała twarz. Na ramiona miała zarzucony ciepły szlafrok. Przygotowywała się do drugiego aktu.

— Dziękuję — rzekł Jaś i usiadł na krześle w pobliżu lustra.

— Chciał pan z bliska zobaczyć, jak wygląda kobieta, która na scenie jest to królową, to gejszą... — uśmiechając się z boku do Jasia, mówiła aktorka.

Jasia krępował swobodny strój kobiety. Widział wysuwające się spod szlafroku jej nogi w długich cielistych pończochach. Lśniły przy świetle dużej żarówki nagie ramiona i chłopca to krępowało.

— Owszem... Lubię bardzo teatr... A pani gra szczególnie mi się podobała...

— Więc z tego względu postanowił pan się zrujnować na kwiaty dla mnie...

— Chciałem sprawić pani tym przyjemność...

— Dziękuję bardzo... Pan stale mieszka w Mińsku.

— Nie... Mieszkam na wsi... Mam koło Borysowa majątek — skłamał Jaś. — Do miasta dojeżdżam.

— Niech się pan teraz odwróci — rzekła aktorka, wstając od lustra. — Trzeba przebrać się na scenę.

Jaś usiadł bokiem do lustra, a plecami do pokoju. Słyszał z tyłu szelest materiałów. Trzask rozpinanych haftek. Wtem spostrzegł w małym lustrze, stojącym na stoliku przy ścianie, odbicie głębi pokoju, gdzie znajdowała się kobieta. Możliwie, że lustro to specjalnie dla Jasia zostało tam zapomniane. Jaś zobaczył zupełnie nagą kobietę. Nie wiedział co począć. Ciekawość zmuszała go do patrzenia w lustro, a jednocześnie bał się, że aktorka może to dostrzec. Więc odwracał twarz jak najdalej w lewo, a oczami, z ukosa, patrzył w prawo.

— Gotowa... Jak się panu podobam w tym stroju?

Jaś obejrzał aktorkę i rzekł szczerze:

— Cudownie!

Kobieta dotknęła jego ust paluszkami prawej ręki i rzekła:

— Zaraz trzeba na scenę... Niech pan mnie odwiedzi... Dziś nie było czasu pomówić... Dobrze...

— Bardzo chętnie.

I Jaś stał się częstym gościem w garderobie aktorki. Posyłał jej coraz więcej kwiatów i coraz śmielej z nią mówił. Dwa razy odwiózł ją dorożką do domu. Lecz nigdy nie ośmielił się na dwuznaczny żart lub pocałunek. Była dla niego istotą wyższego rzędu i mógł zaledwie marzyć o niej, jako o kobiecie, którą można pieścić — jak Marusię Łobową. Z tą ostatnią zresztą od czasu zakochania się w aktorce, Jaś przestał obcować. Łobowa była tym zdumiona. Dostrzegła, że kochanek unika jej pieszczot i zapytała:

— Zbrzydłam ci już?

— Nie...

— Więc czemuś taki zimny dla mnie?

— Mam kłopoty.

— Jakie?... Może ja ci co pomogę, abo poradzę?

Lecz Jaś zbywał ją ogólnikami i coraz rzadziej odwiedzał. Był naprawdę zakochany w aktorce. Nie widział tego, że ona jest conajmniej o 15 lat od niego starsza, że życie silnie ją już stargało, że tylko szminki, piękne stroje i ładne rzeczy stanowią jej „urok”. Jaś nawet marzył o niej, jako o żonie. Lecz czuł się w stosunku do niej tak mało-wartościowy, że marzenia te poczytywał za bezcelność.

Pewnego wieczoru, gdy Jaś wychodził z teatru po wizycie w garderobie u aktorki, na ulicy wziął

go pod rękę stary aktor, zaledwie tolerowany w zespole operetkowym. Był jak zwykle pijany:

— Królewiczu kochany! — rzekł tragicznym szeptem. — Co dla ciebie człowieka uszczęśliwić. Wozami kwiaty posyłasz dla tamtej nagiej donny... Daj mi dwie setki na lekarstwa dla żony... Artysta, psiakrew, jestem z powołania, a kto to rozumie?... Talent teraz nie popłaca. Tylko reklama i ładne nogi... A u mnie ani reklamy, ani nóg, tylko talent i brzuch... Ot i z głodu trzeba zdychać...

Jaś pośpiesznie wyjął z portfela 200 rubli i dał je aktorowi.

— Grand merci monsieur!... Uważam to za pożyczkę... I proszę pamiętać, że jestem twoim przyjacielem... Ja... Sęp-Serkowski... zmarnowany, nieuznany talent... Tak...

Objął Jasia i pocałował.

— Czy wiesz, kochany, że ja dziś od rana nie jadłem... Sło-owo honoru!... Tylko ot: wódki stolarze dali... Błaznowałem za to pół godziny... Takie to jest życie, królewiczu...

Jaś chciał pożegnać aktora, lecz tamten nagle się trzasnął dłonią w czoło.

— Wiesz, królewiczu, jeśli postawisz kolację z kropelkami, to ja ci urządzę interesik z nagadonna... Co nie wierzysz? Słowo honoru...

— Nie rozumiem pana?

— Zaraz zrozumiesz... Ty jej tam na tysiące kwiatów posłałeś... Przecież mężczyzną jesteś... Wiadomo o co tu chodzi... A ja tak interes pokieruję, że sama ci do łóżka przyjdzie... Po co kwiatarnie wzbogacać...

Jaś, zdumiony, słuchał wynurzeń pijanego aktora. Wreszcie, zainteresowany bardzo, zrozumiał, że tamten mówi poważnie.

— Widzę, że ty człowiek dobry — mówił aktor dalej — i szkoda mi ciebie... Ot i ja ciebie oszukałem... Żadnej ja żony nie mam... A pieniędzy mi na wódkę trzeba... Wódka to też lekarstwo... Dla mnie wódka więcej potrzebna jest, jak chleb...

— Więc jak pan to zamierza zrobić!? spytał Jaś.

— Sprawa jasna jak śnieg... Zaproszę ją i ciebie na kolacyjkę... Ją odpowiednio przygotuję... Dwa tysiączki za dekolt i gotowe... No a dla mnie królewicz chyba, po fakcie, z pięćset rubelków odpali... Kolacyjka też będzie kosztowała z pięć setek...

Stało na tym, że Sęp-Serkowski zaprosił aktorkę w sobotę po przedstawieniu do siebie na kolację, wyjaśniwszy jej sprawę. Jaś dał aktorowi à conto 1.500 rubli. Przypuszczał, że aktor go nabiera, lecz nie zależało mu na stracie pieniędzy. A propozycja aktora zainteresowała go, jako eksperyment. „Czy może być, żeby tak piękna i utalentowana kobieta zgodziła się kupeć swym ciałem?”.

We czwartek i piątek Jaś do teatru nie poszedł, a w sobotę po południu, razem z aktorem, kupili win, wódek i różnych przekąsek. Urządzili wszystko starannie. Aktor wynajął w tym celu od swojej gospodyni duży, obok położony, stołowy pokój.

— Po kolacji — mówił aktor do Jasia — ja was zostawię. Korzystajcie z mego pokoju. Pościel świeża, pokój zaciszny, będziesz mógł dokładnie zbadać wszystkie geotopograficzne wyniosłości i wklęsłości naszej czarującej nagadonny... A pieniądze przygotowane. Tysiączek ja jej dałem. Wzięła i oblizwała się na drugi.

— Czy łatwo się zgodziła? — spytał Jaś.

— Jak jest dynamit — aktor potarł wskazującym palcem o duży lewej dłoni — to każdą cnotę można skruszyć. Tylko trzeba umieć do rzeczy się zabrać. Co prawda idiocie, to i dynamit nie pomoże... A pan, królewiczu, widzę niedoświadczony w tych sprawach... Nie... Tej sztuki czas i życie wyuczą...

Wieczorem Jaś pozostał w mieszkaniu, a Sęp-Serkowski pojechał dorożką do teatru. Przedtem wziął od Jasia jeszcze tysiąc rubli. Wrócił po godzinie wraz z aktorką która była ubrana dziwnie — dla Jasia — skromnie. Chłopiec był przyzwyczajony widzieć ją w lśniących strojach, wydekoltowaną, w trykotach, pół naga. Obecnie prawie jej nie poznawał i był onieśmielony.

Sęp-Serkowski był bardzo wesół. Od razu poprosił gości do stołu i co prędzej nalał kieliszki.

— Zdrowie Kleopatry! — wygłosił uroczyste, robiąc komiczną minę.

Nalewał często kieliszki, jadł, pił, wygłaszał humorystyczne, a czasem głupie toasty. Jasia nazywał z początku królewiczem, a potem Antoniuszem. Po wielu kieliszkach Jasiowi zakołowało w głowie, lecz nie był wesół. Przykry mu był interes załatwiony dla niego przez aktora. Kobieta również się upiła. Głośno się śmiała, zaczęła śpiewać urywki arii z operetek.

Było już późno i aktor, zupełnie pijany, bo pił często poza kolejką, pożegnał Jasia.

— Życzę przyjemnych snów... A nie zblamuj się, bo to kobieta wulkan... Jak nie dogodzisz, mordę spierze!

Jaś został sam na sam z aktorką. Kobieta była pijana. Po wyjściu Serkowskiego rzekła do Jasia:

— Chcę spać... Gdzie łóżko?... Ej, tu smyku... Ja pytam...

— Zanieś mnie... Dostaniesz na wódkę...

Jaś zaniósł ją do następnego pokoju i przygotował łóżko.

— Rozbierz i żywo, bo wygonię precz... Zrozumiano?

Chłopiec posłusznie, lecz niezbyt zgrabnie ją rozebrał. Aktorka dostała czkawki. Leżała nago na łóżku i, spoglądając na Jasia, wyciągała co chwila ku niemu wskazujący palec.

— Widziałeś, świnió, taką kobietę?... Co?... Widzisz jakie nogi!... Jedna na tysiąc takie ma... U, gdzie tam... Jedna na sto tysięcy... Ile mu dałeś?

— Komu? — nie zrozumiał Jaś.

— No temu Serkowskiemu... że będziesz ze mną spał...

— Dwa tysiące...

— Myślałam, że Serek oszukał mnie... A co to jest: dwa tysiące... Na dobry pierścionelek nie wystarczy... I rozkładaj się tu za dwa tysiące takiemu chłystkowi...

Jaś był trzeźwiejszy od niej, a teraz czuł się zupełnie przytomny. Było mu wstyd. Na policzkach ukazały się rumieńce...

— Niech mi pani nie ubliża. Nie zamierzam wcale z panią spać. To był projekt Serkowskiego. Chciałem dać wam zarobić.

— Oj, jaki święty!... A naprawdę: kanalia!... Rozumiesz, durniu jeden!... Twój cały majątek nie wart ot, tego mego paluszka. Za dwa tysiące... Podlec!...

Jaś wziął z krzesła czapkę.

— Do widzenia pani i przepraszam jeśli niechący skrzywdziłem...

Poszedł ku drzwiom. Aktorka porwała się z miejsca.

— Czekał!

— Czego pani sobie życzy?

— Chodź tu! Rozbieraj się i kładź się do łóżka?
Mnie dziś potrzebny mężczyzna!

— Jeśli pani da mi trzy tysiące, to proszę...

— Co?!

— Tak, tak... Mam na pewno ładniejsze od pani nogi i inne dodatki... Warte trzech tysięcy...

— Gówniarz!

— Ach jak pięknie pani się wyraża... Ja bym mógł pani też powiedzieć coś niemiłego, ale nie chcę... Przecież pani nie jest tak pijana, żeby nie rozumieć, jakie to wszystko wstrętne.

— Ty mnie nie ucz!... Rozumiesz!... Robię, co mi się podoba.

— Nie bardzo... Panią można kupić za dwa tysiące... A mnie pani nie kupi wcale...

— Ty, frajerze, głupi!

— Co?!

Jaś zdumiony patrzył na nią. Ten zwrot w jej ustach wydał mu się bardzo komiczny. Czuł się firmowym złodziejem, blatnym, a tu prawdziwa frajerka nagle obdarzyła go tym epitetem. Jaś nagle zaczął się szczerze i wesoło śmiać, jak rzadko kiedy mu się zdarzało. Aktorka zdumiona patrzyła na ten nagły wybuch śmiechu. A Jaś zbliżył się do łóżka, usiadł na brzegu i, przestając śmiać się, rzekł powoli, cicho:

— Widzę, że jesteś cwaniara z naszej sitwy i po blatnemu umiesz klawo stukać. A pamiętasz jak do ciebie przed miesiącem do sypialni przyszedł blatny chłopak. Jak ty ślepie odemknęłaś a potem takiego mojra miałaś, że jak galareta się trzęsłaś. Pamiętasz, jak ci machnięto „trumien-

kę” i skórę. Zwrócono ci wszystko pocztą, tylko jedną fotkę zostawiono na pamiątkę. Przeczytałem wszystkie listy od różnych szpagatów do „kochanej nigdy niezapomnianej, najcudniejszej bogini”. Taki ja jestem frajer. A ty, cwaniaro, za 2.000 musisz z dziedzicem spod Borysowa się puszczać...

Aktorka naciągnęła na nagie ciało kołdrę i patrzyła przerażona na Jasia.

— To był pan?!

— To nie ma do rzeczy... Sprawa jest inna. Ja uważałem panią za dobrą, miłą kobietę. Pokochałem panią, bo przypuszczałem, że pani jest warta miłości. A teraz widzę, że pani mało więcej warta od „pikietówki”. Chyba, że droższa od nich. Tylko to...

— Proszę pana... Ja panu zaraz oddam tamte dwa tysiące.

— Nie trzeba... Ma pani to za stracony czas i za naukę dla mnie. To też coś warte.

Jaś wstał i wyszedł z pokoju. Na ulicy zimne powietrze mile chłodziło mu rozpaloną twarz. Szedł zamyślony ulicami i niósł w sereu żal za straconym złudzeniem. Przecież była to jego pierwsza, głupia, szumiąca miłość.

Marusia Łobowa była zdumiona, gdy w połowie nocy Jaś zapukał do jej okna. Wpuściła go do mieszkania:

— Co się stało? — zapytała trwożnie.

— Nic złego... Wracałem późno i zachciało mi się ciebie odwiedzić.

— Cudownie. Może chcesz jeść?

— Nie... Piliśmy... Po kolacji jestem...

Wkrótce Jaś był w łóżku Marusi. Kobieta ci-

cho leżała obok niego. Jaś czuł, że jest uszczęśliwiona jego obecnością. Poczul żal do siebie, że zaniedbywał ją. W pewnej chwili pocałował ją mocno w usta i rzekł szczerze:

— Wiesz, Marusiu, jesteś bardzo miła... Bardzo...

Kobieta odpowiedziała mu mocnym uściskiem

VIII.

„KWIATOWA ZABAWA”

Na Komarówce złodzieje stanowili arystokrację. Lecz ulica była terenem łobuzów. Między złodziejami, a łobuzami istniały zadawnione antagonyzmy. Na ogół łobuzeria obawiała się złodziei, chociaż tamci trzymali się skromnie i byli nieliczni. Dobry złodziej zawsze gardzi chuliganem, alfonsem i szmaciarzem. Nie wchodzi z nimi w stosunki i obdarza ich pogardliwą nazwą: szpana. Łobuzeria dla przestępców firmowych stanowi element wstrętny i niebezpieczny. Łobuzy często bywają na usługach policji, jako informatorzy. Łobuzy psują opinię dzielnicy głupimi napadami na przechodniów i dzikimi awanturami na ulicach.

Natomiast łobuzy nienawidzą złodziei za ich powagę, za umiejętność w robocie, za dobry strój, za to, że pochodząc z innej dzielnicy, a czasem i miasta, znajdują się w ich dzielnicy, na prawach szczególnie uprzywilejowanych. Dziewczęta, na przykład, wolą mieć kochanka złodzieja, niż łobuza. Złodzieje żyją na lepszych melinach i są tam szanowani. Natomiast łobuz nawet w rodzinie jest tylko tolerowany, bo zysk z niego żaden, a kłopotów masa.

Łobuzów można za butelkę wódki i za drobne pieniądze wynająć dla dania komuś „nauczki”, a nawet sprzątnięcia ze świata nożem lub kamieniem. Złodziej na takie rzeczy nie idzie. Zasadniczą cechą złodzieja jest spryt i śmiałość, a łobuz ma tylko bezczelność i głupotę.

Kasia Złota Trąba postanowiła na swe urodziny zaprosić gości. Byk Piećka chętnie na to się zgodził, bo nasuwała się doskonała okazja do grubszej pijatyki. Zaczęto się naradzać: kogo zaprosić? Przy tym nie obeszło się bez poważnych kłótni, a nawet bójki. Wreszcie ustalono, że goście będą trzech kategorii: pierwsza — goście Kasi Złotej Trąby; druga — goście Piećki Byka i trzecia — wspólni. Kasia, jako dołiniara, postanowiła zaprosić mistrzów i najbliższych kolegów fachu kieszonkowego: Toškę Srokę, Kulomiota, Czeška Swobodę, Panicza (Jasia). Piećka Byk uważał za konieczne zaprosić Marchewkę i Fiška. Jako goście wspólni wybrane były asy świata złodziejskiego: Żaba, Janek Złoty Ząb, Mongoł, Filip Łysy, Kazik Morecki. Poza tym zaproszono kilka dziewcząt z sąsiedztwa, bo było za mało kobiet.

Zarząd nad zorganizowaniem wieczoru wzięła w swe ręce Katarzyna Sperda. W jej mieszkaniu właśnie, jako w odpowiednio obszernym, miało się odbyć przyjęcie. Kasia i Piećka Byk nie poskąpili pieniędzy. Kasia ostatnio miała szczęście, więc pieniędzy było dość. Pieczono, smażyono, gotowano. Piećka Byk przyniósł kilka koszy piwa i kupił sporo wódki — żeby nie zabrakło. Wszystko było przewidziane do najdrobniejszych szczegó-
łów.

Dwie Katarzyny z rana już zaprzęgly Pieckę Byka do noszenia wody i szorowania podłogi. Więc farmazon, ubliżając swemu delikatnemu fachowi, zawinał nogawki u spodni i na bosaka zabrał się do roboty. Ochoczo człapał po mokrych deskach i z zapalem szorując je szuprem, śpiewał:

Żeby ja wiedział: kiedy ja umrę,
To bym se zrobił ze złota trumnę...
Ze złota trumnę, ze srebra wieko,
Żeby świeciło wszystkim, z daleka.
Hej dygu-dygu!
Hej, rachuciachu!

Żeby świeciło wszystkim z daleka.

Kasia co chwila wpadała do mieszkania i kontrolowała jego pracę. Nie szczędziła przy tym, jak zwykle, złośliwych uwag. Normalnie Piecka Byk nie długo by wytrzymał. Wnet by w kudły sobie się wczepili. Lecz dziś był w aksamitnym humorze (pomyśleć tylko: tyle wódki) i nic go nie mogło z równowagi wyprowadzić. Na zaczepki Kasi wcale nie odpowiadał. Robił swoje dalej i przyspiewywał:

A na tym wieku kielich z arakiem:
Żeby widzieli że był chojrakiem!
A na tym wieku dwa długie kije
Żeby widzieli czym złodziej bije!
Hej dygu-dygu!
Hej, rachuciachu!
Żeby widzieli czym złodziej bije!

O przyjęciu u Kasi Złotej Trąby dowiedziała się cała Komarówka. Niby to miało być utrzymanie w tajemnicy, lecz gdzież tu zachować tajemni-

cę, kiedy sama na wierzch wylazi. Tu pożyczono naczynia, tam krzesła, gdzie indziej kwiaty. No i poszła gadka po świecie.

Na wypadek gdyby goście zechcieli tańczyć, zaproszono Pitrka Desenia, znanego na Komarówce skrzypka. Nazwano go „Deseń”, bo lubił przesypywać swą mowę tym wyrazem. Deseń zwykle odwalał wieczorki i potańcówki wraz ze swym kamratem Jankiem Papugą. Papuga imię swoje otrzymał ze względu na zamiłowanie do jaskrawych strojów. W ten sposób uważano kwestię orkiestry za załatwioną.

Wieczór tego dnia zapadł piękny, jak na obstatunek. Nawet księżyc w pełni ciekawie się przyglądał temu, co się dzieje na ziemi. Na dworze książkę można by czytać.

Dwie Katarzyny skończyły przygotowania do przyjęcia gości i odświeżnie ubrane, artystycznie poprawiały niedociągnięcia i wykańczały detale. Przyjęcie to stanowiło najdrażliwszy punkt ich honoru. Przecież gości zaproszono nie byle jakich: w większości sami firmowi złodzieje.

Było trochę kłopotu z zaproszeniem kobiet. Na kilkunastu mężczyzn — jeśli nie brać pod uwagę obu Katarzyn (przecież gospodynie) — byłaby jedna tylko Tośka Sroka. Zamiast zabawy towarzyskiej — męski sejm, albo rada wojenna, jak określiła sytuację doświadczona towarzysko Katarzyna Sperda. Więc zaproszono Jadzię Rudą, która, choć zupełnie młoda, wykazała wiele zdolności w chodzeniu na Szop, wskutek czego uważano ją za dobry materiał na firmową szopenfeldziarę. Następnie — ze względu na urodę (co prawda nie bardzo to się podobało Kasi Złotej Trąbie) — Ankę i Jankę Afrykanki: przezwisko

spowodowały ciemna karnacja ciała i czarne włosy. Poza tym zaproszono Lolę Konwalię — która w każdą rozmowę towarzyską umiała wpleść (ze względu na wysoce estetyczny temat) zachwyty nad konwaliami. No i wszystkie. Co prawda Piećka Byk zaprotestował:

— Babów za mało — wtrącił ostrożnie.

— Na potańcówkę wystarczy — odrzekła niedbale Kasia Złota Trąba.

— Nie bardzo wystarczy — wydechnął Byk.

— Do spania za mało, a na zabawę aż za dużo — bezapelacyjnie zamknęła kwestię Katarzyna Sperda.

I Byk skapitulował.

Pierwszy zjawił się kamrat i protegowany Piećki Byka na członka przyjęcia, zwykły komarowski potokarz, Fiśko. Kasia Złota Trąba nie lubiła go za brak złodziejskiej powagi i niedbałość stroju. Parę razy już poważnie się pokłóciła z kochankiem, obgadując jego druha.

I teraz Fiśko przyszedł w zaniedbanym stroju, w zabłoconych butach, rozczochrany, nieogolony, a na dodatek pijany. Piećka Byk serdecznie go przywitał. Natomiast Kasia demonstracyjnie odwróciła się do niego plecami i wyglądała przez okno na ulicę. Fiśko się tym nie zdetonował i mając na myśli zerkanie Kasi w okno, zaśpiewał:

Spojrzę ja w okno, spojrzę ja w szybę:

A tam ulicą złodzieje idą...

Spodnie kloszowe, wyprasowane;

Buciki nowe, lakierowane...

Hej, dygu-dygu!

Hej, rachuciachu!

Buciki nowe, lakierowane...

— Ty byś swoje stare chociaż popucował — pogardliwie, lecz nieco łagodniej, odezwała się Kasia, która ogromnie lubiła śpiew i muzykę i potrafiła złodziejskimi pieśniami do łez się rozczulać.

A Fiśko — komarowski słowik — który, nie patrząc na kompletne zaniedbanie, miał bardzo piękny głos (nie zdążył go jeszcze przepić) — śpiewał dalej. Wiedział, złodziejską intuicją, czym Kasię rozkrochmalić.

Spojrzę na ręce: same pierścienie.

W dłoniach laseczki — srebrne gałeczki!

Hej, dygu-dygu!

Hej, rachuciachu!

W dłoniach laseczki — srebrne gałeczki!

Za Fiśką przyszedł, wyglądający na karawaniarza albo i nieboszczyka na urlopie, uroczysty i poważny skrzypek, Piotr Deseń. Był wysoki, szczupły, lecz miał niesamowitą siłę rąk, którą z rzadka się popisывał. Poza tym był bardzo zwinny. Fiśko mówił o nim z podziwem: „Nie w nim nie ma: skóra, żyła i kość, a jak szmajdnie: trup w śmietanie! A samego nikt nie ma prawa (*) uderzyć”.

Deseń pieczołowicie położył na komodzie skrzypce i uroczyście złożył życzenia urodzinowe Kasi.

— A gdzie Papuga? — spytała Kasia, mając na myśli harmonistę.

— Kiernał sobi i śpi — bezradnie rozwiódł żelazne dłonie skrzypek. — Budziłem go, budziłem... w żaden deseń nie wstaje. Tabaki mu do nosa

* Tu « nie ma prawa » zastosowano w sensie: nie potrafi.

napchałem. Też, nie... Jak się prześpi, to przyjdzie. On lubi w ten deseń przy wódeczce pograć...

— Wielka szkoda — rzekła rozżalona Kasia.

Potem przyszli Żaba i Czesiek Swoboda. Na ogół Żaba nie lubił Swobody, którego „podejrzał” o socjalizm, lecz jakoś tak się składało, że albo mieszkali na tych samych melinach, albo siedzieli w tych samych więzieniach. Nawet trafiali do wspólnych cel. Czesiek Swoboda, po wyrzuceniu go z P.P.S. i pobycie w więzieniu, nieco zmniejszył swój zapal do agitacji. Wiedział, że złodzieje w kwestiach socjalistycznych węższą szwindel i nabieranie frajerów... Dopiero teraz Swoboda, po przeczytaniu sporej ilości bibuły komunistycznej, poczuł grunt pod nogami. Po prostu znalazł możność wypłynięcia z głębinowego życia złodziejskiego na powierzchnię normalnego. Więc agitował na nieznane za bolszewikami, aż się kurzyło... Natomiast Żaba — słynny warszawski złodziej — był zewnętrznym typem takiego burzującego, jak go wyobrażają sobie i ujmują w karykaturach, bolszewicy.

Żabę, Kasia Złota Trąba przyjęła ze szczególnym uszanowaniem. Złodziej małowówny, poważny, niedbały, lecz wszystko widzącym i szacującym spojrzeniem obrzucił otoczenie i zaraz usiadł w kącie kanapy. Kasia usiadła przy nim. Zaczęli mówić półgłosem o aktualnych kwestiach złodziejskich.

Tymczasem Czesiek Swoboda zebrał wokół siebie Pieckę Byka, Fiśkę i Desenia.

— Ot ty, na przykład — wypowiadał Swoboda, tykając palcem w pierś Fiśka — żeby nie burzują, nie chodziłbyś we wstążkach (miał na myśli nędzne, podarte ubranie potokarza).

— No?... Co ty mówisz? — uniósł w górę brwi

Fiśko, a jednocześnie zrobił pytające oko do Piećki Byka.

— Tak, tak... Ja ci mówię... Każdy powinien najmniej trzy ubrania mieć.

Wtem ode drzwi rozległ się głos:

— ... Czerwone, zielone i białe...

To przyszedł Janek Złoty Ząb, który stale podkpiwał z manii agitacyjnej Swobody. Kasia Złota Trąba się ożywiła: już dwóch złodziejskich asów zaszczyciło swą obecnością jej przyjęcie. Janek przywitał się z obecnymi i przyłączył się do Żaby i Kasi.

Tymczasem Czesiek Swoboda prawił dalej słuchającym go z braku innego zajęcia Bykowi, Fiśce i Deseniowi:

— ...Jedno ubranie, to ma być robocze, ale dobre. Drugie codzienne: pierwszej klasy, mocne i fajne. Trzecie świąteczne: co się zowie. Żeby lustro się śmiało.

— W ten desen — odezwał się skrzypek — świątecznego i włożyć nie można.

— Czemu to? — zdziwił się Swoboda.

— Jak u nich świętych nie ma, to jakież święta?

— Są insi święci — zechciał się popisać wiedzą Byk. Ten sam Lenin z Trockim, to jak Piotr i Paweł. I innych dużo. No nie? — zwrócił się pytajaco do Swobody.

— To wy, towarzysze, nie tak rozumiecie — wpadł w zapal Czesiek Swoboda.

— Towarzysze złodzieje... — poprawił go z kąta przelotnie nasłuchujący Janek Złoty Ząb.

I Czesiek Swoboda puścił się na pogmatwany wykład doktryny komunistycznej. Słuchacze uważnie obserwowali, cierpliwie przyjmowali nieznanne terminy socjalistyczne i zdawało się rozu-

mieli dobrze. Lecz Fiśko nagle odrąbał stanowczo:

— Ja na to się nie zgadzam!

Czesiek Swoboda wybałuszył oczy.

— Czemu?!

— No na trzy ubrania... Bo wychodzi tak; robocze ubranie tylko do roboty. Klawo. Drugie... też fajne... No, a trzecie: pierwszej klasy, całkiem się nie nadaje... To jakże ja pójdę na potok. Mnie trzeba takie o... — Fiśko potrząsnął brzeg brudnej, wypłowiałej marynarki... — Żeby do potoku podejść było można.

Czesiek boleśnie się zmarszczył:

— Wy mnie zupełnie nie rozumiecie, towarzyszu! Ja mówię o tych czasach, kiedy kraść nie trzeba będzie. Kiedy...

Swoboda poruszał palcami w powietrzu, bo nagle zebrało mu argumentu. Dopomógł mu Janek Złoty Ząb:

— Lenin i jego szwagier Marks tę maszynę tu sprowadzą co ze słomy i drzewa salcesony robi.

Te docinki nie zbiły z tropu Swobody. Gadał dalej, tylko nieco ciszej.

— Fajny chłop — zauważył Janek, zwracając się do Kasi. — Złote ręce, charakterny. Ot tylko z tym komunizmem hyzia dostał.

— Przemaglują i jego — niechętnie odezwał się Żaba. — Dla mądrego to za głupie i za stare... Zresztą co szpagat (*) dobrego wymyśli. Tylko więzienia, wojny i rewolucje... Jakby wszyscy mniej gadali, a więcej robili, to i bez agitacji, czy rewolucji nędza by znikła. A tak, swołocze, tylko kręca, mordują, a sami tymczasem na wielkich panów się przerabiają! Dobrze żrą, rozkazują i w sławę rosną!

* Inteligent.

— I ot wierzy im — zauważył Janek Żłoty Żab.

— Wierzę, bo każdy człowiek szczęścia chce — rzekł w zamyśleniu i jakby ze smutkiem Żaba.

— A gdzież ono... szczęście jest? — wtrąciła Kasia, myśląc o czym innym: czemu tak powoli się schodzą?

— Szczęście tu — Żaba położył rękę na pierś. — Tylko w sobie! — rzekł poważnie, z siłą i przekonaniem. — I nikt nam go nie da!

W dużym pokoju nagle jakby jaśniej się zrobiło. To weszły razem trzy młode i ładne dziewczyny. Ubrane na lila siostry Anka i Janka Afrykanki i młodziutka, na podłotka wyglądająca, różowo ubrana, szopenfeldziara Lola Konwalia.

W ślad za nimi zjawili się Mongoł (Baran), Marchewka i Panicz (Jaś). Mongoł od razu przyłączył się do Asów i promieniującej w ich gronie Kasi Żłotej Trąby. Marchewka poszedł na łup agitacji Czeška Swobody, którą słuchacze tolerowali tylko. A Jaś, maskując zażenowanie udaną swobodą i, prawiąc im komplementy, zastanawiał się: do której warto by się podwalić. Najciekawsza była Lola Konwalia: śmiała, zgrabna, sprytna, lecz była zbyt szczupła i dziecinna, jak na użytkarny gust Jasia.

Niedługo potem, przyszedł Kulomiot — król mińskich doliniarzy, przewzany w Warszawie: Sieczkarnia, za dziwny sposób mówienia.

— Pani Katarzy... nie... nie... ży... ży... ży...

— No daj spokój — przerwał mu Janek — życzenia składam i już.

Kulomiot machnął ręką i zaśmiał się.

— Ty lepiej nie gadaj, a śpiewaj... — poradził mu Mongoł.

Kulomiot też się znalazł w gronie asów, obok

Kasi, jako niedościgniony jej mistrz od operacji kieszonkowych.

Najlepiej się zaprezentowała Tośka Sroka. Przyszła w eleganckiej wieczorowej sukni, uszytej — po radzie z arystokratyczną Sabina — specjalnie na to przyjęcie. Od Sabiny pożyczyła kilka drobiazgów z biżuterii, elegancko się uczesała u fryzjera i była, ze swoją swobodą w obejściu, dobrymi manierami i pięknym wyglądem, wyjątkowo ciekawa. Rozcałowała się serdecznie z Kasią. Przywitała z godnością i wdziękiem resztę towarzysztwa i dołączyła się do asów. Jaś nigdy nie widział Sroki, tak pięknej, jak dziś. „Taką by kochankę mieć!” — pomyślał, lecz wiedział, że Tośka na chłopaków nie leci; zresztą nie była w jego guście, jako kobieta.

Do Kasi zbliżył się Piećka Byk. Ostrożnie, prawie na paluszkach stąpając, zbliżył się do grona asów, w którym królowała rozpromieniona aż do wypieków na policzkach i potu na czole, szczęśliwa jak nigdy — Kasia Złota Trąba.

— No, czego ty?! — warknęła na Byka kochanka.

— Katarzyna pyta... może tego... już dawać... No nie? — jakby szkło żuł Byk.

— Zdażysz się uchlać! — rąbnęła Kasia i zerknęła na towarzyszków rozmowy: „Widzicie: tak go trzymam!”.

Byk całkiem się zdetonował.

— Jak chcesz — miamlił purpurowy — ja przecież nie...

— Zresztą nie wszyscy jeszcze — nieco łagodniej wycedziła Kasia.

— A kogo brak? — zainteresował się Janek Złoty Ząb.

— Filipa Łysego — wyśpiewała słodko Kasia.

— Nie warto czekać. Ten zawsze się spóźnia — zawyrokował Żaba.

— Ja też czasu nie mam — dodał Mongoł.

Zaczęto obsiadać stół. Teraz wszyscy ciekawie sobie się przyglądali — szczególnie nieznanym. Zasadniczo i mężczyźni, i kobiety interesują się najwięcej kobietami i szacując je badają. Tylko gatunek ich ciekawości jest różny. Męczyzna szuka w kobiecie zalet, kobieta — wad.

Kasia, coraz więcej się pocąc, rozsadziła gości. Czoło stołu zajęły asy, między których wprawiono, jak drogie kamienie, Kasię Złotą Trąbę, Tośkę Srokę i Konwalię. W trakcie zajmowania miejsc przyszła Jadzia Ruda, piękna dziewczyna o pysznej fali miedzianych włosów i ślicznej karnacji ciała. Posadzono ją obok Janka Złotego Zęba. Jaś znalazł się między Marchewką i Piecką Bykiem.

Gdy goście siedzieli już za stołem i nalano po raz pierwszy wódkę, drzwi się otworzyły i — jakby specjalnie na tę chwilę czekając — uroczyście wkroczył do pokoju Filip Łysy. Był w wieczorowym ubraniu, lśniący, dyskretnie pachnący, na glanc wygolony i zdawało się cały wykrochmalony. Złodziejski arystokrata; chodząca przestępcza renoma.

— Witam szanowne towarzystwo! — uroczyście i swobodnie wygłosił Filip. — Gospodyni milej moje uszanowanie i najlepsze życzenia ze szczerego składam serca!

Pocałował Kasię w rękę, czego złodzieje w swoim gronie nie robią. Potem etykietalnie przywitał się z paniami, następnie z kamratami. Żaba przy tym z lekka zmrużył oko i spojrzał na Mongoła. Obaj porozumiewawczo się uśmiechnęli. Cenili Filipa, jako złodzieja, lecz bawiły ich jego przesadne maniery. „Podrzyna hrabiego” — mó-

wili. Żeby nie był tak solidnym złodziejem, docinano by mu dotkliwie. A tak nie wypadło: należał przecież do ich sitwy i był na wielu robotach i w więzieniach zawsze pewnym i solidnym kolegą. Więc tolerowano jego „arystokratyzm”, jako dziwactwo.

Kasia porwała się z krzesła, chcąc ustąpić Filipowi swe miejsce, lecz tamten stanowczo się sprzeciwił i usiadł na końcu stołu. Na ogólny protest zlikwidowano kwestię zsuwając krzesła i wstawiając jeszcze jedno dla Filipa, między Kasią, Złotą Trąbą i Mongołem.

— Cóż, pijmy — rzekł Żaba — bo będzie wódkę szkłem czuć.

I wódka zaczęła obficie lać się do kieliszków. Skrzypek Deseń siedział wraz z gośćmi za stołem i pił nie ustępując im. Katarzyna Sperda obsługiwała ucztujących, przy czym Mongołowi, dawnemu swemu lokatorowi (i kochankowi) przynosiła najlepsze kęsy. Dotychczas babina miała dla niego sentyment i poważanie.

Kobiety piły wódkę wstrzemięźliwie i nieco się krygując, tylko Tośka Sroka rzetelnie odwaliała kolejki i solidnie lecz estetycznie jadła. A Filip Łysy po prostu celebrował. A tak sprytnie operował przy stole, że wciąż było widać lśniący na palcu pierścień z brylantem. Jednocześnie odpalał towarzyską rozmówkę z Kasią i wyraźnie kokietował Jadzię Rudą, co niezmiernie bawiło Janka i Żabę. Lecz dziewczyna dość przychylnie, z ukosa, przyglądała się Filipowi i parę razy uśmiechnęła się do niego, co ostatecznie wprowadziło w ekstazę starego złodzieja, mającego czułe na wdzięki niewieście serce. „Ach, żeby tylko nie ta podła łysina!”.

Jaś, siedząc między Marchewką i Piecką By-

kiem, nie miał z kim mówić, więc nie tracąc czasu pił i jadł, a jednocześnie ciekawie słuchał rozmów. Brała go ochota, by zamienić się miejscem z Bykiem i usiąść obok Anki Afrykanki, lecz się krępował poprosić go o to.

Podczas gdy w mieszkaniu Katarzyny Sperdy, znanej i rzetelnej meliniary, odbywało się uroczyste przyjęcie na cześć Kasi Złotej Trąby, Isaj — słynny komarowski łobuz — pił z czterema kameratami u paserki, Czarnej Chany. Zeszłej nocy zerznęli, u bałaguly Szlomy Goja, dwie skórzane budy z dorożek i zdjęli gumy z kół. Sprzedali to wszystko paserce i raczyli się wódką.

Czarna Chana chętnie by ich się pozbyła i w ogóle żadnych z nimi interesów nie miała, bo często wynikały z tego przykrości, lecz bała się łobuzów, aby jej nie zrobili jakiej psoty więc choć niechętnie ale ich przyjmowała.

Isaj był kiedyś rzeźnikiem, lecz wciąż kradł powierzone mu mięso i wyrzucono go po kilku upomnieniach. Wówczas wstąpił do artelu tragarzy na dworcu. Lecz i tam długo się nie utrzymał: coś skradł i trafił na trzy miesiące do więzienia.

Komarowski hetman łobuzów był dużego wzrostu, rozrośnięty w barach, silny niesamowicie. Oczy miał złe, małe, biegające. Na wargach chytry uśmieszek. Uważał się za bardzo mądrego. Tymczasem był w tej samej mierze głupi, co i silny. Zaliczał siebie do złodziei: przecież i kradł i w więzieniu siedział. Lecz złodzieje go unikali, bo za każdą prawie kradzież trafiał do uła. Tylko drobne kradzieże z podwórka, ze składzików mu się udawały. Zdarzyło się, że Isaj wpadł po jakiejś kradzieży i na policji, wzięty w obroty, wydał współników. To zupełnie go zdyskredytowało,

w oczach fachowych złodziei. I nikt z nich nie chciał mieć z nim do czynienia.

Na Komarówce Isaj miał szerokie pole do popisu. Dobrał sobie wielu kompanów i grasował z nimi, zatruwając życie wszystkim. Okradali strychy, składziki. Kradli kozy, kury, nawet kartofle z piwnic. Poza tym terroryzowali drobnych złodziei (potokarzy przeważnie) i brali od nich hańcach z robót.

Prawie co dzień Isaj urządzał gdzieś bójkę. Nawet bez powodu. Szanował się mało, więc tego, co sam czasem oberwie, nie brał pod uwagę. Wszędzie szukał zwady i wywoływał awantury. Lecz, jeśli czuł z góry, że będzie przegrany, unikał zaczepki. Lepszych złodziei też nie ruszał, bo wiedział, że taki nie da się poniewierać i chociażby był o wiele słabszy, zareaguje nożem, albo i rewolwerem.

Przed rokiem Isaj miał na Komarówce konkurenta. Był to też łobuz, staro-obrzędowiec, Koźma Wielki, którego rodzice, po wielu nieprzyjemnościach, z domu wygnali. Koźma na siłę ustępował Isajowi, lecz umiał dobrze się bić na pięści. Po pierwszej zwadzie z nim, Isaj okrwawiony — gdy ich wreszcie kamraci rozdzielili — postanowił się zemścić. Przyszedł do Koźmy z wódką i taką zaczął przemowę:

— Nas tu dwóch... My swoi chłopcy... Po co nam się zjeść... Dla obu miejsca i frajerów starczy... Co nie? Wypijmy, ot, na zgodę... Może sobie jeszcze się przydamy...

Koźma był łatwowierny i nie wyczuł podstępów. Isaj nalał szklankę wódki i powiedział uroczyście:

— Do ciebie bracie!... Na zgodę!

Koźma skinął mu głową. Isaj wypił wódkę i nalał szklankę po brzegi.

— Masz bracie! Wal na zdrowie!

A gdy Koźma, siedząc za stołem, podniósł do ust szklankę i zaczął pić, Isaj wstał i z całej siły, strasznym ciosem, wbił mu szklankę i odłamki szkła w nos, wargi, dziąsła i usta. Bryznęła krew. Koźma głucho jęknął.

A Isaj, przygotowanym zawczasu kilowym odważnikiem, umocowanym na rzemieniu, zaczął zadawać mu wściekle razy. Koźma runął na podłogę.

Isaj bił, starając się jak najwięcej go okaleczyć. I Koźmę zabrano do szpitala. Miał straszliwie zmasakrowaną twarz i usta, wybite zęby, złamane żebra i ręce. Składano go, szyto, cerowano i leczono długi czas. Wreszcie wyszedł ze szpitala, lecz źle władał prawą ręką i okulał.

Tak Isaj pozbył się konkurenta.

Teraz Isaj siedział ze swoim sztabem u Czarnej Chany i pił. Miał już zamęt w głowie, gdy jeden z kolegów zaczął opowiadać o przyjęciu u Katarzyny Sperdy.

— Czego tam tylko nie ma!... I pieczone, i smażone, i gotowane, i marynowane... A wódki: pływać można!

— I nam nie brak! — nadąsał się Isaj.

— Nie brak, ale to nie to. Tam ci różne frykasy i rummy najdroższe.

— A kto tam jest? — spytał Isaj.

— Sami lepsi złodzieje... No i naszych dziewczynek kilka: obie Afrykanki, Konwalia, no i ta Jadźka Ruda. Każdemu honor w takim towarzystwie się zabawić.

Isaj jeszcze więcej się nachmurzył. Wypił pół szklanki wódki i rzekł:

— Honor honorem, a ja ot jak zechcę, to Jadźkę Rudą im zabiorę.

Jadzia Ruda była siostrzenicą Isaja, lecz ani jej ojciec, ani matka nie utrzymywali stosunków z łobuzem. A gdy Isaj parę razy odwiedził ich na prawach krewnego, przyjęto go bardzo niechętnie.

— Nie bardzo ją zabierzesz. Ma prawo się bawić. I goście się obrażą.

— Ja gości mam gdzieś. A Jadżkę zabiorę; takie będzie i prawo. Nie pozwalam, jako stryj, z tałatajstwem się zadawać i już. Takie moje prawo!

Jeden z kamratów Isaja — też dobry awanturnik, lecz o wiele przebieglejszy od niego — zaczął podjudzać kamrata, chcąc podrażnić jego ambicję i urządzić hecę.

— Tego nie dokażesz — rzekł powątpiewająco — za słabe masz bebechy. Jeszcze po łbie oberwiesz...

Isaj się zapalił.

— A ot zrobię! Aby mi się tylko chciało.

— Nie będziesz tak grubo ryzykował, bo możesz nogami się nakryć.

— Pieprzysz mi chrzanem — irytował się Isaj.

— Ty się nie rzucaj — rzekł kamrat. — Ja ci po dobremu gadam. Tam przecież firmowi złodzieje się bawią.

— Tak, firmowi od psucia powietrza — pienia się Isaj. — Ja z każdego z nich skórę spuszczę, a kości wyłuszcę. Wielka mi parada, że złodzieje! I ja złodziej. Pięć razy w kiczu siedziałem. Prędej im łydki zadyndają, jak mnie. Ja przed nikim nie zdrefię.

— Zgrywus z ciebie! — rzekł pobłaźliwie kamrat.

— A ot pójde i Jadżkę zabiorę! — coraz więcej zapalał się Isaj, w miarę wypitych półszklanek.

Po pewnym czasie, dobrze już pijany, wstał i rzekł do kamratów uroczyście:

— Wy tu zaczekajcie, a ja zaraz tam pójde i Jadzkę zabiorę. Pokażę ją wam, a potem do matki zaprowadzę. Niech jej skórę złoją, że ze złodziejami pije. Ojciec tego nie lubi. On srogi.

I Isaj stanowczym krokiem z hardą miną wyszedł z izby.

— No i nałożą mu drzewa na plecy! — rzekł jeden z pozostałych kamratów.

— A niech się nie indyczy — zauważył drugi. — Dostanie wycisk, to i dobrze. Nie będzie takim harłapanem.

Koledzy jak widać nie bardzo się troszczyli o swego przywódcę. Pili dalej i pokpiwali z nieobecnego kolegi.

Tymczasem u Katarzyny Sperdy przyjęcie odbywało się w dalszym ciągu. Goście byli podochoceni, lecz nie pijani. Czasu było jeszcze dość, więc raczono się trunkami i przekąskami bez pośpiechu. Niektórzy goście pozmieniali miejsca — według upodobań. Filip Łysy znalazł się (ku wielkiemu żalowi Kasi) obok Jadzi Rudej i prawil jej wyszukane komplementa. Jaś usiadł na miejsce Piecki Byka obok Afrykanki.

Parę razy ogłoszono toasty: zdrowie gospodyń! zdrowie pań! Czesiek Swoboda w pewnej chwili wyrwał się ze swoim toastem: wstał i uroczyście ogłosił:

— Niech żyje trzeci internacjonal!

Wszyscy zdumieni patrzyli na niego. Nie wszyscy nawet zrozumieli o co idzie. A Janek Żłoty Ząb oznajmił poważnie:

— Proszę się nie bać. On zwykle spokojny. To mu wódka na mózg się rzuciła. Początek białej gorączki.

— Czerwonej... — rzucił Żaba.

Lecz Czesiek Swoboda nie zmieszał się tym przyjęciem jego toastu. Zaczął uzasadniać go:

— My, jako lumpenproletariusze...

— Tfu! nie udławi się tym wyrazem — rzekł Mongoł.

— ...musimy ze szczególną wdzięcznością odnosić się do Lenina i Trockiego, jako duchowych przywódców trzeciego internacjonalu... Oni dadzą nam możność...

Janek Złoty Ząb wstał i, naśladując patos Czeska, zaczął jeszcze głośniejsz kontynuować jego mowę:

— ...żreć sieczkę, siedzieć w więzieniu, zamiast ubrania nosić transparenty i sztandary!

Toast Swobody nie został przyjęty.

Piotr Deseń tymczasem stroił skrzypce. Potem zajął miejsce przy drzwiach. Tam był wolny kąt. Dopóki nie zaczęły się tańce — ponieważ ucztę się przeciągała — postanowił zagrać biesiadnikom do słuchu. Zaczął od marsza. Grał brawurowo, chętnie, z przyjemnością. Rozmowy urwano, potem zrobiło się zupełnie cicho.

Gdy Deseń kończył grać marsza, drzwi z impetem się otworzyły i do pokoju ciężko wkroczył Isaj. Przeszkodził Deseniowi grać... Muzyka się urwała. Przybysz stanął i wybałuszonymi oczami oglądał towarzystwo. Niektórych znał. Lecz nie spodziewał się znaleźć tak dobrze ubranych i dystygowanie wyglądających gości. To go speszyło. Więc stał i milczał, wodząc oczami po obecnych.

— Drzwi zamknij! — rzuciła mu Kasia, która poznała łobuza i była niemile zdziwiona jego wejściem.

— On w domu nie miał drzwi — odezwał się Janek Złoty Ząb — krowa mu zjadła, bo ze słomy były.

Ktoś parsknął śmiechem. To jakby obudziło Isaja. Zrobił jeszcze krok naprzód i tknął palcem w kierunku Jadzi.

— Jadźka, chodź do domu!

— Bo co? — zdziwiła się dziewczyna.

— Matka woła!

— Matka mi pozwoliła!... To nie twoja rzecz!

— Idź, bo będzie gorzej! — łysnął oczami Isaj.

— Nie pójdę! Idź precz!

Wtem odezwał się Filip Łysy:

— Panienka jest pełnoletnia i wie co robi...
Więc czego pan od niej chce? Pytam ja pana?

— Chcę zaprowadzić ją do domu, bo jestem jej krewniak. A teraz ja pa-ana zapytam: — Isaj się uparł pięściami w boki i rzekł z przekąsem: — A powiedzcie wy mi, mój drogi Filipie, gdzieście wy włosy zgubili? I pod światło nie nie widać. Nawet mrugaczów wam nie zostało.

Na ustach obecnych ukazało się parę uśmiechów. Nikt nie brał awantury poważnie. Nie wszyscy nawet zrozumieli, o co chodzi. Na docinek Isaja, Filip zirytowany, lecz udający spokój (inaczej nie wypada), powiedział:

— Włosy i mała ma. Trzeba mieć dobre wychowanie.

— Co to za fikus? — spytał głośno Żaba, mierząc oczami Isaja, jak jakiś rzadki okaz.

Wówczas Kasia, jak szydłem ukłuta, zerwała się z miejsca i skoczyła ku Isajowi. Wskazała mu palcem na drzwi:

— Idź precz stąd!

Isaj krzywo się uśmiechnął.

— A nie pójdę. Niech Jadźka idzie razem.

— A ot pójdiesz!

Wówczas od stołu, nisko chyląc łeb, podszedł do Isaja Piećka Byk. Isaj zwrócił się do niego:

— Ty byś choć mordę czapką zakrył. Takis brzydki, że rzygać się chce.

Janek Złoty Ząb i Mongoł, niby przez ciekawość zbliżyli się ku Isajowi. Wyczuwali, że zanosi się na awanturę. Isaj zaczął się cofać ku drzwiom.

— Jadźka, chodź do domu, bo będzie gorzej!

Cofając się Isaj wpadł na Desenia. Tamten odepchnął go dłonią i położył skrzypce. Potem ujął stojącą na parapecie butelkę z wódką i trzasnął Isaja po głowie. Flaszka prysła w kawałki, zasypując szkłem podłogę. Isaj cofnął się. To uderzenie nie zaszkodziło mu wcale, tylko twarz miał mokrą. Zwrócił się, zdumiony, do Desenia:

— Po coście mnie flaszką bęcnęli?

— A co mam ciebie pięścią bęcać. Moja ręka do skrzypiec, a nie do twojej chamskiej mordy.

Lecz wbrew swoim słowom Deseń błyskawicznym ciosem trzasnął Isaja w szczękę. Łobuz się zachwiał. Chciał uderzyć Desenia, lecz tamten zwinnie uchylił się od ciosu. Wtem z boku wślizgnął się Mongoł. W powietrzu chwycił wymierzoną do ciosu rękę Isaja i żelaznym chwytem włamywacza skrzył ją w tył. Potem poprowadził Isaja ku wyjściu. Wówczas Piecka Byk chwycił go z tyłu za kołnierz i wyprowadzili go z sieni na ganek. Tam zrzucili go ze schodków.

Isaj porwał się z ziemi i prędko wyszedł na ulicę. Piecka Byk wyszedł za nim. Było zupełnie jasno, więc widział przy świetle księżyca, jak Isaj pośpiesznie się oddalał. Wtedy wrócił do mieszkania.

— Co to za harłapan? — spytał Żaba. — Złodziej, czy frajer?

— Taki łuj — rzekł Filip. — Koniom śniadanie kradnie.

— Siedział w kiczu?

— Siedział, to za balię, to za worek owsa...

Odezwał się Marchewka:

— To taki woryga, co skoki na śmietnik robi, a cieć go klapą przykrywa.

— Ale zdrowy, jak koń — dodał Mongoł.

Kasia była wzburzona i długo nie mogła się uspokoić.

— Ot wpadł cholera! Jak pies do jatki!

— No i oberwał, jak pies — powiedział Swoboda. — W ustroju socjalistycznym takich typów nie będzie wśród nas.

Żaba krzywo się uśmiechnął:

— Tak. Będą rządzić Czerezwyczajki. Dopiero wówczas oni wypłyną.

Przerwana zabawa gładko poszła dalej. Nikomu nie zepsuła nastroju. Tylko Filipowi niemiłe było wspomnienie o przytyku, zrobionym przez Isaja na temat jego łysiny.

Tymczasem Isaj gnał jak wściekły po Komarówce, po Łogojskim i Borysowskim trakcie. Przede wszystkim zastawił Chanie Czarnej swój zegarek. Ponieważ miał jeszcze sporo pieniędzy z wczorajszej kradzieży bud i gum dorożkarskich, dysponował teraz sporą sumą.

Kamratów swych zastał zupełnie pijanych. Powiedział im, że złodzieje, co piją u Sperdy, ubliżali im wszystkim i odgrażali się. Nawoływał do zemsty. Przemawiał gorąco. Największy nacisk kładł na to, że bałamuca dziewczyny z ich dzielnicy. To — wraz z alkoholem — najlepiej poskutkowało. Czterej kamraci Isaja postanowili nie dać się znieważać. Wyposażeni w wiele litrów wódki każdy i w obietnicę, że po załatwieniu się z wrogami, wypiją jeszcze, ruszyli na przedmieście werbować za

wódkę swoich zaufanych kamratów, aby pomścić znieważoną godność dzielnicy. Umówiono się, że spotkają się wszyscy wraz ze zwербowanymi przez każdego ludźmi, na Bondarewskim zaułku. Ochocho ruszyli na werbunek bojówek. A ponieważ wyrosli w tej dzielnicy, nie trudne to było dla nich zadanie.

Po godzinie Bondarewskim zaułkiem spacerowało kilka grup. Czekano na Isaję. Wreszcie się zjawił spocony, rozchełstany, już prawie trzeźwy. Przyprowadził sześciu ludzi. Zebrało się razem siedemnastu słynnych komarowskich łobuzów. Niektórych nie zastano w domu. Lecz uważano, że i tych co są wystarczy zupełnie. Tym więcej, że wszyscy mieli kije i zamierzali zaskoczyć niespodzianie ucztujących u Katarzyny Sperdy gości.

Isaj poprowadził swoją bandę nad pobliski stawek. Każdy dostał po butelce wódki. Zaczęli pić, przegryzając kawałkami kielbasy. Potem Isaj wstał i zaczął, jękając się, uroczystą mowę:

— Bracia! Wy mnie znacie, a ja was... No nie... Żyjemy, jak żyjemy, ale swoi ze swoimi... Czy nie tak?... A tu włożą te hojraki i żyć nie dają... Żeby to byli swoi, komarowscy... A to swołocz z całego świata... każdą dziewczynę zbałamucą... Nam same żdziry zostają... Każdą lepszą robotę zabiorą... Czy nie tak?...

Rozległy się liczne głosy:

— To tak...

— Prawilnie z tymi ksiutami. Za nimi się nie dostąpisz.

— Nasze baby dla nas...

— Isaj wygłaszał dalej:

— Zawsze nam ubliżają... Wszędzie włożą w drogę... Teraz właśnie jest sposób zrobić z nimi porządek.

— Dobrze!... Pięknie!... Cudnie! — zachwycił się Węgorz, znany z zamięłowania do bijatyk.

— Ukróćimy tych żyganów! — mrocznie pociągnął Buzyga, czarny jak konar starego drzewa.

— Niech nas szpaniugami nie nazywają! — dodawał ferworu Stasiek Gwizdała, też były rzeźnik.

Słowem towarzystwo na tę wyprawę dobrano godne Isaja. Wódka dodała im animuszu. Więc wszyscy zaczęli odgrażać się złodziejom, do których prawie każdy miał jakąś pretensję.

Ruszyli do mieszkania Katarzyny Sperdy. Zbliżając się ku domowi, posłyszeli dźwięki poleczki. Goście jeszcze nie tańczyli. To Deseń grał im do słuchu, wykorzystując tę okoliczność, że zjawił się wreszcie harmonista Papuga, jeszcze osowiały po poprzedniej libacji. Nawet parogodzinny sen go nie pokrzepił. Więc Deseń grać chciał go rozruszać. Papuga, ubrany w białe spodnie i zieloną marynarkę, wyglądał komicznie. Był zupełnym przeciwieństwem ponurego skrzypka.

Podchodząc do mieszkania, Isaj zatrzymał kamratów.

— Czterech ze mną do środka, a reszta czekać w sieniach i pod oknami. Jak trzeba będzie prac, to prac! Nie żałować żyganów!

I w asyście czterech łobuzów wszedł do sieni mieszkania Sperdy. Wkroczył do izby i powiedział do Desenia:

— Przestań grać, bo nie umiesz: zaczniesz na poleczce, a skończysz na oberku.

Potem zbliżył się ku stołowi i rzekł do Jadzi:

— Wychodź stąd! Żywo! Wy, Afrykanki, też. Bo zaraz tu porządek zrobimy!

Kasia Złota Trąba zerwała się z miejsca:

— Pójdziesz ty stąd, łobuzie!?

Złodzieje, widząc, że za Isajem idzie jeszcze kil-

ku ludzi i że się zanosi na awanturę, zaczęli wsta-
wać od stołu. Kasia wrzeszczała:

— Po co mi zabawę psujesz!?

— Ja ci dam zabawę, szlucko! — ryknął Isaj.

Chwycił wazon z fikusem i rzucił nim o stół. Rozległ się trzask. Dzwoniło szkło. Pękały fiaszki. A Isaj rzucał następne doniczki. Chwycono go w ręce. Wówczas kamraci Isaja skoczyli mu na pomoc.

— Oho, kwiatowa zabawa! — krzyknął Janek Złoty Ząb syfonem z wodą sodową uderzył w łeb olbrzymiego Buzygę, który zwałił z nóg Marchewkę i chwycił rękami za gardło Pieckę Byka. Buzyga, jak worek mąki runął na podłogę.

Baran, wściekłym uderzeniem głową w nos i zęby, zwałił na ziemię drugiego łobuza. Potem spostrzegł, że skrzypek Deseń dusił żelaznymi dłońmi za gardło Isaja, więc skoczył mu na pomoc i ujął łobuza z tyłu za kołnierz marynarki. We dwóch przycisnęli go do okna. Isaj bił i kopał Desenia, lecz tamten nie puszczał. Wówczas Filip Łysy chwycił Isaja za nogi i poderwał je do góry. Pękły ramy i Isaj ciężko runął na ulicę. Tam spotkały go ciosy, wartujących pod oknem kamratów. Nie wiedzieli, że to ich przywódca. Isaj porwał się na nogi.

— Chłopaki do środka! Walić kijami!

W kilka minut pokój biesiadny był zrujnowany. Wszystko było pobite, połamane, podarte. Dzwoniło szkło pod nogami walczących zaciekle ludzi.

Łobuzów było siedemnastu. Złodziejów, wliczając w to Desenia i Papugę — jedenastu. Lecz złodzieje śmieiej i sprytniej walczyli. Poza tym pomagały im kobiety. Kasia Złota Trąba szalała i robiła spustoszenie, jak trąba powietrzna. Biła doniczkami, butelkami, gryzła i drapała. Okrwawio-

na, z rozwianymi włosami, wpadła we wściekłość i troiła się w oczach. Tośka Sroka, zupełnie spokojna, tylko blada, miała w rękach dwa widelce: jednym się broniła od ataku, drugim biła w plecy i ramiona, zwartego w uścisku z Jasiem, łobuza. Tamten ryknął z bólu, puścił chłopca i rzucił się na Toškę. Dziewczyna wbiła mu widelce w oko. Łobuz chwycił się jedną dłonią za oko, drugą potężnym ciosem w szczękę zwalił Toškę na ziemię. Rzucił się na nią, rycząc z bólu i wściekłości. Wówczas Jaś kopnął go nogą w twarz, jak w piłkę footballową. Łobuz osunął się bokiem na ziemię. Wtem Jaś otrzymał cios z tyłu kijem. Zatoczył się na ścianę i podstawił rękę pod drugi cios — broniąc głowy. Sam kopnął napastnika nogą w międzykrocze. Tamten puścił kij i usiadł na podłodze. Nawet słabiutka Lola Konwalia pomagała walczyć złodziejom.

Wtem zgasła lampa i izbę zaległa ciemność. Zraz potem rozbłysło światło kieszonkowej latarki i padł strzał. Rozległ się donośny, stanowczy głos:

— Kto nie był na zabawie, precz z mieszkania, bo będę strzelał do każdego obcego.

I rzeczywiście padły jeszcze dwa strzały. To strzelał Żaba, który nie brał bezpośredniego udziału w walce. Żaba przestrzelił ramię Gwizdale, który tarzał się z Jankiem Złotym Zębem po podłodze.

Łobuzów ogarnęła panika. Którzy mogli uciekać, rzucili się przez drzwi i okna na podwórze. Złodzieje ich ścigali.

Kasia Złota Trąba, do połowy naga, umazana we krwi z zapuchniętym okiem, siedziała okrakiem na Węgorzu i tarką darła mu twarz, klnąc ohydnie.

— Ja cię nauczę, jak ze złodziejami zaczynać!

W parę sekund obróciła tą dziką bronią, wy-

czerpanemu długą walką, wielu ciosami i upływem krwi, najdzielniejszemu bojownikowi łobuzów, Węgorzowi, twarz w kotlet skrobany.

Katarzyna Sperda też nie była bezczynna. Jednego napastnika unieszkodliwiła od razu w sieniach, wylewając mu na głowę duży rondel wrzącej wody. Potem siekierą broniła dostępu do kuchni i nie wpuściła nikogo przez wąskie drzwi.

Pięciu łobuzów zostało w mieszkaniu na podłodze: Gwizdała — zбитy na miazgę, z przestrzelonym przez Żabę ramieniem. Ten, którego sparzyła wrzątkiem Sperda, wił się z bólów w sieniach. Trzeci, któremu Tośka wbiła w oko widelec, a Jaś dokończył go kopnięciem. Buzyga, którego wykończyli Filip Łysy, Fiśko i Deseń.

Ze złodziejów leżał nieprzytomny Piecka Byk i Fiśko. Tośka po paru minutach ocknęła się.

Walka przeniosła się na podwórze. Bili się: Baran, Jaś, Janek Złoty Ząb, Swoboda, Filip Łysy i Deseń. Reszta z partii złodziejskiej nie była zdolna do walki, z powodu ran i okaleczeń. Łobuzów było już tylko siedmiu, bo reszta (poza tymi, którzy nie zostali w mieszkaniu) uciekła.

Wśród walczących ukazał się nagle, z dużą żelazną sztabą w rękach, Isaj. Zmiotł z nóg Jasia i rzucił się na Filipa. Z boku nadbiegła z tarką Kasia, która porzuciła nieprzytomnego Węgorza. Isaj wałnął ją żelazną sztabą z boku i Kasia ze złamaną ręką padła na ziemię.

Tę chwilę wykorzystał Deseń i chwyciwszy lewą dłonią sztabę, prawą pięścią wałnął Isaję w skroń. Sztaba została w rękach Desenia. Wówczas Isaj porzucił swych kamratów, przeskoczył niewysokie ogrodzenie i zaczął uciekać. Baran podstawił mu nogę i Isaj upadł. Wtem Baran otrzymał kamieniem cios z tyłu i też upadł obok Isaję.

Łobuz zerwał się na nogi. Baran próbował usiąść, lecz czuł się słabo. Wtem spostrzegł w rękach Isaja klingę noża. Kocim ruchem Baran wywinął się od ciosu noża i chwycił obu rękami dłoni Isaja. Wgryzł się zębami w jego palce i nóż wyleciał z dłoni łobuza. Baran schwycił nóż i jednym krótkim ruchem z dołu, w górę ciał nim Isaja w brzuch. Pięść łobuza nie wykonała ciosu, wymierzonego w skroń Barana — opadła.

Tymczasem Deseń wykańczał żelazną sztabą resztę łobuzów. Nie potrzebował już pomocy. A jego kamrat — harmonista Papuga — siedział sobie na ławeczce przed domem i obojętnie obserwując bójkę, grał na harmonii walczyka. Co mu tam po awanturze: widział tego sporo na zabawach. Co prawda nie takie wielkie, ale miał tego dość.

Isaj rzucił się do ucieczki, lecz zaczęły wypadać mu jelita. Usiadł. Jelita wypłynęły na piasek — między nogi. Isaj skomlać cicho, gorączkowo je zbierał i wpychał do jamy brzusznej. Zebrał. Okrył rozczapierzonymi palcami i dłońmi. Powstał i zataczając się zaczął biec na zgiętych w kolanach nogach.

Po chwili znów usiadł. Jelita ponownie wypłynęły na piasek. Wówczas Isaj zaczął wyć niskim, gasnącym, przerywanym głosem.

A z góry na to wszystko patrzył zimny, blady, obojętny księżyc.

IX.

W WYŻSZYM STYLU ZŁODZIEJSKIM

Azur od dwóch miesięcy przechadzał się ulicami Mińska i szarymi, wąskimi oczami, w których lśniły błyski stali i ognia, badał miasto. Subtelnością inteligencją człowieka, który wyrósł i żył w nieustannym niebezpieczeństwie, jak aparatem rentgenowskim, prześwietlał kamienice miasta i dusze ludzi — wrogów, ofiar i współpracowników. Był poszukiwaczem skarbów — bez względu na to, gdzie się znajdują: w żelazie, betonie, piasku i azbestie kas pancernych, czy w duszach kolegów. Wspólników stałych, po kilku zawodach na ludziach, nie miał. Dobierał ich sobie wśród kolegów po fachu, a nierzadko pracował i z frajerami.

Azur prawie nie mówił. Porozumiewał się oczami i ruchami żywych, nerwowych dłoni. Wyglądał dystyngowanie. Wysoki, szczupły, zawsze schludnie ubrany. Był bardzo nerwowy z natury, lecz umiał doskonale się opanowywać i uważano go za człowieka ze stali.

W świecie przestępczym Azur cieszył się bardzo dobrą opinią jako wspaniały „pudlarz”. Był jednym z najlepszych kasiarzy w Europie. Odsie-

dział kilka wyroków w różnych więzieniach Rosji, Niemiec, Francji i Rumunii, dokąd jeździł na gastrole. Mając małe wykształcenie, władał kilku językami i posiadał zasób wiedzy. Z zawodu był ślusarzem, a potem elektrotechnikiem.

Po raz pierwszy dostał się do więzienia w sprawie politycznej. Posadzono go, na skutek znalezionej w jego mieszkaniu przy rewizji broszury eserowskiej, o przynależność do partii socjalistów-rewolucjonistów. Azur nie wydał kolegi, od którego otrzymał broszurę. Powiedział, że znalazł ją na ulicy. Siedział niedługo, lecz po wyjściu z więzienia nie mógł nigdzie znaleźć pracy. Wówczas wyjechał z Kalisza do Warszawy i tam znalazł pracę, jako elektrotechnik. Lecz pech i tu za nim się przedostał. Posadzono go — znów niesłusznie — o kradzież pieniędzy z mieszkania, w którym pracował. Pieniądze skradł ktoś z domowników, korzystając z tego, że w mieszkaniu bywał obcy człowiek. U Azura przy rewizji znaleziono trochę pieniędzy, które poszkodowany „rozpoznał”, jako część tamtych, które mu zginęły. Dowodów poważniejszych przeciw niemu nie było i Azur, albo zostałby wolny po rozprawie sądowej, albo otrzymałby mały wyrok. Lecz zaszkodził mu poprzedni pobyt w więzieniu — karalność.

Azur odsiedział niewinnie w mokotowskim więzieniu dwa lata.

Po wyjściu z więzienia, Azur znów nie mógł nigdzie znaleźć pracy. Głodował, cierpiał biedę i wreszcie, po roku nędzy i poniewierki, po raz trzeci dostał się do więzienia. Tym razem słusznie. Wykorzystał swą wiedzę ślusarza i dokonał kradzieży.

Gdy Azur po raz trzeci wyszedł z więzienia, nie próbował już uczciwie żyć i pracować. Wie-

dział, że obywatele i policja wolą widzieć w nim raczej złodzieja, niż robotnika. Pogodził się z tym i, wykorzystując swą wiedzę praktyczną, i trzy szkoły więzienne, stał się zawodowym złodziejem.

Teraz Ażur miał około 50 lat. Doskonale umiał zmieniać swój wygląd i paszporty. A najtrudniejsze roboty planował i wykonywał tak pewnie i umiejętnie, że był nieuchwytny. Ażurem nazwali go koledzy, dlatego, że mówił: „Dla mnie cały świat jest ażurowy, jak damska pończocha... I ludzie, i domy, i kasy, i skrytki... Ja patrzę nie po wierzchu, a wewnątrz”. I tak patrzył rzeczywiście.

Chociaż Ażur był bardzo małomówny, lecz lubił świstać. Nauczył się tego, w więzieniu, gdy odbywał w celi pojedynczej pierwszy wyrok. Regulamin zabraniał więźniowi: śpiewać, krzyczeć, hałasować, nawet głośno mówić, lecz o świstaniu mowy nie było. Aby nie wchodzić w kolizję z władzami, Ażur świstał po cichu i nabrał takiej wprawy, że łatwo wykonywał najbardziej skomplikowane melodie. Gdy czasem naśladował słowika, nikt by nie uwierzył, że to gwizdże człowiek... I Ażur, płynąc po burzliwych falach życia, w trzydzieści lat odświstał wiele wyroków. W ten sposób nauczył się świstać i na życie, które było pozbawione sensu, i na ludzi, żyjących jak sfory szakali, cheiwych, okrutnych, tchórzliwych, podłych, ohydnych, zakłamanych.

Ażur, po przybyciu do Mińska, wnet znalazł kilku znajomych: blatnych z więzień i z różnych miast dawnej Rosji. Lecz utrzymywał z nimi tylko luźny kontakt. Nie pił z nimi wódki, nie brał udziału w ich zabawach, nie chodził po złodziejskich spelunkach. A zamieszkał nie na melinie, lecz w cichym i przytulnym hoteliku „Noworosyjsk”

blisko centrum miasta położonym. Zameldował się, jako kupiec i rzeczywiście założył sklep przy ulicy Pietropawłowskiej obok kina „Lux”. Był to sklep dzieciennych zabawek. Azur, z ogłoszenia w gazecie, znalazł sobie ekspedientkę. Zgłosiło się do niego kilkanaście kobiet, jako kandydatki na posadę sprzedawczyń zabawek. Niektóre miały duże walory fizyczne — ładne, eleganckie, młode. Lecz Azur, po krótkim prześwietleniu każdej swym „rentgenem”, decydował: „nie nadaje się” i wybrał niemłodą już, szczupłą, prawie brzydką, dość małomówną kobietę. Zdał jej sklep i towar, objaśnił, jak prowadzić jedyną księgę „przychodowo-rozchodową”, a sam tylko od czasu do czasu zaglądał do interesu. Mimo to sklep, po miesiącu, zaczął dobrze prosperować. Ekspedientka zrobiła bardzo gustowną wystawę. Ładnie urządziła wnętrze, sama sprowadzała na kredyt i brała w komis zabawki, i sklep, zamiast spodziewanego przez Azura deficytu, zaczął dawać zyski.

Po dwóch miesiącach, Azur, który nadal bardzo mało się interesował istnieniem sklepu, zorientował się, że towaru w sklepie jest pięciokrotnie więcej, niż na początku, mimo to, że poza pierwszymi wydatkami na urządzenie sklepu i zakup towarów, nie wydał nic. Od czasu do czasu, Azur wstępował do sklepu, przeglądał książki i prześwietlał nieco już łagodniejszym wzrokiem — było w nim teraz więcej ognia, a mniej stali — swą ekspedientkę. Dziewczyna, zazwyczaj spokojna i opanowana, zaczęła się bać tego wzroku. Nie mogła zrozumieć: dlaczego? Spojrzenie tego dziwnego mężczyzny było dla niej ogromnie denerwujące. Czuła się rozbieraną nie z odzieży, lecz z ciała. Wzrok ten, jakby przez odwrotnie zastosowany peryskop łodzi podwodnej, sięgał z zewnątrz do wnet-

rza tej łodzi — jej duszy — i władczo, zimno, obserwował mechanizm, rządzący ruchami i odruchami jej ciała. Po pewnym czasie dziewczyna — śmiała i pewna siebie — zaczęła unikać jego spojrzenia i dostawała wypieków, gdy Ażur z nią rozmawiał. Wolala, żeby świstał, co początkowo dziwiło ją i irytowało. Zresztą rzadkie ich rozmowy były tak dziwne dla niej, że czasem się gubiła, nie umiejąc odpowiedzieć. Na przykład rozmowa przy pierwszym spotkaniu, gdy dziewczyna zgłosiła się do niego, do hotelu, we wskazanych w gazecie godzinach była następująca:

— Pani szlachecianka? — raczej stwierdzał niż pytał Ażur.

— Tak — odpowiedziała.

— Pani dobrze włada językami.

— Tak.

— Sprzedawać pani nie umie.

— Tak.

— To pani się wyuczy. Pensję pani dam zależnie od pani potrzeb. Umowy spisywać nie będziemy. Praca od jutra.

Wyznaczył jej godzinę przyjścia do pracy i pożegnał:

— Pani nie ma zegarka.

— Nie.

— Proszę wziąć ten zegarek — wyjął z szuflady stołu nowy damski zegarek z bransoletką.

Dziewczyna chciała zaprotestować. Ażur nie dopuścił jej do głosu.

— I ja nie zawsze to miałem. Bez zegarka pracować nie można. Wyliczę to z pensji.

Dziewczyna, zdumiona, wyszła na ulicę. Ażur, siedząc przy stole nieruchomo, palił papierosa i gwizdał jakiegoś walczyka. Był przekonany, że

zrobił dobry nabytek angażując tę dziewczynę na pannę sklepową.

Drugiego dnia, po rozpoczęciu handlu w sklepie, Ażur wyjął z kieszeni portfel i odliczył 1000 ostrubli. Wpisał tę sumę do księgi na stronie rozchód i wymienił cel wydatku: reklama. Dał te pieniądze ekspedience i powiedział:

— Proszę ładnie i modnie się ubrać.

Dziewczyna była zdumiona, lecz nie zaprotestowała. Po prostu słowa grzęzły jej w ustach w obecności tego człowieka. Po paru dniach zamieniła swą jedyną, mozolnie cerowaną, rozpadającą się sukienkę, na ładny lecz skromny kostium i buciki. Resztę pieniędzy i rachunki wydatków, wręczyła Ażurowi. Ażur zaczął coś gwizdać, potem przerwał i rzekł:

— Proszę kupić sobie palto, bieliznę i co trzeba. Te 1000 rubli, to jednorazowy wydatek na sklep, bez wyliczania się.

Przy przyjęciu jej do pracy i w ciągu następnego miesiąca Ażur nie zapytał jej o imię i nazwisko. Dopiero potem, gdy musiał na tydzień wyjechać z miasta, spytał ją o to.

— Nazywam się Maria Antonowna Zapolska.

— Polka.

— Tak.

— I ja Polak... Z Warszawy... Rodziców pani nie ma?

— Tak. Zmarli w Moskwie... Tyfus i więzienie...

Ażur zmarszczył się i długo milczał.

— W Polsce nie mam nikogo — dodała dziewczyna.

Ażur po pewnym czasie, jakby się ocknął z zadumy, wstał i pożegnał Zapolską.

— Wyjeżdżam na tydzień.

— Jak prowadzić sklep?

— Tak, jak pani uzna za potrzebne.

Minał tydzień. Ażur nie wracał. Zapolska, korzystając z pozostawienia jej wolnej ręki w sprawach prowadzenia sklepu, zaczęła w nim wraz z zabawkami, handel materiałami piśmiennymi. Po dziesięciu dniach Zapolska zaniepokoiła się, że jej chlebobdawca nie wraca. Gdy Ażur był na miejscu, to jego dziwne odwiedziny niepokoiły ją i trochę irytowały. Dlaczego tak dziwnie patrzy? Dlaczego nie kieruje jej pracą? Stosunek taki dla niej był niezrozumiały. Teraz zabrakło jej jego zimnych, dziwnych oczu i zazwyczaj milczącej aprobaty, która dodawała jej więcej energii i chęci do pracy, niżli wielosłowne i surowe wymagania innego przełożonego. Marusia łapała siebie na tym, że gdy umysł miała wolny od trosk codziennych, myśli jej same się kierowały ku Ażurowi.

Po jedenastu dniach do sklepu przyszedł jakiś starszy jegomość i spytał Zapolskiej:

— To sklep pana Edwarda?

— Tak.

Jegomość ów wręczył jej list i położył na ladzie dość długą, ciężką i dobrze owiniętą paczkę.

— Proszę to dobrze schować. To są drogie narzędzia techniczne.

— Dobrze.

Zapolska rozerwała grubą kopertę. Było w niej 5.000 ostrubli na zakup towarów i powiadomienie pracodawcy, że wróci za dwa tygodnie. Dziewczyna uspokoiła się i z zapalem zaczęła projektować dalsze ulepszenia sklepu.

Tymczasem Ażur przedostał się do Wilna i w tej prastarej kolebce świata złodziejskiego wschodnich kresów Polski, załatwiał swoje sprawy. Po-

trzebny mu był przede wszystkim komplet narzędzi do otwierania, raczej rozbijania, albo jeszcze dokładniej określając tę czynność: borowania i cięcia kas ogniotrwałych. Trudności z tym miał dużo. Nie łatwo było znaleźć dobrą stal, bory... Wreszcie niektóre narzędzia wykonał sam, u blatnego właściciela warsztatu mechanicznego, a resztę trzeba było sprowadzić z Warszawy. Nadarzyła mu się dobra okazja. Pewien blatny z kochanką — jako mąż i żona — wieźli do Warszawy kilkanaście tysięcy dolarów „lip”. Były to fałszywe dwudziesto-dolarówki, które centrala fałszerska sprzedawała po cenie od 3 do 8 dolarów prawdziwych. Cena zależała od osoby nabywcy, ilości zakupionych „lip” i okresu czasu. Z początku droższe, potem tańsze. Po wsiach Wileńszczyzny i Kongresówki rozeszło się wiele tysięcy takich „lip” i chłopci ciułą je nieraz w bardzo znacznych ilościach, nie wiedząc, że magazynują tylko skrawki papieru. Miasta prędko na tym się poznały, lecz wieś była dobrym ich odbiorcą przez wiele lat. Może się zdawać dziwnym, że Wilno wyposażało Warszawę w fałszywe banknoty, lecz była to wówczas lokalna specjalność miasta. Zresztą przy tej procedurze współpracowali i warszawiacy... Blatny ów miał zawieźć „lipy” do Warszawy i wrócić. Jemu właśnie polecił Ażur przywiezienie, od znanych mu blatnych techników, borów i brakujących narzędzi.

Chłopaki z Warszawy prędko i solidnie załatwiali Ażurowi sprawę. U blatnych nie ma ociągania się, zwlekania, zaniedbywania interesu kolegi, nawet wówczas, gdy z tego nie przewiduje się zysku dla siebie. U nich to nie jest cnotą, ani zasługą, lecz zupełnie prostym i nieodzownym obowiązkiem wzajemnej pomocy.

Ażur natychmiast przesłał wszystko do Mińska, przez jadącego tam legalnie dawnego kolegę po fachu, który, od lat nie kradł, bo dobrze się urządził, zawdzięczając to ożenkowi z zamożną kobietą. Jednak nadal pozostał „swoim chłopakiem” dla firmowych złodziei i, jeśli trzeba było, bezinteresownie im pomagał. Nie zraziło go do dawnych kolegów po fachu nawet to, że kiedyś okradziono go. Klawisznicy nie wiedzieli, że „zrobili” dawnego fartowca. Po latach dopiero to się ujawniło. Klawisznicy chcieli powetować mu stratę, lecz odmówił. Tylko razem wypili.

Ażur szykował grubszą robotę. Przygotowywał ją umiejętnie, wkładając w to doświadczenie nabyte w ciągu 30 lat pracy zawodowego złodzieja i wielką inteligencję wrodzoną... Gdy brodził przez dwa miesiące po Mińsku, bezdźwięcznie pogwizdując poleczkę, to prześwietlając ludzi i kamienice swymi cudownymi oczami, widział tak dziwne szczegóły miasta i życia, jakie „normalnie” patrzącemu obywatelowi są niedostępne. Kojarząc drobne fakty, wnioskując ze szczegółów nieistotnych, z naukową dokładnością i precyzją stawiał złodziejskie diagnozy. Dochodził do wniosków „fantastycznych”, które po sprawdzeniu ich okazywały się słusznymi.

W jednym z gmachów, położonych przy ul. Gubernatorskiej, mieścił się Centralny Zarząd Aproprowizacji na Okręg Miński. Tam były również olbrzymie składy towarowe, wydział rachunkowy i... to, o co Ażurowi chodziło — kasa. W godzinach urzędowych było tam pełno ludzi: urzędników i interesantów. Po godzinach pracy, całości składów i kasy pilnowały warty wojskowe.

Sala, w której znajdowała się kasa ogniotrwała, miała 3 duże, okratowane okna. Prowadziło do

niej dwoje drzwi. Jedne — zwykle po godzinach urzędowych — były zamykane na sztabę, potężne klódki i zamki wewnętrzne. Z zewnątrz i od wewnątrz drzwi te były obite arkuszami 2-milimetrowej blachy, umocowanej na stałe nitami. Drugie drzwi — wewnętrzne — były zabite „na głucho” i za nimi znajdowała się wartownia wojskowa. Sala ta była na parterze.

Bezpieczeństwa składów pilnowało na zmianę 4 niemieckich żołnierzy, którzy się zmieniali, co 2 godziny. Jeden stał w bramie gmachu, trzech pilnowało dwóch dziedzińców i kasy z zewnątrz. W ten sposób kasa była zabezpieczona z dziedzińca, na który wychodziły 3 okna, z korytarza i od strony sąsiedniej sali — wartowni.

Już po krótkiej wstępnej obserwacji Ażur postanowił: „Będę robił z piwnicy”. I zaczął dokładnie badać i obserwować detale. Wkrótce i to było ukończone. A nieco później w hotelu „Noworosyjskim” Ażur siedział przy stole i na arkuszu papieru rysował ołówkiem szkice dziedzińca, gmachu, sali, piwnie i kasy Centralnego Zarządu Aproprowizacji. Drzwi były zamknięte na klucz. W powietrzu falowała cicha melodia poleczki. A z drugiej strony stołu Baran uważnie śledził, powstając na papierze szczegóły. Poleczka i szkice się skończyły. Dwie głowy pochyliły się nad stołem. Koniec ołówka zatańczył po rysunku. Taniec ten tłumaczył cicho Ażur. Baran od czasu przytakiwał ruchem głowy: rozumiem, lub zadawał ciche pytania.

Sprawa była wyjaśniona i zatwierdzona.

— Kogo wziąć na trzeciego? — spytał Ażur, który wybrał sobie odpowiedniego współnika — Barana.

Olek nie zastanawiając się nawet, rzekł:

— Panicza.

— Nie znam go.

— Młody. Ze mną zaczął chodzić. Ale pewny.

Trzeci wspólnik był potrzeby na „reks”. Baran i Azur mieli robić kasę.

— Dobrze — przypieczętował sprawę Azur.

Umówiono się co do terminu następnego spotkania i roboty. Potem Azur wyjechał do Wilna po skompletowanie narzędzi do roboty, która była szczególnie trudna, bo trzeba było wykonać ją cicho i ze względu na warty, i — co najważniejsze — z powodu bliskości wartowni. Więc prymitywnymi narzędziami nie można było pracować.

Jasiowi Baran nie powiedział o zamierzonej robocie. Wiedział, że chłopak pójdzie na nią z zachwytem. A jeszcze mogła zajść zmiana w sytuacji.

Zapolska zamykała sklep, gdy z boku wzięto ją pod ramię. Posłyszała cicho gwizdaną melodię walczyka. Zdumiona i nieco przestraszona, spojrzała Azurowi w twarz i dostała wypieków.

— Wrócił pan?

Skinął głową, nie przerywając melodii i uśmiechał się... oczami.

— Proszę pana... Niech pan tak na mnie nie patrzy... Mnie przykro... Czy chce pan obejrzeć sklep i rachunki?

Zaprzeczył ruchem głowy. Potem znów ujął ją pod ramię i rzekł:

— Chodźmy na kolację.

Zaprowadził ją, onieśmiałoną tą sytuacją, do pierwszorzędnej restauracji i tam nagle przeobraził się w wielkiego pana. Kelner z uszanowaniem wysłuchał zamówionego przez niego „wstępu” do kolacji. Nagle znikł człowiek o oczach sondujących

dno duszy, a zjawił się dystyngowany, dowcipny pan.

Późno wieczorem Ażur odprowadził Zapolską do domu. U drzwi jej mieszkania wziął dziewczynę za rękę i rzekł powoli, cicho, dobitnie.

— Pani na pewno wie, że ja nigdzie z Mińska nie wyjeżdżałem. Że stale byłem tu. Że wcale do pani nie pisałem i nikt ode mnie nie do sklepu nie przynosił?

Patrzył jej w oczy. Przez pewien czas milczała. Potem od razu zrozumiała do czego dąży i pośpiesznie powiedziała, zadowolona, że może go „uspokoić”.

— Tak. Naturalnie. Był pan cały czas w Mińsku. Co dzień przychodził pan do sklepu.

— Dobrze. Czasem mogą tym się zainteresować, więc chodzi o to, żeby pani nie sprawiła sobie przykrości, wyrządzając ją mnie.

— Może pan być pewien. Tylko trzeba uprzedzić.

— Więc uprzedzam i dziękuję.

Ażur uściśnął jej dłoń, a jednocześnie lewą ręką pieśczośliwie przesunął po jej czole i włosach. Potem cicho poszedł schodami w dół. Dziewczyna długo jeszcze nie dzwoniła do mieszkania. Wzruszona, zastanawiała się nad tym, co tylko wyczuwała wrażliwą intuicją. Ażur przy spotkaniu z nią dzisiaj od razu wyczytał to z jej oczu. Stąd powstał dalszy ciąg tego spotkania.

A nazajutrz, w truszczobie Cypy, w południe, spotkali się Jaś, Baran i Ażur. Przy piwie przez dwie godziny omawiali szczegóły roboty, którą wyznaczono na najbliższą sobotę. Zadecydowała o tym ta okoliczność, że w niedzielę urząd nie pracował. Więc jeśli by nie ukończyli — z jakichś

względów — roboty w pierwszym dniu, mogli ją dokończyć w następnym.

W sobotę, na dwie godziny przed zakończeniem urzędowania, Jaś ze sporą walizką w rękę wstąpił na dziedziniec Centralnego Zarządu Apropowizacji. Skierował się pierwszym dziedzińcem na ukos, w prawo, ku wejściu do Wydziału Rachunkowego. Minał drzwi Wydziału i coraz powolniej idąc, postawił walizkę na podłodze, obok drzwi do piwnicy. Wyjął z kieszeni portfel i, gdy w pobliżu przechodzili ludzie, udawał, że coś w nim szuka — jakiegoś papieru, czy dokumentu. Jednocześnie miał w dłoni miedziany hak, którym zamierzał odemknąć zatrzask drzwi do piwnicy, gdy nadarzy się ku temu sposobność.

Jaś, jako najmniej podpadający uwadze, a przede wszystkim, jako nigdy nie karany i nie znany policji kryminalnej, przyniósł w walizce narzędzia do prucia kasy. Walizka była ciężka, lecz Jaś udawał, że niesie ją łatwo.

Prawie pół godziny stracił Jaś, oczekując na dobrą sposobność, aby niepostrzeżenie odemknąć drzwi i wejść do piwnicy. Było to bardzo ważne.

Wreszcie Jaś wybrał zupełnie pewną chwilę i pośpiesznie wsadził splaszczony hak w szparę drzwi. Przesunął go w górę, dopóki się nie oparł o zatrzask, a wówczas powoli i silnie pociągnął hak ku sobie. Zatrzask usunął się w lewo i drzwi były otwarte. Jaś wsadził hak do kieszeni. Nasłuchiwał. Dziedzińcem nikt nie szedł. Za drzwiami Wydziału Rachunkowego też nie było słychać kroków. Klatka schodowa była pusta. Jaś pośpiesznie chwycił walizkę i otwierając drzwi wszedł na pierwszy stopień schodów do piwnicy. Natychmiast zatrzaskał za sobą drzwi.

Został w ciemności. Było tu chłodno. Jaś zaś-

wiecił latarkę elektryczną i poszedł, niosąc walizkę w drugiej ręce, schodami w dół. Tam znalazł stos próżnych beczek, o którym mówił mu Ażur i ukrył w nim walizkę z narzędziami. Potem wrócił na schody i stanął u drzwi. Wyjął z kieszeni kilka drewnianych klinów i jeden z nich dopasował do szpary w drzwiach, w pobliżu zamka. Teraz nawet kluczem z zewnątrz nie można było odemknąć drzwi, a Jaś mógł przesuwając zatrask nawet palcami.

Jaś spojrzał na zegarek. Do umówionego przyjscia współników było prawie pół godziny. Z piwnicy chłopiec mógł obserwować korytarz i część dziedzińca tylko przez szparę od klucza. To było niewygodne i widzialność miał zbyt małą. Mając wolny czas Jaś zaczął dokładnie badać drzwi. Znalazł u dołu miejsce, gdzie brakowało jednej skośnej listwy. Tam, przez szparę między zewnętrznymi deskami dużych, ciężkich drzwi, sączyło się światło. Widzialność i tu była bardzo ograniczona. Jaś sprężynowym nożem zaczął powoli i po cichu rozszerzać szparę. Robił to ostrożnie, usuwając drzazgi drzewa wewnątrz. Po pewnym czasie szpara w drzwiach wystarczała, aby można było przez nią obserwować cały korytarz i widzialną przez drzwi do korytarza część dziedzińca.

Teraz Jaś mógł, wygodnie siedząc, obserwować dokładnie wszystko na zewnątrz. Wskazówka zegarka zbliżała się ku wyznaczonej na przyjscie współników minucie. I gdy to nastąpiło, w drzwiach, prowadzących na korytarz ukazali się Baran i Ażur. Weszli do środka i stanęli przy drzwiach urzędu, które były w pobliżu wejścia do piwnicy. Jaś wiedział, że oczekują wygodnego momentu, aby zapukać w umówiony sposób i wejść. Odsunął zatrask i czekał. Gdy zapukano, prędko

otworzył drzwi, a po wejściu wspólników do piwnicy natychmiast je zamknął i włożył w szparę klin.

Pośrodku jednej z piwnic, w dokładnie wymierzonym miejscu, zbudowano rusztowanie. Trzeba było zrobić wyłom w potężnym sklepieniu. W czasie urzędowania na górze pracować nie było można. A później też trzeba było bardzo uważać, aby nie sprawiać nadmiernego hałasu. Posługiwać się mesłem, z pomocą uderzeń młotka, nie można było, chociaż mesle były obszyte skórą, tłumiącą uderzenia. Baran i Ażur pracowali nad wyłomem siłą mięśni. Borowali dziury między kamieniami, rozrzynali je szabrem i mesłami, odłupywali potem kamienie krótkim łomem.

Tymczasem Jaś siedział na schodach, obserwował — dopóki to było możliwe — a potem nasłuchiwał. Miał w ręku koniec sznurka, którym, w razie potrzeby, dawał sygnał kolegom, aby przerywali robotę. Do drugiego końca tego sznurka była przywiązana faszka. Wrzucono ją do beczki w pobliżu rusztowania. Gdy Jaś targał za sznurek, faszka sprawiała w beczce hałas i wspólnicy przerywali robotę. Gdy Jaś znów dawał sygnał, Ażur i Baran ponownie zabierali się do pracy.

Około godziny 11-ej wieczór w sklepieniu był zrobiony duży wyłom, przez który było widać deski podłogi. Wówczas Ażur i Baran, na zmianę, zaczęli wiercić borem dziury w deskach. Robili to powoli, mocno przyciskając w górę korbę. Wówczas hałas był mniejszy. Następnie trzeba było przecinać przerwy między wywierconymi w deskach podłogi dziurami. Robiono to powoli — nie piłką do drzewa, lecz do żelaza. Małe jej zęby sprawiały, przy znanym naciskaniu, a powolnym poruszaniu, mniejszy hałas.

Wreszcie w podłodze zrobiono otwór, dostateczny do prześlizgnięcia się tęgiego nawet człowieka. Podwyższono rusztowanie i Ażur pierwszy, po paru minutach obserwacji, wylazł na górę. Wyłom w podłodze wypadł o kilka kroków w prawo od kasy. Z ostatniego — trzeciego — okna można było go dostrzec. Więc Ażur przesunął nieco jeden ze stołów, tak, że osłaniał widok z okna na salę. Co prawda było tam prawie ciemno, bo tylko oknami, z dziedzińca wpadały rozproszone smugi światła. Lecz któremuś z wartowników mogło przyjść do głowy, by zaświecić do środka przez szybę latarką elektryczną. Brano wszystko pod uwagę.

Baran i Ażur, w skarpetkach tylko, jak cienie poruszali się wewnątrz. Kasa stała przy ścianie zewnętrznej, w niewidzialnym przez okna miejscu. To było pomyślne dla nich. Ażur postanowił „robić pudło” z boku. Prędzej i łatwiej dałoby się to z tyłu. Lecz było bardzo trudne — prawie niemożliwe w tych warunkach — odsunięcie kasy od ściany.

Z wartowni, za cienkimi drzwiami dochodziły głosy niemieckich żołnierzy. To sprzyjało ich robocie. A gdy wartownicy zapalili prymus do gotowania jedzenia, sytuacja stała się zupełnie dobra i kasiarz, do spółki z włamywaczem, mogli dokonywać operacji „pudła” nie zachowując ostrożności.

Ażur wyznaczył na ścianie kasy linie „fartucha” i obaj zaczęli pośpiesznie wiercić wzdłuż tej granicy dziury. Baran miał wielką siłę fizyczną w dłoni, a Ażur ogromną wprawę, więc robota prędko posuwała się naprzód. Gdy borowanie drzwi na ścianie kasy było ukończzone, zaczęto nadcinać je w kierunku w dół i w górę. Przygotowywano wszystko do właściwej czynności kasiarza: prucia.

Potem Ażur z kompletu „raków” wybrał najodpowiedniejszy i zmontowano z kilku stalowych, krótkich rur, wkręcanych jedna w drugą, uchwyt do rąk, który stanowił potężną dźwignię dla właściwego „raka”. Narzędzie to kształtem przypomina nóż do otwierania konserw.

Pazur „raka” powoli piał się w górę, rozcinając i szarpiąc gruby pancerz kasy. Wreszcie cięcie było ukończone. Wówczas wywinięto w dół „fartuch”. Miał kształt wysuniętego na zewnątrz języka, lub otwartej, wydłużonej koperty.

Aby dostać się do drugiej ścianki kasy, trzeba było wyrzucić grubą warstwę piasku. Potem przystąpiono do wiercenia dziur w wewnętrznej ściance kasy. Działano tak samo, jak przy pierwszej. I wreszcie, po długiej, ciężkiej i niewygodnej robocie, wywinięto — teraz w górę — drugi „fartuch”. Kasa była otwarta.

Kasę rozpruto dopiero nad ranem. Robota ta zajęła wiele czasu. Dopóki szumiał w wartowni prymus, pracowano pośpiesznie. Potem — szczególnie w tych okresach czasu, gdy w wartowni było całkiem cicho — trzeba było albo przerywać robotę, albo wykonywać ją bardzo powoli.

Tymczasem Jaś siedział na schodach piwnicy i nasłuchiwał, lub od czasu do czasu, patrzył przez szparę w drzwiach na korytarz. Godziny się wlokły długo, monotennie. Cisza dokoła dzwoniła w uszach. Było słyszeć, tykanie zegarka na ręku. Od czasu do czasu monotonię przerywały kroki wartowników. Potem milkły gdzieś w dali. W ciągu całej nocy na korytarzu tylko dwa razy zakłócono ciszę. Pierwszy raz, ktoś wszedł i schodami poszedł w górę. Drugi raz — wartownik ciężko przyczłapał do drzwi, grzmotnął jedną z kłódek, splunął i wyszedł.

„Będziecie wy jutro skakać” — myślał z satysfakcją Jaś.

Po ukończeniu roboty, Azur wyjął z walizki paczkę z jedzeniem. Natomiast zebrał i ułożył tam ściśle wszystkie narzędzia. Pozostałe miejsce wypełniono plikami banknotów. Kilka paczek, które nie zmieściły się w walizce, rozmieszczono po kieszeniach. Baran i Azur dokładnie obejrzelik pokój, aby nie zostało nic z narzędzi lub rzeczy. Potem Azur wilgotnym gałganem dokładnie wytarł kasę i wszystko czego w ciągu nocy dotykano, a co tu zostawało. Szczególnie zwracał uwagę na rzeczy politurowane, lakierowane, metalowe.

Operacja była skończona. Za oknami zaczynał się świt. Azur i Baran przez wyłom w podłodze wleźli do piwnicy. Rusztowanie zostawili nienaruszone. Udali się ku wyjściu z piwnicy. Po cichu zawołali Jasia. Potem, za zakrętem schodów, rozwinęli paczkę z jedzeniem i świecąc latarką (robota była skończona, więc nie oszczędzano światła) wypili flaszkę wódki i zjedli przyniesioną żywność. W miarę możliwości uporządkowali ubranie i wyczyścili trzewiki, aby wyglądać jak najporządniej.

Potem wyjęli z walizki i kieszeni pieniądze i ułożyli je na przewróconej dnem do góry skrzyni. Z dużego stosu banknotów wybrali pliki większych i Azur z Baranem rozmieścili je po kieszeniach i pod ubraniem. Resztę, wraz z narzędziami, włożono do walizki. Azur i Baran, jako znani policji śledczej przestępcy, zamierzali wyjść z dziedzińca i przejść ulicami oddzielnie i z pustymi rękami, aby nie podpaść niczyjej uwadze. Natomiast Jasiowi wypadła misja wyniesienia z piwnicy walizki. To było ryzykowne, bo posterunek w bramie mógł go zatrzymać, chociaż obserwacja ustaliła, że posterunkowi w dzień nie zatrzymywali cywilnych

osób, bo kilka rodzin pracowników Zarządu Aproprowizacji mieszkało w gmachu na górnych piętrach.

Nieco po godzinie ósmej rano wypuszczono z piwnicy Ażura. Wyszedł z korytarza z cicha pogwizdując poleczkę i znikł na dziedzińcu. W kwadrans po nim wyszedł Baran. Przed odejściem ścisnął dłoń Jasiowi i rzekł trochę innym głosem niż zwykle. Widocznie obawiał się o chłopca:

— Ty uważaj: spokojnie... W razie czego: walizki nie możesz otworzyć, bo nie twoja.

— Nic. Wykręcę się — odparł chłopiec.

Jaś czekał. Drzwi miał przygotowane do przedniego wyjścia. Przy progu piwnicy stała blaszanka, do której Ażur wylał przed odejściem z flaszeczki płyn, w skład którego wchodziły: karbol, dziegieć i terpentyna.

W pewnej chwili Jaś posłyszał kroki idących w dół po schodach ludzi. Głośno rozmawiali. Dostrzegł przez szparę w drzwiach, że idą, odświeżnie ubrani, mężczyzna, trzy kobiety i dwoje dzieci. Jaś prędko odemknął drzwi — jak tylko towarzystwo wyszło na dziedziniec — i zatrzasnął je. Chlustnął z bańki płyn po podłodze, koło wejścia do Zarządu Aproprowizacji i piwnicy. Bańkę postawił w kąciку, przy drzwiach wejściowych. Potem beztroski, uśmiechnięty wyszedł na dziedziniec, udając, że walizka leciuchna i pośpiesznie dołączył do towarzystwa idącego ku bramie. Tam jedna z kobiet rozmawiała z wartownikiem. Niemiec się śmiał. Jaś, idąc za mężczyzną, wydostał się przez furtkę w bramie na ulicę. Nie zwrócono na niego uwagi.

Dopiero teraz, gdy znalazł się, poza głównym niebezpieczeństwem, poczuł, że jest zdenerwowany. Tak bywa często u ludzi śmiałych.

Na Zacharzewskiej Jaś zatrzymał jadącego do-

roźkarza. Potargował się o cenę — to też było przewidziane i pojechał na Dolny Rynek. Dorożkarza zwolnił przed miejscem przeznaczenia. Wszedł do bramy. A gdy posłyszał turkot kół, wrócił na ulicę i skierował się ku położonej w pobliżu truszczoście Cypy.

Zastał Barana i Azura w ostatnim pokoju. Z widoczną radością i ulgą przywitali go. Drzwi zamknięto na zasuwkę. Wszyscy przyjechali tu dorożkami. Zrobiono to ze względu na psy policyjne, które będą spuszczone po ujawnieniu grubej kradzieży. Z tegoż względu Jaś rozlał w korytarzu cuchnący płyn. Zabezpieczano się starannie.

Jaś opowiedział jak wyszedł z piwnicy. Baran nie odrzekł, tylko spojrzał na Azura, wzrokiem mówiąc: „Widzisz: jaki chłopiec”.

Azur z aprobatą gwizdał i rzucał na stół schowane przy sobie pliki banknotów. Baran poszedł za jego przykładem. Do tego dołączono te, które były w walizce.

Jaś i Azur liczyli pieniądze. Było to nie trudne, bo prawie wszystkie były ułożone w paczki z opakami, na których były napisane wyraźnie kwoty. Raczej segregowano je, niż liczono. Jednak i to zabrało sporo czasu. Jaś zastanawiał się czy wspólnicy dadzą mu „dole”, czy tylko pewną część. Rozumiał, że jego udział we właściwej robocie był drugorzędny. Jednak było mu przyjemne, gdy zobaczył, że Azur dzieli wszystko na trzy części. To ostatecznie umocniło prestiż Jasia we własnych oczach. Stał się renomowanym, firmowym złodziejem. Od tego dnia w obcowaniu z innymi złodziejami był mniej trzpiotowaty. Mniej mówił i był więcej zamknięty w sobie.

Nazajutrz i przez kilka następnych dni, policja, złodzieje i pewna część społeczeństwa miasta, byli pod wrażeniem dokonanej w Zarządzie Aproprowizacji kradzieży. Przesadzano wielokrotnie sumę. Policja i Urząd Śledczy rzucali się bezcelowo po melinach i truszczojach złodziejskich. Dokonano wielu aresztowań. Lecz ani pieniędzy, ani sprawców włamania nie odnaleziono. Świat złodziejski też nie wiedział: kto zoperował pudło. Kilku poważniejszych blatnych kojarzyło „pęknięcie” kasy ze zjawieniem się na horyzoncie Ażura, lecz nikt o tym nie mówił. Natomiast Baran i Jaś byli poza zasięgiem wszelkich podejrzeń.

We środę wieczorem, Ażur schludnie i skromnie ubrany, w okularach, szedł wolno ulicą Piotropawłowską z laską w dłoni, którą się posługiwał w marszu. Zatrzymał się koło kina „Lux”. Ze znudzoną miną obejrzał fotosy i skierował się dalej. Stał przy wystawie sklepu zabawek. Wyglądała inaczej niż poprzednio. Nie była przeładowana towarami, a jednak dawała orientację co do zakresu handlu sklepu i wzbudzała zainteresowanie.

Ażur z cicha pogwizdywał walczyka. Wstąpił do sklepu. Zapolska siedziała przy ladzie. Przy wejściu Ażura porwała się z miejsca.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł! — powiedziała z wyraźną radością.

Ażur pytająco uniósł brwi w górę i oczami się uśmiechnął.

— Jest coś ważnego w sklepie?

— Nie... Tylko ja...

Dostała wypieków.

Ażur patrzył jej w oczy... Potem wzrok ten zaczął prześlizgiwać się po jej twarzy i widocznej za ladą postaci. Zatrzymał się przez chwilę na ma-

łej, wąskiej dłoni. Potem Ażur powoli zawrócił i bez pożegnania wyszedł ze sklepu.

„Wie wszystko”!

Dziewczyna po jego wyjściu usiadła i milczała. Po policzkach jej spływały łzy.

Ażur przyszedł do sklepu ponownie dopiero w poniedziałek. Odczekał póki wyszło kilku interesantów, a potem rzekł:

— Będziemy likwidować budę.

Zapolska ze zdumieniem spojrzała mu w oczy.

— Nie szkoda panu?

— Założymy inną... na Zacharzewskiej... Już znalazłem dobry lokal... Zapiszemy wszystko na panią... Będzie pani wyłączną właścicielką...

— Rozumiem — powiedziała Zapolska.

Ażurowi chodziło o pewne i dobre ulokowanie pieniędzy. Sam był stale narażony i żył przeważnie w podróżach. Zależało mu na tym, aby oddać wszystko wiernemu człowiekowi i stworzyć sobie dobry punkt oparcia na przyszłość. W Zapolskiej zobaczył to, o czym często w swym nędznym, tułaczym życiu marzył: dobrą i pewną kobietę, na którą zawsze i we wszystkim mógł liczyć.

W dwa tygodnie potem przy ulicy Zacharzewskiej powstał sklep materiałów piśmiennych. Zabawki zlikwidowano. Prawną właścicielką sklepu była Zapolska. Wzięła do pomocy ekspedientkę, niewykwalifikowaną dziewczynę, którą prędko wdrożyła do pracy. Teraz mogła w dzień opuszczać sklep, aby załatwiać sprawy w mieście. Przy sklepie — od tyłu — było dwupokojowe mieszkanie z kuchnią.

Ażur mieszkał nadal w hotelu. W tydzień po otworzeniu przez Zapolską nowego sklepu przyszedł do niej wieczorem do mieszkania. Poprosił

by zrobiła herbatę. A przed odejściem wręczył jej metalowe pudełko:

— Tu jest 5.000 rubli w złotych monetach carskich. Niech pani to dobrze ukryje. Najlepiej w korytarzyku piwnicy. Tuż przy drzwiach.

Narysował jej na skrawku papieru miejsce. Zapolska wnet się zorientowała gdzie to jest.

— Dobrze — odparła. — A pan co zamierza?

— Jutro jadę na tydzień do Smoleńska.

— To niebezpieczne — powiedziała Zapolska.

— Tam granica... Bolszewicy...

Ażur uśmiechnął się.

— Poradzę sobie... Muszę ratować kolegę... Wierny druh...

Ażurowi było przyjemnie w towarzystwie tej inteligentnej, dobrej dziewczyny, która w lot go rozumiała, a której tak ufał, że nie tylko pieniądze, lecz i życie by bez wahania oddał w depozyt. Mieszkanko było schludne, przytulne i tak dobrze się tu czuł.

Pożegnał ją dość późno. Wiedział, że mógłby zostać z nią. Nawet razem spać — jak z kochanką. Lecz zbyt szanował ją i siebie, aby traktować to szablonowo. To co się kupuje sercem, szczególnie drogo się szacuje.

Baran — jakby się zmówili — za swoje pieniądze też kupił złoto. Nie wierzył w autorytet banków, ani rządów, biorących na siebie odpowiedzialność i gwarantujących wypłacalność. Lecz pieniądze Paulince nie dał.

Gdy nadszedł wieczór, zbliżył się do budy Milego i odciągnął ją wraz z psem na bok. Posługując się nożem wykopał w ziemi dołek i wsadził do niego aluminiową niemiecką manierkę, mocno zakorkowaną, w której były złote monety. Udeptał

ziemię. Zamiótł teren i postawił budę na miejsce. Pogłaskał psa.

— Pilnuj Miły... Tobie tylko wierzę...

Paulince Baran dał ładny złoty zegarek z bransoletą. Zachwycona dziękowała mu gorąco. A jednocześnie wypytywała:

— To z roboty, Oleciu?

— Nie. Kupiłem.

Więcej jej nie powiedział. A pieniądze dawał nie żałując. Tylko nie od razu.

Jedynie Jaś nie umiał sobie poradzić z pieniędzmi. Chował je po różnych kątach: na strychu, w składzikach. To liczył to zbierał razem, to dzielił na części i ukrywał w różnych miejscach. Nie wiedział co z tym począć. Nakupił dla siostry, matki i Marusi różnych drogich rzeczy, lecz dać większej sumy nikomu nie mógł, aby nie wywołać zdumienia.

Wreszcie przyszedł mu na myśl wuj Żardoń. Poszedł do niego. Wuj mył w balii butelki. Zamierzał je sprzedać.

— Widzę, że wuj na grubszy handel się puścił — kpił z niego Jaś, stosując styl Żardonia.

— Hm — mruknął wuj.

— A może wuj aptekę otwiera, albo restaurację?

— Co ci do tego?

— Nic... Chcę do wuja na wspólnika przystać.

— To zawijaj rękawy i szoruj flaszki.

— Nie lubię rąk moczyć. To babska i dziadow-ska robota.

Żardoń się zmarszczył.

— Ty co: kpić przyszedłeś?... Zaraz ciebie po chińsku pobłogosławię.

— Z wujem inaczej nie można. Ja naradzić się przyszedłem.

— No?

— Wuj mi kiedyś opowiadał o tamtym człowieku, co pod Orszą mieszka. Który sam diabłem nie jest, ale z diabłem ma do czynienia.

— Co ty mi pleciesz?

— Niech wuj nie przerywa. I niby tamten figus od diabła może mieć pieniądze, ile chcesz?

— No?

— Otóż ja sam z diabłem się zapoznałem i dał mi dużo pieniędzy.

— Kpisz, smarkaczu!

— O, proszę!

Jaś zaczął wyjmować z kieszeni grube pliki banknotów. Wuj przestał myć flaszki i uważnie się przyjrzał krewniakowi.

— I co ty chcesz?

— Chcą, żeby wuj założył jakiś interes, aby pieniądze się nie zmarnowały. Muszę mamę i Helę zabezpieczyć. Niech wuj pokombinuje. Ja na interesach nie bardzo się znam.

Zaczęła się poważna rozmowa.

Po tygodniu czasu na Złotej Górze, przy Kamiennym zaułku wuj kupił na nazwisko matki Jasia mały domek z ogródkiem. A na placu przy Końskim Rynku powstała nowa restauracja. Tam władcą i dyktatorem był Żardoń. Bocian Kopylski teraz przybrał na powadze i celebrował za ładą drugorzędnej, lecz dobrze postawionej i od razu doskonale prosperującej knajpy. Dochody postanowiono dzielić po połowie. Zadowalało to i Jasia i Żardonia.

— Za rok czasu będziesz miał tę budę darmo!
— powiedział wuj do chłopca.

W taki sposób została rozproszona i rozlokowana zawartość kasy Centralnego Zarządu Aproprowizacji.

X.

JAS ROBI SIĘ WYSTAWNYM

Kamienny zaułek tym się różni od innych ulic i zaułków Mińska, że na nim ani jednego kamienia nie znajdziesz. Gdy babom jesienią potrzebny był kamień, żeby ogórki lub kapustę w beczce przycisnąć, to szły go szukać gdzieś dalej; czasem nawet za miasto.

Dom, który Jaś, po radzie z wujem, kupił dla matki, był dość ładny. Składał się z 3 pokoiów i kuchni. Budynek prawie nowy. Na podwórku było kilka składzików i studnia. Domek był położony trochę dalej od ulicy. Przedzielał go od niej ogródek z kwiatami. Od tyłu był sad: kilkanaście młodych drzewek owocowych. A spomiędzy nich wylaniał się szary mur cmentarza wojskowego. Tam w księżycowe noce, nieboszczycy siadali i szeptem o czymś się naradzali. Tak mówili mieszkańcy zaułka.

Matka Jasia, na imię której syn kupił domek, zupełnie się przerodziła. Pozbyła się teraz od dawna dręczących ją kłopotów materialnych. Była panią u siebie. Jaś kupił jej krowę. Zaprowadziła kilkanaście kur. Karmiła dwoje prosiaków. Całymi dniami niezmordowanie krzątała się w domu

i obejściu, urządzając i porządkując swoje gospodarstwo. I gdyby nie troska o syna, który — jak myślała — zajęty operacjami handlowymi nie dba o swoje zdrowie, wszystko byłoby cudownie.

Natomiast siostra Jasia, Hela, była bardzo niezadowolona z zamiany mieszkania. Przyzwyczaiła się do życia w przechodnim podwórzu przy gwarnej ulicy. Była już zgrabną, ładną panienką i porywało ją życie. Złudne i nędzne jego błyski. Jaś poczuwał się do roli opiekuna nad nią. Kilkakrotnie dawał jej pieniądze na ubranie i obuwie. A kiedyś powiedział:

— Jak będziesz czegoś potrzebowała: mów mnie. Lecz pamiętaj, jeśli się spaskudzisz z jakimś chłystkiem, to i tobie, i jemu zęby powybijam.

Hela robiła mu minki. Czasem język pokazała. Ale uspokoiła brata, gdy kiedyś powiedziała:

— Nie myśl, żem taka głupia! Wiem o co chłopcom idzie! Ja sobie znajdę takiego, że mi będzie pantofle całował. Kogo wybiorę, za tego wyjdę zamąż.

Minka, „oko” i już jej nie było.

Natomiast z restauracją u wuja Żardonia było gorzej. Jaś wpakował w nią dwie trzecie pieniędzy, które otrzymał, jako dołę z wyrobionego pudła. Lecz zysków nie miał żadnych. Wuj zabrał się do powiększenia lokalu i wszystkie pieniądze w to pakował. Kiedyś chłopiec powiedział Żardoniowi:

— Wuj mnie pięknie nabrał. Mieliśmy złote góry z tego interesu mieć, a tu i na chleb nie będzie.

— Daj trochę czasu — tłumaczył wuj. Zobaczysz jaki będzie dochód. Pilno ci? Potrzebujesz pieniędzy? Powiedz. Dostaniesz ile chcesz. Interes twój, tylko ja prowadzę i życie mam z tego. Nie

połoba ci się: sprzedam. Jeszcze zysk będziesz miał.

Chłopiec machnął ręką.

— Rób, jak chcesz.

A wuj robił cudeńka. Sprowadził „maszynkę” do grania. Urządził lodownię. Kupił nowy bufet. Rozszerzał kuchnię. I rzeczywiście ruch w restauracji był coraz większy. Lecz dochody szły ciągle na udoskonalanie lokalu.

Jaś w dalszym ciągu mieszkał przy ul. Zacharzewskiej, pod 157 numerem. Robił to z wielu względów. Przede wszystkim przeczuwał, że kiedyś się „wsypię”, więc nie chciał narażać rodziny na rewizję i badanie. Poza tym mieszkając samodzielnie wymykał się spod mileżącej kontroli matki. Nie potrzebował się chwycić różnych wybiegów, aby ukryć istotny swój zawód. Następnie mieszkał obok swego mistrza i współnika — Barana.

Matka kilkakrotnie namawiała go: aby się przeniósł do ich domku, lecz Jaś stale odmawiał. Pozorował to tym, że ma interes z Żardoniem. Że prowadzi handel z technikiem i że musi mieszkać w ich pobliżu, a mieszkanie nie go nie kosztuje, bo komorne się zwraca za oddanie na warsztat szewski części mieszkania.

Spory wpływ na decyzję Jasia wywarła i ta okoliczność, że mieszkał obok Marusi Łobowej. Od tego czasu, gdy kochanka wyrzekła się, przewidując, głównej roli w ich romansie, Jaś zaczął coraz więcej ją cenić. Był dla niej dobry, uprzejmy. Umiał w czas i delikatnie dopomagać jej materialnie. Na przykład, zaproponował jej, żeby w domu robiła śniadania, obiady i kolacje. Mógł w ten sposób dawać pieniądze dumnej i lubiącej samodzielność kobiecie. Zresztą Łobowa rzeczywi-

ście stała się mu potrzebną. Przy porównaniu jej z innymi przygodnymi kochankami, zyskiwała ogromnie. Była elegancka. Dbała o siebie. Miała duży temperament i umiała opanować chłopca zmysłowo.

Pieniądze Jasiowi stopniały, chociaż się nie zmarnowały. Dnie biegły i Jaś znów żeglował w świecie blatnych... Już jako firmowy złodziej. Nie miał tylko ustalonej specjalności. Jedni uważali go za skokiera, inni za sznifera, inni za farmazona, inni za doliniarza. A on był potrosze tym wszystkim. W rzeczywistości płynął na falach życia i ciekawymi oczami oglądał wszystko dookoła. A świat i ludzie, otaczający go, byli niepospolici.

Jasia ciągnęła do życia złodziejskiego już nie konieczność zdobycia środków do utrzymania siebie i rodziny, a hazard. Baran, na przykład, na roboty teraz nie chodził. A Jaś wciąż brodził po truszczeniach i melinach i stale miał sposobności do brania udziału w różnych złodziejskich imprezach. Należał do tych, które go interesowały i pracował śmiało, pewnie, z brawurą i fantazją.

Niech te fragmenty nie będą apologią złodziejsstwa. To nie mój cel. To, że istnieją ludzie, którzy muszą kraść innym ludziom, niechłubnie świadczy o całym społeczeństwie. Lecz omawiając te kwestie czuję się w obowiązku mówić prawdę, bez względu na to komu ona zaszkodzi — przestępcom (podkreślam, że piszę i mówię tylko o przestępcach zawodowych: blatnych, i innych, bez względu na to jakich dokonają wyczynów na tym polu, uważam za frajerów), mnie czy społeczeństwu.

Zawód złodziejski jest szczególnie trudny. Od adeptów swych wymaga dużej odwagi, wyostrego zmysłu obserwacji, szybkości decyzji, wielkiej wrodzonej inteligencji, fantazji. Te kwalifi-

kacje, które w życiu normalnym robią zdolnego wodza, detektywa, administratora, wynalazcę, a nawet... pisarza (elementy fantazji, zmysł obserwacji) zaledwie wystarczają na to, aby (z woli Losu i nędzy naszej kultury) zrobić przeciętnego złodzieja zawodowego. Twierdzę, że Ludzkość ogromnie dużo straciła, spychając najzdolniejszych, najśmielszych, najciekawszych swych członków na margines życia: pod sztandar — przestępcy. Spod tego sztandaru prawie nikt nie wraca. Ci, którzy tam są, z biegiem czasu zaczynają pogardzać światem frajerów, a szpagat (inteligent) jest dla nich wstrętny, jako człowiek tchórzliwy, o słabym charakterze, o fałszywym sercu i prawie. Etyka „szpagatów” im nie imponuje, bo im sprytniej „szpagat” nią operuje, tym jest więcej szanowany przez innych „szpagatów”. Oni mają swoją etykę... żelazną, której łamać ani giąć nie można. I mają swoje słowo honoru — słowo złodzieja: niezawodne. Wykroczenia są karane surowo. Lecz są ogromnie rzadkie.

Aby się ustrzec przed nieporozumieniem podaję definicję wyrazu złodziej — tak jak ją rozumie i stosuje świat przestępców zawodowych, a nie świat szpagatów, kryminologów i w ogóle frajerów. Złodziej, czyli blatny, jest to członek zrzeszenia zawodowych przestępców, który sam siebie uważa za blatnego i którego inni blatni uważają za swojego. Złodziej, który zaprzestał swej pracy, lecz utrzymuje kontakt, a jeśli potrzeba pomaga złodziejom — jak Staś Dorożkarz — jest blatnym. Wywiadowca policji śledczej, znający się na „robocie” czasem lepiej od złodzieja, jest „pies” i... obcy... A ja — bez względu na moją przeszłość, która mogłaby zaimponować wielu fachowcom i bez względu na niezłomną moją postawę, jako

więźnia w wielu więzieniach, w ciągu 14-tu lat pobytu w nich, obecnie — jako pisarz — jestem tylko... szpagat. Może szanowany i podziwiany, lecz teraz obcy. Nie pomogą na to sympatie, ani nawet walka o ich dobro... Oni walczą o istnienie i mają rację, nie ufając nikomu — poza kołem swoich wypróbowanych kolegów.

Światem frajerów złodzieje gardzą. Przekonali się, że świat ten jest fałszywy, tchórzliwy, kłamliwy. Frajer jest uczciwy z konieczności, lecz jeśli może tę „konieczność” ominąć, robi takie draństwo, jakiego żaden złodziej się nie dopuści. Oni wyczuwają nasze słabości, podłości (nawet głęboko ukryte i nie wyładowane) i nie mają dla nas szacunku. Możliwie, że wielu czytelników będzie dotkniętych tym, co piszę. Możliwie, że niektórzy się obrażą. Lecz nie radzę nikomu żądać dowodów. Byłyby straszne. Pokazałyby jakimi brudnymi szmatami — gdy przyszła chwila próby — okazywali się ci członkowie naszego społeczeństwa, którzy byli wyniesieni ponad ogół obywateli. Natomiast z radością witałem objawy duszy i charakteru w każdym człowieku: czy był to złodziej, czy frajer. Zastrzegam się, aby tego co piszę, jako pisarz polski, nie przypisano wyłącznie społeczeństwu polskiemu. Złodzieje, o których piszę, byli spadkiem kultury całej Europy — jej wytworem. Byli wśród nich ludzie różnych narodowości. Zresztą w tym czasie, który obejmuje początek akcji tej powieści, Polska jeszcze nie odzyskała swej niepodległości. Nie istniała, jako państwo.

W życiu pospolitym Jaś był subtelny, wrażliwy, delikatny. Wywierał wrażenie, szczególnie gdy się dobrze ubrał, rozpieszczonego synka z zamożnej burżuazyjnej rodziny. Może dlatego złodzieje

dali mu przezwisko Panicz. Tam gdzie dostrzegał dobroć, solidność, życzliwość, był o wiele więcej uprzedzający i miły. Lecz gdy spotykał się z brutalnością, podłością, obłudą — zaczynał się w sobie i czekał sposobności, aby zrobić bolesny kawał.

Pracując ze złodziejami Jaś zawsze się starał wziąć na siebie tę rolę, która była trudniejsza lub ryzykowniejsza. Nigdy nie pysznił się po robocie swoim wyczynem i nie przypominał go „przy okazji”. Przy podziale łupów był bezinteresowny, lecz nie znosił żadnego bujania. Obniżałoby to jego ambicję. Jaś kradł, bawił się, żył i pił ze złodziejami, jak równy im wiekiem, doświadczeniem i kulturą mózgu i ducha. Lubiał ich, jako kolegów; pomagał, gdzie trzeba było, jak braciom.

Złodzieje wyczuwali to subtelna intuicją tropionych zwierząt i cenili. Jasia wszędzie życzliwie witano. Z nim chętnie szli na robotę. Z nim z przyjemnością się bawili. Z nim naradzali się w sprawach fachowych, w których nie miał doświadczenia, lecz które starał się zgłębić intuicją, a wykonać z fantazją i brawurą. Stawiał na pierwszym planie nie dokładne obliczenia szans i stereotypowość wykonania starego fachowca, lecz zaskoczenie.

Jaś ganiał po mieście ze swoim blatniarstwem, jak szczeniak ze szmatą w zębach po podwórku. Robił roboty, robił i psoty. Do niektórych spraw należał przez ciekawość, „dla sportu”.

Ignac Kulikowski zaproponował mu sprzedaż wody — jako spirytusu. Jaś się zgodził. W kilka dużych blaszanych baniek nalano wody. Następnie wsadzono w nie blaszane rurki, które ściśle dopasowano do otworów baniek. Rurki te wypełniono spirytusem. Bańki były dziesięciolitrowe. A spi-

rytusu w rurkach było nie więcej, jak po ćwierć litra.

Role podzielono w ten sposób, że Ignacy czekał z bańką spirytusu w bramie lub na klatce schodowej, w pobliżu Dolnego Rynku, a Jaś szukał nabywcy, tajemniczym szeptem, proponując odpowiednim, według jego mniemania, frajerom „spirytusik”.

W ciągu jednego dnia sprzedali w ten sposób 70 litrów wody surowo lecząc amatorów alkoholu.

Potem Małyszowi zrobiła kawał paserka. Nie wypłaciła w terminie pieniędzy za towar. A następnie zaczęła kręcić: za drogo, straciła na sprzedaży, itp. Małysz naradził się z Jasiem i postanowili zemścić się na chciwej babie. Wieczorem chłopaki poszły do „połociarza” (*) Syronia, który miał dużego, jak cielak, psa-dobermana. Pies stracił w czasie zawieruchy wojennej swego pana i Syroń, który lepiej rozumiał zwierzęta jak ludzi, zaopiekował się nim. Opowiedziano Syroniowi o co idzie. Złodzieje lubią urządzać kawały, psoty i figle — jak dzieci. Kolega chętnie się zgodził i cała trójka, wraz z psem, wieczorkiem udała się w kierunku mieszkania paserki. Tam Syroń zaczął pakować psa do worka. Doberman, wierzący swemu panu, dobrze odpasiony, flegmatyczny, nie protestował. Worek zawiązano. Koledzy pomogli Jasiowi włożyć go na plecy i chłopiec wstąpił do paserki.

— Dobry wieczór! — pozdrowił paserkę od progu.

— Dobry, dobry! A co za interes?

— Chcę opylić ci cielaka z blatu.

*) Złodziej koni i krów.

— A skąd ty wiesz, że ja kupuję? — paserka trochę nieufnie obejrzała Jasia.

— Wiem, bo wiem... I od Turka i od Nagaja. Nie chcesz kupować, to do widzenia... poniosę do Cypy Rudej. Dalej mieszka, ale nie pyta głupio.

Paserka wytarła ręce. Akurat robiła przepierkę. Zbliżyła się do worka i z trudnością podniosła go.

— Ile chcesz za cielaka?

— Razem z workiem 400 rubli.

Była to mniej jak połowa normalnej ceny. Paserka chętnie się zgodziła i na żądanie Jasia, który niby się śpieszył, wypłaciła pieniądze. Chłopiec pożegnał ją i wyszedł. Wówczas koledzy przylepili się do brudnych szybek okien, obserwując co będzie dalej. Paserka zadowolona z dochodowej tranzakcji zbliżyła się do worka. Rozwiązała go i zaczęła wydostawać cielaka, po prostu wytrząsać zawartość na podłogę. Doberman znudzony i trochę zmęczony niewygodną pozycją, chętnie wylazł z worka, ziewnął i przeciągnął się. Potem dość życzliwie ruszył ku oniemiałej z przerażenia kobiecie. Tamta wrzasnęła i skoczyła na łóżko, a z łóżka przez komodę polazła na piec. Za oknem rozległ się wybuch śmiechu. Paserka przestraszona i zirytowana ledwie się pozbyła dziwnego gościa, który zachowywał się w jej mieszkaniu zupełnie przyzwoicie, jedynie zjadł przygotowaną na jutrzejszy dzień kurę, która oczyszczona i pocięta, leżała na kuchennej szafce.

W kwadrans potem koledzy szli z Łogojskiego Traktu na Komarówkę. Syroń poklepywał idącego obok niego dobermana, który wciąż się obliżywał po smacznej kolacji. Małysz otrzymał od Jasia pieniądze. Chciał wziąć tylko dołę, lecz chłopcu ta drobna suma była zbędna, a Małyszowi

źle się wiodło. Jaś cieszył się udanego kawału i z kary, która spotkała nierzetelną paserkę.

W kilka dni potem Kazik Morecki opowiedział Jasiowi, że chodząc na skok, znalazł przy ul. Kreszeńskiej, w korytarzu, na parterze, składzik, którego w żaden sposób nie można otworzyć wytrychami, chociaż zamek wygląda na pospolity.

— Może jest zamknięty od wewnątrz na zasówkę lub haczyk? — powiedział Jaś.

— Ależ tam nikt nie mieszka. To na pewno. Zresztą okien nie ma.

Wieczorem poszli tam razem. Jaś spróbował pojedynczym wytrychem odemknąć zamek. Wyczuwał dłonią ząb rygla, podnosił go w górę i prowadził w lewo. Lecz w pewnym momencie rygiel się zrywał i z trzaskiem, dość mocnym w akustycznym korytarzu i klatce schodowej, opadał z powrotem. Jaś kilka razy powtarzał tę próbę i zrezygnował. Ani Jaś, ani Kazik nie znali się na ślusarce. Umieli tylko operować wszystkimi numerami wytrychów i znali zasady budowy zamków. Ten wypadek był dla nich zagadkowy.

Odeszli z niczym.

Jaś pod wieczór wstąpił do hotelu, w którym mieszkał Ażur i opowiedział mu szczegółowo o zagadkowym wypadku. Ażur się uśmiechnął. Od razu zorientował się w czym rzecz.

— Drzwi są na zatrzasku. Można otworzyć nawet szperakiem. Tylko trzeba gdy dojdzie do góry, nie przerzucać rygla którego tam nie ma, a pociągnąć drzwi do siebie.

Wieczorem Jaś poszedł sam na Kreszeńską ulicę. Wprowadził szperak do dziury od klucza i nie przytrzymując drzwi, gdy wytrych podniósł rygiel do góry, pociągnął go do siebie. Drzwi się uchyliły. Jaś przymknął je za sobą i zaświecił la-

tarkę. Zobaczył ciemny składzik, a w nim stały dwie duże skrzynie, zbite z desek. Były mocne i szczelne. Brzegi ich były obite żelaznymi listwami. Jaś spróbował ich ciężaru. Ledwie mógł sam przesunąć je z miejsca.

Tegoż wieczora Jaś opowiedział Moreckiemu o wyniku swej wycieczki. Postanowili zabrać tamte skrzynie. Bezwartościowe na pewno nie są. A mógł tam być i bardzo drogi towar. Jaś zaproponował Baranowi wzięcie udziału w robocie. Mistrz jego niezbyt chętnie się zgodził. Uważał to za niepewną („ślepą”) i zbyt drobną, jak na ilość włożonej pracy, robotę.

Nazajutrz przed fronton domu przy ul. Kreszczeńskiej zajechał Staś Dorożkarz. W powozie siedział Baran. Kazik Morecki i Jaś mieli wszystko przygotowane do załadunku. U boków ciężkich skrzyń zrobili mocne uchwyty z lin.

Wieczór był ciemny. Wspólnicy pośpiesznie wnieśli i załadowali skrzynie. Staś odjechał. Wszyscy skierowali się na melinę Kazika u Katarzyny, do dawnej kryjówki Barana. Gdy tam przyszedli Staś Dorożkarz już na nich czekał. Uszkodził nieco powóz ciężkim ładunkiem. We czwórkę wnieśli skrzynie do mieszkania i zaczęli rozpakowywać je. Oczom blatnych ukazywały się lśniące stalowe koła, tryby, dźwignie. Oglądając je przyszedli do przekonania, że to jest jakaś skomplikowana, precyzyjna maszyna. Lecz nie mogli zrozumieć do czego służy. Wszyscy byli rozgoryczeni i zniechęceni tym wynikiem. Szczególnie Kazik Morecki i Staś Dorożkarz, którym w ogóle źle się wiodło.

Po dwóch dniach w miejskiej gazecie ukazało się tłustym drukiem następujące ogłoszenie:

Za zwrot lub wskazanie miejsca, gdzie znajdują się części zaginionej w dniu 19 września

maszyny do fabrykacji tutek do papierosów, będzie wypłacona suma 200.000 ostrubli. Zgłaszać się pod adresem: ul. Kreszczeńska, dom nr. 14 m. 2, od godz. 10 do 2 pp.

Jaś naradził się z Baranem. Chciał zwrócić maszynę, i otrzymać wynagrodzenie. Opracował sposób zwrotu. — Zaniósł części na cmentarz wojсковy i ukryją je tam w ustronnym miejscu, a rano Jaś pójdzie na Kreszczeńską i powie, że przypadkiem znalazł je tam. Baran nie radził mu tego robić.

— Nigdy nie wierz frajerowi! Co pies szczeka, co frajer obieca, to na jedno wychodzi. Jak nie będzie z kwasu piwa, tak z frajera nie będzie słownego faceta.

— A ja spróbuję. Nie mi nie dowiodą. Znalazłem i już. A może wypłacą.

Baran z przekonaniem powiedział:

— Rób, jak chcesz. Tylko pamiętaj, że frajer ciebie, jeśli będzie mógł, za twoje własne pieniądze udusi, a coś dopiero za swoje!... Ja do doli z tamtych pieniędzy nie należę!

Mimo to Jaś z Kazikiem Moreckim, pod osłoną ciemnego wieczoru, poprzenosili rozebrane części maszyny na wojсковy cmentarz. Tam ukryli je w z góry upatrzonym miejscu. Robota była długa i przykra. Musieli wracać wiele razy. A następnego dnia, o godz. 10-ej, Jaś poszedł pod wskazany adres. Przedtem uporządkował wszystko w mieszkaniu, aby ewentualna rewizja nie dała żadnego wyniku. Usunął też z mieszkanka wszystkie wartościowsze rzeczy. Oddał je na przechowanie Marusi Łobowej, która była tym zdziwiona lecz nie wypytywała chłopca o nic.

Jaś zadzwonił do znanych mu już z roboty drzwi mieszkania Nr. 2. Prawie naprzeciw wiadomego

składziku. Wnet je odemknęto. Jaś odróżnił w półciemnym przedpokoju sylwetkę starszego, niskiego mężczyzny w okularach.

— Pan do kogo?

— Ja w sprawie ogłoszenia w gazecie.

— Aha!... Proszę...

Wkrótce Jaś znalazł się w pokoju częściowo przypominającym kancelarię, częściowo bibliotekę. Ściany były zastawione szafami z książkami, a na dwóch dużych stołach leżało mnóstwo papierów, formularzy, szkiców.

Jaś pokrótce opowiedział dwóm znajdującym się tam panom, że przypadkiem znalazł na cmentarzu wojskowym części nieznanej mu maszyny. Ponieważ przeczytał w gazecie ogłoszenie o zaginionej maszynie do robienia tutek, wywnioskował, że to jest właśnie tamta maszyna.

— Dobrze — rzekł drugi, młodszy mężczyzna.

— Pieniądze pan otrzyma, jeśli stwierdzimy, że to tamta właśnie maszyna, którą nam skradziono i jeśli jest w komplecie.

Po tej rozmowie, Jaś pojechał w towarzystwie jeszcze dwóch mężczyzn, ciężarowym wozem w kierunku cmentarza wojskowego. Jegomość, który otworzył mu drzwi, został w domu. Jaś wskazał na cmentarzu miejsce, gdzie poprzedniego wieczora wraz z Kazikiem złożył części maszyny. Poładowano wszystko na wóz i pojechali z powrotem.

W drodze zapewniano Jasia, że wypłacą mu zaraz pieniądze. Mówiono, że bardzo się cieszą z odzyskania tych części, bo bez nich ginęła cała maszyna, której wartość stanowi kilkadziesiąt milionów ostrubli. Dziękowano Jasiowi i wyrażano zadowolenie, że przypadek ten dał mu możliwość zarobienia 200.000 rubli. Jaś w zupełności w to uwie-

rzył i zamierzał zrzec się swej doli na korzyść Kazika.

Platforma stanęła przed domem na Kreszczeńskiej. Jaś, z towarzyszącymi mu członkami wyprawy wstąpił do mieszkania. W pokoju siedziało teraz trzech ludzi.

— Jest wszystko? — spytał pan, który odemknął Jasiowi drzwi.

— Tak.

Jaś od razu wyczuł, że wpadł w pułapkę. W obecnych tu teraz dwóch nowych mężczyznach wyczuł „hintów”. Jeden z nich zwrócił się do Jasia per „ty”:

— Pokaż dokumenty.

Jaś podał mu dowód osobisty.

— Dawaj cały portfel!

Drugi mężczyzna tymczasem zrewidował dokładnie Jasia. „Miał rację Baran” — pomyślał Jaś.

Strachu nie czuł, tylko złość go nurtowała, że tak głupio wpadł. Starał się przewidzieć pytania, które mu będą zadawać. Lecz zbadano go niedbale. Protokołu nie robiono. Miał być początkowo przesłuchany w komisariacie, w którego rejonie mieszkał.

Jasiowi odebrano dokumenty, pieniądze, zegarek i scyzoryk. Następnie w towarzystwie dwóch wywiadowców przewieziono go dorożką do 4-go komisariatu, przy ul. Dołgobrodzkiej. Jaś znał dorożkarza który utrzymywał stosunki z blatnymi. Dorożkarz też go poznał. Jaś zrobił mu oko i ruch głową: uprzedź, chłopaków!

W godzinę potem Baran już wiedział, że Panicza „związano” i że jest w pierwszym komisariacie. A pod wieczór Jasiowi do celi, w której go osadzono w komisariacie, podano paczkę z jedze-

niem. Przysłała mu ją Marusia Łobowa, której Baran powiedział, że chłopca aresztowano. Wiedział, że była kochanką Jasia i obawiał się, że mogła mieć u siebie w mieszkaniu trefne rzeczy.

Marusię aresztowanie Jasia nie przstraszyło wcale. Przejrzała tylko zdeponowane u niej jego rzeczy. Rozlokowała wszystko osobno: w szafie, komodzie i zaczęła szykować dla Jasia jedzenie.

Nazajutrz przybiegł do niej strwożony ze strachu o swój interes i zdyszany Żardoń. Wsuwał jej do rąk pieniądze i mówił:

— Ty się nim zajmij... Ja nie mogę... Pieniądze są, ile chcesz... Weź adwokata, czy jak tam...

— Nie nie trzeba. Sama załatwię wszystko — odrzekła mu Marusia.

I rzeczywiście załatwiła wszystko, co było można. Dostała się nawet do kierownika komisariatu, który pozwolił jej na widzenie się z Jasiem. Odbędzie się to w kancelarii, w obecności dwóch pracujących przy biurkach urzędników i jednego policjanta.

Marusia gorąco uściskała Jasia. Chłopiec opowiedział jej zmyśloną historię: jak znalazł na cmentarzu części maszyny i jak z tego względu aresztowano go. Marusia powiedziała, że na pewno będzie wkrótce zwolniony. Że zrobi wszystko co chce, aby mu dopomóc.

Jednak w ciągu następnych dni Jaś się zorientował, że tak szybko zwolniony nie będzie. Co prawda rewizja, przeprowadzona niedbale, wyników nie dała, lecz Ekspozytura Śledcza przysłała pismo, że sprawa jest poważna i że po ukończeniu badania w komisariacie, Jasia trzeba posłać do dalszych badań na Sierpuchowską. Jaś wyczuł, że może na długo ugrząść za kratami. Że sprawę mogą przekazać do sądu, który z powodu bałaganu

może nastąpić bardzo nieprędko. O tym dobrze wiedział.

„To tamci cywile i „hinty” przyczynili się do zaostrzenia sprawy” — wywnioskował Jaś.

Rzeczywiście agentom Urzędu Śledczego zawsze zależy nie na wyświetleńiu sprawy, a na ujęciu sprawcy. To stanowi wynik ilościowy. Więc wszelkie poszlaki zwykle obracają w dowody, z podejrzanego robią winowajcę. To jest ogromnie łatwe, jeśli nawet się ma do czynienia z człowiekiem zupełnie niewinnym. Kto z nas może dać zadawalające alibi na każdą godzinę, każdego dnia? Kto bez sprzeczności złoży dłuższe zeznanie w jakiejś sprawie. Wszystko zależy od tendencji i dobrej lub złej woli protokółanta. W tym wypadku ujęcie sprawcy kradzieży było potrzebne, więc los Jasia był przesądzony, mimo to, że istotnych dowodów przeciwko niemu nie było. Jaś wiedział, że w Ekspozyturze Śledczej mogli zmusić go do przyznania się do winy zastraszaniem, obietnicami, a nawet biciem. Żałował teraz że tak głupio wlaźł sam do aresztu. Był tu tylko kilka dni, a już tęsknił za wolnością. Już nieznośne mu były i ta cuchnąca cela i twarde prycze, i roje robactwa. A najgorsze było to, że nie mógł, kiedy chciał, opuścić tej zamkniętej przestrzeni. Że tylko cudza wola mogła uchylić zamykające go drzwi.

Jaś nie spał. Siedział na parapecie i patrzył w czarną głąb nocy za kratą, ponad koszem. Dokuczyły mu pluskwy. Przerwały trwożny, lekki sen.

Za nim spało na brudnej pryczy trzech więźniów. Chłop z synem, aresztowani za brak dokumentów, którzy twierdzili, że w ogóle dokumentów nie mają, tylko metryki, które — żeby nie zgubić — trzymają w domu i zatrzymany do wytrzeźwie-

nia pijany kowal z przedmieścia.

Cela była dla aresztowanych za drobne wykroczenie. Poważniejszych przestępców, albo od razu odsyłano do centralniaka, albo pilnowano ze szczególną uwagą. Palono światło całą noc. Wyznaczano specjalnego posterunkowego u drzwi, i polecano dozór dyżurnemu. Jaś od czasu do czasu słyszał z dala jego kroki. Wówczas kładł się na pryczy i udawał śpiącego Trzask wyłącznika i światło zalewało na kilka sekund celę.

Siedząc na parapecie, Jaś zaczął obmacywać krawędź muru u dołu kraty. Dostrzegł tam za dnia wyłom w jednej z cegieł. Rama była wpuszczona w mur na ośmiu „wasach”, zamocowanych cementem między cegłami. U dołu nie dochodziła na siedem palców do krawędzi muru. Jaś z radością dostrzegł, że jedna z cegieł się porusza. W kilka minut potem wyjął ją z muru i rzucił w dół. Jednak wyłom był za mały na przesunięcie nawet głowy. Rozszerzyć wyłomu gołymi rękami chłopiec nie mógł.

Po pewnym czasie posłyszał na korytarzu kroki, położył się i udał śpiącego. Światło na kilka sekund zalało celę i znów zgasło. Jaś bosy chodził po celi. Zaczął odkręcać drzwiczki u pieca. Udało mu się wyjąć z nich zakrętkę i rygiel. Były masywne i dość mocne.

Jaś wrócił na parapet i zaciekle pracował nad rozszerzaniem wyłomu w murze. Skruszałe stare cegły powoli ustępowały. Wapno między nimi osypywało się łatwo. Po kilku godzinach pracy Jaś zmęczony, spocony, lecz zaciekle w swej pracy, dokonał wyłomu, przez który przechodziła mu głowa. Wiedział z opowiadań kolegów, że przez otwór, w który wchodzi głowa i jedna ręka, cały człowiek przejdzie.

Na nowo zmontował drzwiczki u pieca, oczyścił wyrwę w murze pod kratą z drobnych odłamków cegły i wapna, położył się i czekał — aby przyszedł dyżurny. Zjawił się nie prędko. Spełniał tę czynność rzadko, niechętnie, pewny, że nikt nie ucieknie, bo nie było jeszcze takiego wypadku.

Wreszcie posłyszał człapanie kroków w korytarzu i trzask wyłącznika. Teraz światło nie zgasło tak szybko jak poprzednio. Jasiowi, który leżał ze zmrużonymi oczami, serce w piersi zaczęło szybciej tłuc. „Może coś zauważył?”.

Światło zgasło. Kroki powoli się oddaliły.

Jaś zdjął marynarkę, położył ją z boku na parapecie i, wciskając głowę i prawe ramię w wyłom w murze, zaczął wylazić z celi na zewnątrz. Dziura była za mała. Krawędzie cegieł, ostre w miejscach wyłomu, dały mu skórę. Koszulę podarł w strzępy, lecz zdołał przecisnąć górną część tułowia i wyciągnąć lewą rękę. Żałował, że nie zrobił większego wyłomu. Mógł przecież popracować jeszcze nad tym.

Pozycja jego była ogromnie niewygodna. Ugrzązł, wisząc głową w dół i nie mógł przecisnąć bioder. Spróbował się cofnąć, ale było to już niemożliwe. Żałował, że nie zdjął spodni, to by zmniejszyło nieco obwód bioder. Starał się nie tracić spokoju. Zaczął powoli ruchem bioder przesuwac się dalej przez wyłom. Poczuł, że wymknie się z uwięzi, jeśli zdejmie spodnie. Z trudnością porozpinał je i nadal ruchem tułowia wyzwał biodra... Kłęby przeszły... I wnet potem osunął się w dół, opadając na ręce.

Podniósł się z ziemi. Zapiał spodnie. Wziął z parapetu marynarkę i wkładając ją, oddalał się cicho od aresztu w głąb podwórka.

Był wolny.

II.

ZŁODZIEJSKI LOS

Antek Turek i Syroń — dwaj hołociarze — wybrali się o kilkadziesiąt kilometrów od miasta po jusa *). Nadał go złodziejom sąsiad zamożnego chłopa, który chciał się na nim w ten sposób zemścić. Koledzy zamierzali zbliżyć się wieczorem do futoru nadawcy i według jego wskazówek, na miejscu zlikwidować jusa.

Ponieważ szli ze „statkami”, a byli znanymi złodziejami, więc — aby się nie napatoczyć gdzieś na hinta, wyszli z miasta przed świtem. Droga prowadziła przez duży i piękny Archirejski las.

Dla człowieka, którego wchłonęło miasto, który nie widzi nigdy, ani wschodu słońca, ani zmierzchu gwiazd, Natura nie istnieje. Złodzieje byli niezależni i dziecinni. „Wolny” zawód ich, nie obciążał umysłu stałą drżączką o łapanie okazji do zrobienia interesu. Żyli, jak we śnie i naiwnymi, dziecinnymi oczami patrzyli na wszystko dookoła. Tylko wstydzili się wypowiadać głośno swe nastroje i myśli.

*) Wieprz: kwik.

Gdy przemierzali dużą polanę, z lewa, między rzadkimi konarami drzew zaczęły się snuć różowe pasma. Przetkały siwą mgłę i pobiegły po konarach, ślizgając się coraz wyżej. Wnet wierchołki sosen rozelśniły się różowo, a potem zapłonęły czerwienią.

Turek i Syroń, jakby się zmówili — usiedli na pniu olbrzymiej zmurszałej sosny, którą burza zwała dla spoczynku, po 200-tu latach życia i cichej walki. Złodzieje zaczęli kręcić papierosy.

— Patrz: jak krew! — powiedział prawie szeptem Syroń.

Tam gdzie patrzyli kładła się już malinowa szarfa, a tuman przylgnął do trawy.

Poszli dalej. W południe wykapali się w strumieniu i zagłębili się w las, zbierając orzechy. Naładowali pełne kieszenie i znów wydostali się na ładną, leśną drogę.

Było umówione, że przyjdą do nadawcy o zmierzchu, aby nikt z sąsiedztwa nie zauważył ich przyjscia do chłopca.

Prowadził Syroń. On właśnie porozumiał się z nadawcą — swym dawnym klientem, który od niego kupił kradzionego konia i krowę. Chłopu nadarzała się okazja teraz zemścić się na wrogu z sąsiedztwa i otrzymania z roboty części mięsa wieprzowego.

Pod wieczór Syroń stracił właściwą drogę. Zaczął jej szukać, lecz nie mówił nic koledze. Wreszcie zupełnie się zagubił w sieci leśnych dróg i ścieżek. Wówczas powiedział do kolegi:

— Nie wiem gdzie jesteśmy.

— To chodź byle gdzie. Tam zapytamy.

I poszli przed siebie, po nieco większej drodze.

Zmierzch otulił już ziemię. Wieczór zapadł zupełnie ciemny, gdy koledzy zbliżyli się do skraju

jakiejs wsi.

— Ty tu zaczekaj, a ja się dowiem co to za miejscowość.

Syroń zostawił towarzysza przy ogrodzeniu jakiejś chałupy, a sam wszedł na dziedziniec. W oknach izby mżyło światło, lecz nie można było dostrzec nic wewnątrz, bo osłaniały je płócienne firanki. Złodziej wszedł do sieni i namacał klamkę u drzwi. Otworzył je i znalazł się wewnątrz. Zobaczył kilku chłopów siedzących u stołu i na ławach. Kobieta krzątała się u zapalonego pieca i piekła na olbrzymiej patelni bliny. Na stole stała zaczęta flaszka wódki. Inne — wypite już — odstawiono na parapet okna. Obdywała się pospolita chłopska libacja.

Syroń grzecznie pozdrowił towarzystwo i zapytał o drogę. Chodziło mu o ustalenie gdzie się znajduje.

— A ty do kogo idziesz? — spytał pewien chłop.

Syroń wymienił nazwę futoru, który był położony o kilometr drogi od celu jego podróży. Wówczas zza stołu podniósł się wysoki, barczysty, nieco pochylony naprzód mężczyzna.

— To mój futor... A czego chcesz tam?

Syroń nie wiedział co odrzec, lecz nadrabiając miną i głosem powiedział:

— Słyszałem w Mińsku, że w tamtej okolicy sprzedają wełnę... Chciałem kupić!...

Wówczas jeden z obecnych ludzi — mały szczupły, o latających, niespokojnych oczach i stałym „uśmiechu-grymasie” twarzy, podszedł do Syronia. Tehnęło od niego alkoholem.

— Ludzie... Toż to złodziej!... rzekł nie wiadomo dlaczego, pijany chłop. — Któż inny po nocy tu pójdzie.

— Co ty gadasz... — zaprotestował Syroń, ale nie skończył.

Zadany z tyłu cios w głowę obalił go na podłogę. W uszach mu szumiało. W ustach poczuł smak krwi. Gdy trochę oprzytomniał zobaczył w koło siebie kilkunastu ludzi. Świdrowały go nieufne spojrzenia. Powietrze było nasycone odorem alkoholu. Złe, pijane twarze zbliżały się ku Syrońowi.

— Kto mi płótno ukradł z komory?... Gadaj?... — jakiś chłop dusił złodzieja kościstą dlonią za gardło.

Syroń nie mógł słowa wykształcić. Protestował ruchami rąk. Próbował zacząć mówić. Lecz było to niemożliwe. Nie dawano mu mówić. Nie słuchano go. Ludzi ogarnęła chęć znęcania się... Przecież można było to zrobić bezkarnie, bo to... złodziej.

Syroń poczuł ciężkie razy nóg i pięści. Bito zapamiętale, wściekle... Wówczas złodziej zaczął krzyczeć... Poczuł, że to koniec, że ratunku nie ma. Ogarnął go strach przed głupią śmiercią... Bez winy w tym wypadku.

Antek Turek zaniepokoił się, że kolega tak długo nie wraca. Przelazł niewysokie ogrodzenie od ulicy i zbliżył się do małego okienka. Tu firanki nie było. Pomiedzy doniczkami jakichś wyschniętych kwiatów, mógł dostrzec wewnątrz izby słabo oświetlone nędzną lampą naftową i błyskami ognia z pieca. Poruszały się tam — jakby pływały w wodzie — ciężkie, czarne postacie. Trudno było od razu się zorientować w sytuacji. Zrozumiał ją dopiero wówczas, gdy się rozległ krzyk i jęki Syronia. Turek zadygotał z przerażenia. W głowie wirowały mu bezładne myśli:

„Przecież nie miał ze sobą statków... Co się stało?”.

Ręce mu się zaciskały w pięści. „Żeby miał spluwę!”. Lecz pistoletu nie było. Widział w izbie około dziesięciu ludzi. A na podwórzu rozlegały się kroki i do izby wchodzili nowi. Nie przeszkadzali pijanym chłopom bić Syronia. Sami do nich dołączali się. Wystarczał wyraz: „Złodziej”, Oznaczało to możliwość bezkarnego i nieusprawiedliwionego zabicia człowieka. I bili.

Syroń już nie krzyczał, tylko rzeził. Twarz miał czarną od krwi. Jedno oko wypłynęło. Otwierały się zmasakrowane wargi i usta z wybitymi zębami. Chłopi prawie nie mówili. Ciężko dyszeli i bili czym i jak kto mógł. Aby tylko mocniej ktoś powiedział:

— Deskę mu na plecy i siekierą. Znaku nie będzie!

Było to głupie, bo Syroń był zmasakrowany i połamany od stóp do głowy. Teraz tylko rzeził nieprzytomny.

Przyniesiono deskę. Przewrócono miękkie ciało Syronia twarzą w dół. Siekiera zaczęła śmigać w powietrzu i z trzaskiem opadać na deskę, z której drzazgi leciały. Wyrywano ją sobie z rąk. Każdy chciał choć raz uderzyć. Syroń nie ruszał się. Skonał.

Wtem pękła rama i do izby wleciał duży kamień. Potem drugi, trzeci, czwarty. Turek się wściekł. Po twarzy mu leciały łzy. Chwycił duży szaber i szybkimi, cichymi susami rzucił się ku wejściu do sieni. Tam zaświecił trzymaną w lewej ręce latarkę. Wiedział, że chłopi zaczną uciekać z ciemnej izby, bo jeden z kamieni zmiotł ze stołu lampę. I się nie omylił. Ludzi wewnątrz, po chwilowym osłupieniu, ogarnęła panika. Rzucili się ku

drzwiom. Wszyscy hurmem. Turek zdzielił pierwszego, który wypadł do sieni, szabrem w głowę. Chłop osunął się na podłogę. Uderzył drugiego. Był niewidzialny za snopem promieni elektrycznej latarki.

— Ludzie, ratujcie!

Rozległ się krzyk wewnątrz izby. Wszyscy rzucili się ode drzwi w tył. Przewracali się na trupie Syronia. Zaczęli łamać okna i wylażać nimi.

Antek Turek, zgorączkowany, drżący z wściekłości i przerażenia, z szabrem w ręce szedł dziedzińcem pod osłoną nocy.

W mroku przedostał się za wieś. Z dala dochodziły go krzyki i nawoływania. W całej wsi ujadały psy. Parę razy rozległy się strzały.

Turek szedł polami, lasami w tym kierunku, w którym zdawało mu się, że był Mińsk. Dopiero w południe, po długim błądzeniu, dostał się do miasta. Poszedł do kolegów blatnych i opowiedział im wszystko. Dano mu wódki i ułożono spać.

Syroń był „wojennym” złodziejem. Przed wojną pracował jako droźnik kolejowy. W 1915 roku został ranny na froncie. Po wyleczeniu uznano go za niezdolnego do służby wojskowej. Wrócił do Mińska, gdzie miał żonę i troje dzieci. Zaczął chodzić po wsiach i skupywać masło, jaja, sery, kury. Z tego ledwie mógł przeżyć z rodziną.

Pewien chłop zaproponował mu kradzież krowy sąsiada i odprowadzenie jej jego krewnym po drugiej strony miasta. Syroń, korzystając z jego informacji i pomocy, zrobił to. Nadarzyło się jeszcze kilka takich wypadków i Syroń stał się „hołociarzem”. Teraz zginął z rąk tych, którzy sami chętnie kupują kradzione bydło i rzeczy „aby taniej” i chętnie „nadają” złodziejom sąsiadów — szczególnie jeśli mają z tego zysk.

Złodzieje byli wzruszeni śmiercią Syronia. Bezsztano Turka, że poszli bez broni. „Do gada bez spluwy nawet po kury nie idź!

Żonie Syronia kazano zameldować policji, że jej męża, który był przekupniem i chodził po wioskach, zabito. Ustalono nazwę wsi. Kobieta, straszliwie rozpaczająca, zrobiła to. Policji udało się ustalić, że rzeczywiście tamtego wieczora we wsi zabito złodzieja — jak twierdzili chłopci — złapanego na gorącym uczynku. Lecz dowodów na to nie było.

Ani narzędzi złodziejskich, ani śladów kradzieży. Trupa Syronia odnaleziono w dużej kupie nawozu na polu. Zwłoki były obrabowane z ubrania i butów. Nie znaleziono, ani jego dokumentów, ani zegarka. Policja zrobiła protokół, który powędrował drogą służbową. Zwłoki męża zabrała żona i pochowano go na cmentarzu Złotogórskim.

Złodzieje solidnie zaopiekowali się rodziną Syronia. Dopomogli jej otworzyć sklepik przy Białocerkiewnej ulicy. Interesowano się jej losem i długo potem.

Antek Turek poprzysiągł chłopakom zemstę:

— Ja im wieś na czerwono pomaluję! Zobaczycie! Nie daruję!

I rzeczywiście w miesiąc potem, pewnej ciemnej jesiennej nocy, spłonęła prawie cała wieś. Powtarzało się to potem prawie każdego roku.

Jesienią tego roku dla złodziei Mińska Litewskiego zaczęła się zła passa. Wpadali na robotach, wpadali bez roboty, wpadali po robotach. Niektórzy — starzy wilej odbili się od miasta. Inni zmieniali meliny. Urządzali się u frajerów. W ogóle pracowano ostrożnie i wyczekiwano.

Fiedzia Huzar — stopkarz, który zorganizował

grandę na właściciela fabryki przetworów mlecznych — chorował. Bolała go dotkliwie noga, przestrzelona kulą karabinową w czasie ucieczki w Smoleńsku. Chodził, posługując się laską, a poważnie siedział na melinie u frajerów. Urządził go tam Ignacy Kuligowski. Fiedzię poszukiwała policja śledcza kilku miast. Wiedział o tym i starał się za dnia nie ukazywać na mieście.

Melinę miał na Dolnej Łachówce. Mieszkał w rodzinie kolejarza, który prawie zawsze był w rozjazdach. Mieszkaniem rządziła jego żona, niemłoda, chytra babina. Miała trzy córki. Starsza pracowała, jako ekspedientka w sklepie galanteryjnym. Dwie młodsze — po dwudziestce już — nudziły się w domu. Huzar zaczął zalecać się do młodszej, Ziny, która mu się podobała. Dziewczyna kokietowała go, flirtowała, lecz na tym się kończyło. Uważała go za możliwego kandydata na męża, więc będąc w ogóle łatwą do zdobycia, z Fiedzią trzymała się na dystans, hamując sprytnie jego zapędy.

Huzarowi to nie wystarczało. Miał bujny temperament, więc wyszukał sobie dziewczynkę, która przechodziła blatnym z rąk do rąk, w miarę ich krótkiej, lecz błyskotliwej kariery. Nazywała się Lisia — od Elżbiety — a raczej, ze względu na sposób zachowania się: miękki, cichy, wślizgujący się, ciekawy. Lisia zaczęła coraz częściej odwiedzać Fiedzię; wreszcie zamieszkała z nim.

Zinę wściekłość ogarniała, szczególnie gdy spostrzegła, że Huzar kupuje swej bohdance różne szatki i gratki. Poskarżyła się Mamusi na przewrotnego kawalera, który jej głowę zawracał, a teraz żyje z inną. Mamusia praktycznie zaczęła ją badać:

— Miałaś przecież z nim randki?

— No miałam.

— I nic?

— Co nic?

— Nie dałaś mu?

— Nie.

— Głupia! — zawyrokowała mamusia. —
Dlatego sobie inną znalazł.

— Myślałam, że się ożeni ze mną.

— Te - eż... Ani mi wygląda na takiego. A widać, że forsa jest. Trzeba było od razu z nim zacząć, a potem pompować.

Lisia parę razy w tygodniu nie przychodziła do Fiedzi. Mówiła, że musi coś robić w domu. W rzeczywistości ozdabiała życie innym, mniej rentownym kochankom. Przeważnie też rycerzom spod znaku wytrycha. Bo w ogóle była znana w świecie przestępczym, jako doraźna kochanka — zawsze interesowna, w odróżnieniu od normalnych złodziejskich kochanek, bo tamte zawsze żyły ze swoimi chłopakami, jak żony i dbały o nich bardzo. Jeśli prostytutka stawiała się kochanką złodzieja, to porzucała chodzenie „na pikietę”. A jeśli złodziej wpadał, to pomagała mu w więzieniu materialnie, brała obrońcę, przekupywała kogo trzeba, czasem wydobywała na wolność. Po wszystkim kochanka, prostytutka zwykle znów wracała do swego zawodu, aby mieć środki dla pomocy kochankowi. Lecz nigdy nie puszczała się ze złodziejem i nie brała innego kochanka złodzieja. Znam wypadki bardzo wiernej i długiej opieki takiej dziewczyny nad kochankiem. Na przykład, w więzieniu na Świętym Krzyżu siedział więzień, którym kochanka opiekowała się przeszło 10 lat. Zarabiała pieniądze pracą w fabryce. Lisia należała do innego gatunku kobiet. W świat przestępców trafiła przez przypadek. Traktowała ich jako

źródło dochodu i eksploatowała sprytnie i bez skrupułów.

To, że Lisia nie stale mieszkała u Fiedzi, postanowiła wykorzystać, rozżalona na płochego lokatora, Zina. Rada mamusi nie przebrzmiała bez śladu. A zazdrość i chciwość uzupełniły ją. Pewnego wieczoru Huzar siedział u okna do sadu, za którym stały mokre klony i lipy i o czymś myślał. Nie wesołe to były dumki. Pieniędzy miał jeszcze sporo, ale przyszłość wyglądała ponuro. Kochankę też miał niemiłą, która tylko go nabierała. Chciał ruszać dalej w świat. Trawił go niepokój. A tymczasem źle zaleczona noga nie pozwalała mu się zdecydować na nic.

Za oknem mżył deszcz. Z tyłu skrzypnęły drzwi. Huzar obejrzał się. Do pokoju weszła Zina. Była w szlafrocuku i pantoflach na bosych nogach.

— Czy można? — spytała kokieteryjnie się uśmiechając.

— Proszę bardzo — rzekł Huzar, naprawdę zadowolony jej przyjściem.

Zina zbliżyła się do niego i nagle zwinnym ruchem siadła mu na kolanach. Huzar poczuł, że pachnie jakimiś perfumami i że pod szlafrocukiem nic nie ma. Zaczął ją całować coraz goręcej. Wówczas Zina spytała:

— Słuchaj! Jak ty możesz zadawać się z taką wstrętną lafiryndą. Po niej ja tobą się brzydzę, a przecież podobałeś mi się bardzo. Jak mogłeś mnie zamienić na tamtą wstrętną ścierkę. Zobacz jaka jestem.

Zina porwała się mu z kolan i odrzuciła na bok szlafrok. Rzeczywiście była bardzo ponętna, szczególnie na prymitywny gust męski. Więc nic dziwnego, że dalszy ciąg tych odwiedzin ułożył się tak, jak oboje tego pragnęli.

Gdy Lisia nazajutrz, po nocy spędzonej z innym kochankiem, wróciła do Fiedzi, wnet dostrzegła zmianę w jego stosunku do siebie. Przywitana była zimno, niechętnie. Udała, że nie dostrzega tego i jak zwykle paplała i przymilała się do Huzara, który to zaledwie tolerował.

Po pewnej chwili drzwi do pokoju Huzara się otworzyły i bez pukania weszła Zina.

— Chodź na śniadanie — zwróciła się do Fiedzi i wydymając pogardliwie wargi obejrzała krytycznie Lisie.

Zina wyszła z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

— Co to za szyksa? — spytała nieco skonsternowana Lisia.

Huzar nie wiedział co począć.

— To... to... moja narzeczona...

— Narzeczona?! A czemuś mi wcześniej o tym nie powiedział?

— Wczoraj dopiero się zaręczyłem.

— Ach, ta-ak!... Bardzo ładnie. A mnie do łufu! Póki trzeba: cacy, cacy. A teraz: poszła wont!

— Wcale ciebie nie gonię.

— Sama pójde!

Lisia przypuszczała, że Huzar będzie ją zatrzymywał, więc porwała się z miejsca. Lecz Fiedzia tylko ucieszył się takim rozwiązaniem sprawy. Wyjął z kieszeni kilka banknotów i dał je dziewczynie. Tamta cisnęła je na podłogę. Potem podniosła. Splunęła i wyszła, rzucając na pożegnanie:

— Zdechnijcie tu oboje! Swołocze!

Fiedzia miał chętkę od początku tej rozmowy pouczyć ją rozumu, ale ze względu na swoje położenie „wystawnego”, pohamował się do końca.

Lisia szła ulicami wściekła, wypełniona żalem

po brzegi. Naprawdę czuła się oszukana przez kochanka dziewczyną. Trawił ją żal za straconym dobrym źródłem eksploatacji. Żałowała, że dotąd tak umiarkowanie naciągała Huzara.

„Teraz tamta będzie go doila”.

Lisia wyszła od poprzedniego kochanka na czczo, licząc, że zje śniadanie u Huzara. Z tym jej poszło fatalnie. Ogarniała ją wściekłość. Wyobrażała sobie, jak Fiedzia teraz z tamtą „dryzdą” zajada smakołyki i jak wykpiwają ją — biedną Lisie, która głodna chodzi ulicami. Program dnia był rozbity. Nie wiedziała co począć. W ogóle niespodzianie wytworzyła się w jej życiu luka, której nie można prędko zappełnić. W głowie Lisi zaczęły się roić plany zemsty. „Zabiję podleca! I ją też!... Ją pierwszą!”

Lecz zamiast chwycić się broni, chwyciła się innego sposobu zemsty, który zwykle stosują histeryczki i ludzie słabi duchowo. Skierowała się na Sierpuchowską do Urzędu Śledczego.

Lisia opamiętała się dopiero wówczas, gdy wyśpiewała wszystko. Wyobrażała sobie, że wsypie Huzara i w ten sposób zemści się na Zince. „Ni mnie, ni tobie”! Poza tym ukarze dotkliwie, ale słusznie, przewrotnego kochanka. Tymczasem w Ekspozyturze, po zorientowaniu się, że mają do czynienia z dziewczyną, która dużo wie, zajęto się czule Lisia.

Gdy dziewczyna wyśpiewała, co sama chciała, zaczęto ją badać szczegółowo. Lisia nie chciała nikogo więcej sypać. Wówczas odesłano ją do aresztu. Do wieczora. W areszcie otoczyły ją inne więźniarki, które tu dłużej siedziały. Uważano jeszcze Lisie za swoją. Pod wpływem rozmów słyszanych dookoła, dziewczyna oprzytomniała.

Siedziały tu przeważnie blatne kobiety, które

nienawidziły „hintów”. Lisia zapytana za co wpadła, odrzekła skonsternowana:

— To nieporozumienie. „Legawy” wziął mnie z ulicy. Powinni zaraz zwolnić. Może dziś jeszcze.

— Tu łatwo trafić; wyjść gorzej! — odrzekła sceptycznie jedna z więźniarek, zawodowa szopenfeldziara.

Lisia wkrótce o tym przekonała się sama.

Wieczorem wezwano ją na badanie. Była przeżona. Wiedziała od koleżanek, że te wieczorne badania często się kończą garbowaniem skóry. Jedna z koleżanek pokazywała jej wyniki tego badania na własnym ciele: pręgi, sińce i obrzęki.

W pokoju na drugim piętrze od podwórka, do którego wezwano Lisie z aresztu na parterze — było czterech mężczyzn. Inspektor i trzech wywiadowców. Z pierwszych zeznań Lisi zorientowali się o co dziewczynie poszło i że wie bardzo dużo. Inspektor powiedział:

— Trzeba ją porządnie przycisnąć. Wtedy wyśpiewa wszystko.

Lisie grzecznie zaproszono by usiadła i dano papierosa. Dziewczyna chwilę paliła i z niepokojem ślizgała się wzrokiem po twarzach mężczyzn. Nie wróżyły nic dobrego. Zaczęto ją badać. Od razu spostrzeżono, że dziewczyna „kręci”, bo robiła to bardzo nieumiejętnie. Inspektor powiedział do niej:

— Radzę ci mówić prawdę, to może cię zwolnimy. Jak będziesz kłamać, dostaniesz w skórę i pójdziesz do więzienia.

Lisia opowiedziała wszystko, co wiedziała o Huzarze, lecz innych chłopaków nie chciała sypać. Łatwo było wywiadowcom w tym się zorientować, bo przestraszona, głupia w gruncie rzeczy, choć

chytra w życiu praktycznym, dziewczyna, nie umiała przekonywująco kłamać.

Po kwadransie badania inspektor wstał. Zwrócił się do starszego wywiadowcy:

— Nie mam czasu... Proszę ją zbadać bez mnie... Jak zacznie mówić prawdę zaprotokółować... Potem do separatki...

Gdy inspektor wyszedł za drzwi, starszy agent zwrócił się do Lisi suchym, złym gosem:

— Teraz inaczej z tobą pogadamy. Rozbieraj się!

Lisia patrzyła przerażona to w ostre, zimne oczy „hinta”, to na gumową laskę w jego rękę. Nie mogła się poruszyć. Nagle poderwał ją z miejsca dotkliwy cios gumowej pałki przez plecy, a jednocześnie drugi agent jednym ruchem rzucił ją na podłogę. Za chwilę Lisia nago wiała się po podłodze. Wyła z bólu, lecz usta miała zakneblowane. Ręce jej trzymał jeden z agentów, a kolanem unieruchomił kark. Lisia dławiła się. Po chwili zemdląca.

Ocknęła się cała zlana wodą. Błony śluzowe nosa miała spalone jakimś ostrym płynem. Nie mogła zrozumieć: czy to amoniak, czy terpentyna.

— Będiesz mówić wszystko? — spytał zły, zdyszany głos.

Lisia tylko patrzyła przerażonymi oczami i drżała. Zęby jej dzwoniły i ze strachu, i z zimna. Mówić w ogóle nie mogła.

Wrzucono ją do ciemnej separatki. Przesiedziała tam całą noc i dzień. Nie dano jej ani jeść, ani pić. Gardło dziewczyny opuchło. Trawiła ją gorączka. Teraz wyła z rozpacz i przeklinała swój pomysł zemsty na Huzarze.

Tego dnia wieczorem znów wzięto ją na badanie. Znów zobaczyła przy stole inspektora, a w

pokoju trzech wczorajszych wywiadowców.

— Siadaj — rzekł inspektor. — Dajcie jej herbaty i jeść.

Lisia wypila szklankę herbaty i zjadła dużą bułkę z masłem i szynką. Dano jej papierosa. Teraz posłusznie, jak automat, mówiła wszystko, co wiedziała. Odpowiadała spokojnie i apatycznie na wszystkie pytania. Doświadczeni urzędnicy tajnej policji wiedzieli, że nie kłamie i nie uciekano się już do żadnych środków, aby pobudzić ją do mówienia prawdy.

Z zeznań Lisi wysnuto wiele korzystnych wniosków, ale jednocześnie popełniono wiele błędów, bo Lisia wraz z prawdą opowiadała i fałszywe pogłoski o różnych robotach blatnych i zajściach, o których przypadkowo słyszała. Płatała nazwiska i pseudonimy. Było to bardzo szkodliwe, bo uważając jej zeznania za absolutnie pewne, błędnie kojarzono, przez nieświadomość podane fałszywie. Wskutek tego wynikło wiele powikłań, których nie można było rozplątać nawet biciem.

Fiedzia Huzar był zajęty nową miłością i leczeniem chorej nogi. Z domu przez kilka dni wcale nie wychodził. Nie wiedział, że mieszkanie jest pod troskliwą, a ostrożną obserwacją policji śledczej. Pewnego wieczoru — w parę dni po zdradzie Lisi — Fiedzia szczególnie dotkliwie odczuwając ból w nodze, leżał w łóżku. Do pokoju jego weszła Zina i wsunęła się pod kołdrę. Leżeli w ciemności i po cichu rozmawiali. Za oknami wiatr hulał. Deszcz zaczął w szyby.

Huzarowi wydało się, że słyszy za oknami czyjeś ostrożne kroki. Powiedział to Zinie.

— To wiatr... Deski na strychu trzeszczą — uspokajała go dziewczyna.

Jednak Fiedzia był nadal strwożony. W ogóle nigdy nie wyzbywał się całkowicie obawy przed pochwyceniem go. Jak zwierz w lesie, zawsze i wszędzie, węszył niebezpieczeństwo. I teraz wyjął spod poduszki pistolet, tak aby Zina tego nie dostrzegła i w ciemności zbliżył się do okna. Przycisnął twarz do szyby. Patrzył w ciemność i nasłuchiwał. Znowu wydało mu się, że ktoś jest w pobliżu okna.

— Chodź do łóżka. Czego tam marzniesz? — powiedziała Zina.

Nie podejrzewała, że kochanek jej jest poszukiwanym bandytą. Inaczej i ona nie byłaby tak spokojna.

W kwadrans potem na ganku domu brzęknął dzwonek. Huzar powiedział: „Oni!” i porwał się z miejsca.

Zina nie zrozumiała go.

— Kto oni?

Huzar nie odpowiedział. Pośpiesznie się ubierał. Tymczasem dzwonek kołatał bez przerwy.

— Co to jest? — krzyknęła przerażona Zina. Matka jej i siostry też wstawały. Zapalano lampę.

W tym do drzwi wejściowym zaczęto uderzać czymś ciężkim. Rozlegały się jakieś głosy. Huzar wypchnął swą drżącą ze strachu kochankę za drzwi, a sam rzucił się ku oknu. Zestawił pośpiesznie doniczki i pootwierał zasuwki. Przygotował się do wyskoczenia oknem.

Huzar pchnął ramę i okno stanęło otworem. Prawie jednocześnie zalało go z zewnątrz smuga światła elektrycznej latarki i padł strzał. Huzar nie cofnął się — też odpowiedział błyskiem latarki i dwoma strzałami, a jednocześnie wyskoczył oknem na zewnątrz.

Znów padły strzały. Huzar uciekał w promieniach migocących latarek. Poczul, że jest ranny. Rzucił się w bok. Stał. Wystrzelił znów dwa razy. Lecz nie mógł ująć z zasięgu światła latarek. Miał zdruzgotany kulą lewy bark. Latarka wypadła mu z ręki.

Huzar dotarł do otwartych drzwi składziku na drzewo. Wiedział, że już nie ujdzie. Cały teren był otoczony. Położył się na ziemi i czekał... Noga dokuczała mu strasznie. Czuł, że słabnie z upływu krwi. W pistolecie miał jeszcze tylko trzy naboje.

Huzar przyczołgał się do drzwi składziku, aby widzieć, co się dzieje na zewnątrz.

Tam błyskały latarki. Składzik z zewnątrz był otoczony. Oświeślały go latarki. Od czasu do czasu rozlegały się strzały.

„Dwie kule dla nich. Jedna dla mnie”.

Znalazł dobrą sposobność i wystrzelił. Trafił. Ktoś tam jęknął. Po składziku zaczęto pośpiesznie strzelać, lecz nie atakowano. Po kwadransie Huzar wystrzelił jeszcze raz. Została mu teraz jedna kula — dla siebie.

Huzar słabł coraz więcej. Bark był w ogniu, lewe ramię lepkie od krwi i ciążyło mu ogromnie.

Wkrótce Huzar wystrzelił ostatni nabój — po raz ostatni w życiu — sobie w usta.

Tegoż dnia i następnego, Mińsk pośpiesznie, lecz nieumiejętnie, oczyszczano z elementu przestępczego. Największy nacisk położono na wyłapanie uczestników napadu na mieszkanie fabrykanta przetworów mlecznych. Z rzeczywistych uczestników „grandy” zabito Huzara i aresztowano — na podstawie zeznań Lisi i innych danych Urzędu Śledczego: Balerona Michała, Hisia Partołę i Żrebaka. Sześciu rzeczywistych sprawców

napadu pozostało na wolności. Natomiast aresztowano — jako oskarżonych o ten napad dziewięciu innych chłopaków. W sumie było aresztowanych trzynastu. Nikt nie mógł dać dobrego alibi. Niektórych Lisia wskazała, jako znanych jej z opowiadań Huzara współników grandy. Innych poznali na konfrontacji członkowie rodziny fabrykanta lub robotnicy fabryki. I nic im nie pomogło to, że rzeczywiście nie brali udziału w napadzie.

Złodzieje jeszcze staranniej się melinowali. Uruchomili swój wywiad w Urzędzie Śledczym. Podawano aresztowanym kolegom jedzenie, pieniądze i informacje. Kilku chłopaków wykupiono. Tylko ze sprawy „grandy” nie uratowano nikogo — nawet niewinnych.

Mińsk „podziemny” zaczął się. Czesiek Swoboda mówił do Obywatela, którego zastał w truszczoście u Cypy.

— Kiedyż nareszcie przyjdą towarzysze! Życie nie można przez tych burżujskich pacholków!

Obywatel obejrzał go uważnie zdumionymi oczami:

— A co myślisz: bolszewicy nam pomogą?

Swoboda się zapalił:

— Nie myślę, a wiem! To są komuniści, którzy niosą chleb i wolność wszystkim nędzarzom, wszystkim ofiarom świata burżuazyjnego.

— No zobaczymy...

XII.

SIEDEM SERC.

Tomasz Churdzicz wrócił do domu pijany. Od kilku dni pił i złościł się z głupiego powodu. Idąc do domu Zacharzewską ulicą spotkał Barana. Złodziej stanął. Wsadził ręce w kieszenie i uważnie mu się przyglądał — jak jakiemuś niezwykle zwierzakowi. Spojrzenie to było pełne ironii i pogardy. Churdziczowi rwały się na usta wyzwiska i obelgi, lecz stłamsił je w sobie. Stchórzył. I świadomość własnej bojaźni przed tym „zięciem” — złodziejem tak go zirytowała, że zaczął pić. Trwało to już kilka dni.

Teraz, po powrocie do domu, obszedł dziedziniec, złymi oczami lustrując wszystko. Szukał powodu do zrobienia awantury. W sieniach zobaczył otwarte drzwiczki na strych. Chwiejąc się wlaź na górę. Ze strychu zbiegł kot. Tomasz zdążył go kopnąć i poszedł do przedziału, gdzie się znajdowały gołębie. Drzwiczki znalazł niedomknięte. A wewnątrz zobaczył miotające się w przerażeniu ptaki. Jeden gołąb uduszony leżał na ziemi. Kot nie zdążył go zżreć; po drugim zostały tylko pierze i kości.

Churdziez wybuchł potokiem rosyjskich przekleństw. Zatrzasnął drzwi na strych i stoczył się po schodach do sieni.

— Niura! — ryknął na żonę.

Kobieta z mokrymi do łokci rękami wyszła z kuchni. Zobaczyła twarz męża i przeraziła się.

— Czemu drzwi na strych otwarte? Kot gołębie mi wydusił!

— Wieszam bieliznę. Jak zawsze. Ty sam zostawiłeś gołębnik otwarty. Widziałam. Myślałam, że tam coś robisz.

— Myślałaś! Ja ciebie nauczę myśleć!

Churdziez pchnął żonę w pierś tak, że całym ciałem uderzyła o ścianę. Potem chwycił ją za szyję i wstrząsnął.

— Myślałaś ścierwo. Trzeba było nie myśleć, a patrzeć.

To że, zupełnie słusznie, jemu zarzucono niedbalstwo, ostatecznie wyprowadziło Tomasza z równowagi. Trząsł żoną. Walił nią o ścianę. Piecił się i ryczał głucho:

— Nauczę was, cholery, rozumu!

Wtem poczuł, że ciało kobiety zwiotczało. Puścił ją. Niura osunęła się na podłogę.

Churdziez opamiętał się. Chlusnął w twarz żonie duży kubek wody. Lecz kobieta nie ocknęła się. Tomasz zaniósł trupa żony do sypialni i rzucił na łóżko. Był oszołomiony. Nie mógł uwierzyć, że Niura umarła. Trząsł ją jeszcze. Myślał, że udaje. Ale wnet się przekonał, że Niura stygnie.

Alkohol wyparował mu z głowy. Zawołał Julka.

— Leć prędzej po Paulinkę. Powiedz, że matka umarła. Niech zaraz tu przyjdzie.

Chłopiec znalazł Pawcię w sklepie. Przerażony, pośpiesznie powtórzył jej zlecenie ojca. Pau-

linka zaraz zamknęła sklep i udała się do domu. Tam zorientowała się w sytuacji. Od razu zabrała się do roboty. Zawołała doktora. Stasię — 14-letnią siostrę — zapędziła do porządkowania kuchni, bo nieboszczka nie skończyła prać bielizny. Do ojca, którego nagle przestała się bać, powiedziała:

— Niech tatuś tu się nie szwenda, a pomyśli nad zrobieniem trumny!

— Co - o? odruchowo rzekł Tomasz i ściągnął brwi.

Minęło to bez wrażenia.

Baran teraz najczęściej przesiadywał w domu. Wziął nawet kilka obstalunków i nie śpiesząc je wykańczał. Ostatnie wsypy go zaniepokoiły. Szczególnie niebezpieczna była wyspa chłopaków z „grandy”. Potem dowiedział się, że żaden z aresztowanych kolegów z „grandy” nikogo nie wydał. Ograniczyło się na tych, których Lisia słusznie, czy niesłusznie wsypała.

Paulinka rano szła do sklepu. Wraciała na obiad. Potem znów targowała i przychodziła wieczorem. Po kolacji zwykle zabierała się do liczenia kasy. Widać było, że to najprzyjemniejsze dla niej chwile.

Baran ją wciąż obserwował. Widział, jak twarz Pawci w trakcie liczenia pieniędzy nabierała wyrazu i życia. Oczy lśniły. Gdy po obliczeniu pieniędzy, wymieniała sumę zysku z dzisiejszego targu — nieraz dość dużą — była rozpromieniona i szczęśliwa.

Baran nie ufał jej, lecz kochał ją nadal. Kochał mimo wszystko. A Paulinka wobec niego była teraz aksamitna. Mówiła czułe słówka. Słodko się uśmiechała. Nawet w stosunkach erotycznych wię-

ła na siebie rolę przodującą. Miała, rzadki jak na kobietę, żywiołowy temperament i bujną wyobraźnię. Ponieważ nie miała zupełnie poczucia wstydu, wyżywała się z Olkiem swobodnie, nawet wyuzdanie. Przypuszczała, że to najlepsza droga do całkowitego opanowania Olka. Baranowi jej pieszczoty dawały wiele rozkoszy, lecz były i przykre. Zbyt ją kochał, aby traktować dziewczynę tylko, jako narzędzie rozkoszy. Lecz dusza i przyjaźń Pawci były niedostępne — jak niedostępna jej miłość. Nie mogła dać mu tego, czego w ogóle nie posiadała. Kochać umiała tylko siebie i wytwory swej wyobraźni. Przyjaźnią mogła darzyć tylko za schlebianie jej. Była próżna, lekkomyślna, nawet głupia. Lecz ogromnie zarozumiała.

Te dwa serca obok siebie były źle ulokowane.

Serce Paulinki było puste i fałszywe.

Serce Olka było wierne, wspaniałomyślne i okaleczone.

Po śmierci matki Paulinka musiała się zająć pogrzebem i domem. Wieczorem wpadła na chwilkę do Barana. Raczej po potrzebne jej rzeczy, niżli dla powiadomienia go o śmierci swej matki. Powiedziała:

— Olusiu! Kilka dni będę zajęta w domu. Ty sobie radź jakoś!

— Dobrze — odparł Baran.

Nadal siedział w domu. Pracował. Sam gotował. I myślał, myślał, myślał...

Gdy w mieszkaniu zdejmie się ze ściany obraz albo lustro, które od dawna, niepotrzebnie nawet, tam wisi, odczuwamy brak czegoś. Razi nas i niepokoi „próżne” miejsce. A gdy zabraknie kochanej kobiety to — grób. Zimna, ciężka pustka. A żył w niej człowiek, który cierpiał całe życie i

miał starganą w strzępy duszę. Złudą miłości ratował siebie. I nie mógł jej się zrzec.

Wieczorami Baran szedł do Miłego i przynosił go do warsztatu. Pies chwycił zębami dłoń swego pana i zaciskał szczęki. Lecz nigdy nie przegryzał skóry. To była jego dziwna pieśczęta. Bo jednego tylko człowieka kochał Miły i jednemu ufał. Jego biedne, sobacze serce też musiało kochać, aby się ratować od pustki i potworności życia. Więc kochał może lepiej jak ludzie — i wyrażał to jak umiał.

Jaś cicho zapukał w okno Marusi Łobowej. Prawie natychmiast kobieta się odezwała. Jeszcze nie widząc Jasia, powiedziała:

— Jaś, ty?

Jakby czekała na niego.

— Ja. Otwórz.

Jaś opowiedział jej o swojej ucieczce. Marusia się przeraziła:

— Boże, jak ty wyglądasz?

Zaczęła szukać dla niego bielizny i ubrania.

— Wiesz: po mnie mogą tu przyjść.

— Posłyszemy. Wyleziesz oknem. Zresztą zaraz wszystko będzie załatwione.

Po kwadransie Jaś był gotów. Cieszył się, że przewidując zostawił u Marusi swoje rzeczy. Jego zniszczone ubranie i bieliznę Marusia wyniosła do składzika i wsadziła za sagiew drzewa. Aby nie było „dowodów” w mieszkaniu.

— Co będziesz teraz robił?

— Jestem wystawny. Będę się ukrywał. Melin wystarczy. Wyrobię lewe papiery i już.

— Biedny ty chłopaczku... Nie jesteś zmęczony? Może chcesz wypocząć?

— O nie. Nie usnę. Rano pójdę na melinę.

Chłopaki mi pomogą... Teraz pójdę na cmentarz.
Tam posiedzę do rana.

— I ja z tobą.

— Dobrze.

Marusia zamknęła mieszkanie i oboje wyszli po cichu na ulicę. Nasłuchiwali. Ulicami zwykle krążyły wojskowe i policyjne patrole. Dlatego Jaś nie chciał iść nocą na melinę. Mógł wpaść na siedzących gdzieś w ciemności i czatujących ludzi.

Było cicho.

Przeszli prędko ulicę i weszli na duży plac przed kościołem złotogórskim. Był porośnięty trawą. Tam byli już niewidzialni. Dotarli do rowu, który oddzielał plac od cmentarza. Usiedli. Zobaczyli z dala błysk ognia. Ktoś przypalił papierosa. Więc jednak w pobliżu była warta, tylko nie dostrzegła ich prędkiego przejścia przez ulicę.

Marusia, siedząc obok Jasia, milczała. Trzymała jego dłoń obiema rękami na swoich kolanach. Zaczęła powoli ją głaskać. Jaś poczuł, że na rękę mu spadła kropla. Potem jeszcze jedna. Łobowa cicho płakała.

— Czego ty? — cicho spytał Jaś.

— Nie wiem...

— Ty mnie nie żałuj. Ja sobie dam radę.

Marusia milczała.

Teraz była małą dziewczynką. Odleciała gdzieś jej wiedza życia i jej pewność siebie i duma. Została, zawsze cierpiąca, zawsze smutna dusza. Czepiała się tego chłopca, jak ozdoby swego życia, jak złudzenia odchodzącej młodości, która nie jej nie dała, a zostawiła tęsknotę żrącą serce i nie nawisć dla obłudy i blichtru życia. To rzuciło ją przed kilku laty w objęcia działacza partyjnego. Chciała żyć dla ludzi razem z nimi i wspólnie walczyć o ich szczęście i wolność. Ale zobaczyła

zimnego, wyrachowanego karierowicza, który walkę partyjną i towarzyszy swoich uważał za drabinę, po której mógł się wspiać ponad tłum, którym pogardzał. Ją potraktował, jako jeden ze szczebli tej drabiny. Przeraziły ją jego egoizm, pycha, brak szerszego horyzontu myślenia. Ideałem jego okazało się więzienie, w którym byłby stróżem z batem w rękę — zawsze mającym rację. W kolegach jego zobaczyła suchych, marnych teoretyków, bez fantazji, chciwych i podstępnych.

Zacząła unikać ich. I się cieszyła, gdy przypadek rozłączył ją z mężem — obecnie komunistą — zastępcą prezesa Rewtrybunału w Orle.

W uczuciu jej do Jasia były elementy miłości macierzyńskiej. Z początku traktowała go, jak głupiego smarkacza, którego uświadomiła. Potem pokochała go — jak matka. Ukrywała to przed Jasiem, aby nie zadrasnąć miłości własnej ambitnego chłopca, który we wszystkim chciał naśladować dorosłych mężczyzn. Jego chętna pomoc prosta, szczerza rozrzewniała Marusię. Teraz właśnie spytał Marusi:

— Czy masz pieniądze?

— Potrzebujesz?

— Nie, chcę tobie dać.

— Przecież nie masz nic.

— Wezmę od wuja ile tobie i mnie potrzeba. Restauracja jest moja. Wuj nigdy nie odmówi.

Poszli w głąb cmentarza i znaleźli zaciszny kąt. Tam usiedli. Marusia namówiła go by się położył, a głowę chłopca umieściła sobie na kolanach. I Jaś nie pokonał snu. Marusia cicho siedziała, bojąc się poruszyć. Plecami opierała się o płytę grobową. Było jej tu, w krainie zmarłych, spokojnie i dobrze. Czuli, że jest wśród przyjaciół.

A gdy nadszedł świt, przeczytała na pobliskim

pomniku dziwny napis: „Ona nie umarła, dziewczyna tylko śpi”. Najpiękniejszy napis na tym cmentarzu. Napis, który stworzyła tragedia ludzka.

Wśród tych grobów, w otulającej cmentarz mgłę, w mieście zmarłych, żyły dwa serca blisko siebie.

Serce kobiety było tkliwe i szczere.

Serce Jasia szlachetne, śmiałe i głupie.

Harmonii i tu nie było. Ale nie było i fałszu.

Ażura w Mińsku, jako blatnego, znało tylko kilku chłopaków. Ażur znał ich liczbę i wszystkich był pewien. Do jednego Jasia odniósł się nieufnie, lecz wyrobił z nim „pudło”, bo nie mógł obrażać Barana, którego znał dobrze z więzienia i wysoko cenił.

Gdy blatni Mińska zaszywali się po kątach, aby ujść możliwej wszędzie wsypie, Ażur pewny siebie, czysty, skromnie lecz porządnie ubrany, solidny, z laską w rękę chodził po Mińsku. Był zupełnie pewny siebie i spokojny. Trzydzieści lat złodziejskiego życia i nauki dały mu wyjątkowy instynkt i spryt. Szpicla widział o sto metrów — niezawodnie. Szpicel nie widział go nawet w Urzędzie Śledczym, gdzie Ażur przed tygodniem czasu złożył zameldowanie o skradzeniu mu z kieszeni kamizelki złotego zegarka. Bardzo się oburzał i koniecznie chciał składać skargę do wyższych władz, na „taką bezczelność” złodziei i niedbalstwo policji.

— Mnie nie zależy na wartości zegarka. Chodzi o to, że zegarek był pamiątkowy.

Hinty grzecznie, nieco ironicznie „pocieszali” solidnego obywatela:

— Zegarek odnajdziemy. Może pan być pewien.

Ażur otrzymał poświadczenie złożonego meldunku. Zostawił adres, dla powiadomienia go w hotelu o odnalezieniu zegarka. Uroczyście przyrzekł bardzo wysoką nagrodę pieniężną. I się wyniósł obrażony w swej godności, nieco wyniosły, po frajersku naiwny.

— Zawraca dupę, ze swoim zegarkiem — rzekł jeden z agentów.

— Zobaczy go, jak swoje uszy... — powiedział inny.

— Łazi taki frajerzyna i śpi. Jutro przyjdzie zameldować, że mu pamiątkowe kalessy w czasie spaceru z nóg ściągnęli. Nagrodę da!... Takich tylko i uczyć rozumu. Obrażony, dureń... Do naczelnika pójdzie na skargę. Do mamy swojej pójdź że takiego durnia zrobiła — irytował się ten, który robił protokół z meldunku.

Jednak zastanawiano się, kto mógł „kupić mu bimber” *). Z opowiadania Ażura o okolicznościach kradzieży nie można było wywnioskować. Był na poczie — wysyłał listy handlowe. Był w restauracji „Europejskiej” na obiedzie. Był w kilku sklepach. Kradzież stwierdził po powrocie do domu. Nie dostrzegł w pobliżu siebie nikogo podejrzanego — aby z rysopisu poznać któregoś z Mińskich doliniarzy.

Marysię Zapolską życie też nie pieściło. Była córką dobrze sytuowanych rodziców. Ojciec twardo trzymał w garści jedynaczkę. Otrzymała dobre wykształcenie, a potem musiała być przez kilka

* Nie wiadomo dlaczego od początku wojny zaczęto nazywać samogon — bimber. W języku złodziejskim słowo to oznacza zegarek. Synonim: cebula. Tak samo dziwnie przeinaczono nazwę złodz.: szaber.

lat pielęgniarką ojca ciężko chorego na nogi. Wozila go po różnych lecznicach. W domu musiała nim się opiekować, bo ojciec uważał, że jedynie Marysia umie coś z sensem zrobić. Płatne pielęgniarki wypędzał po krótkich próbach. Mijały lata, a dziewczyna spędzała czas w mrocznym domu, przy boku tyrana. I młodość jej mijała. Nie miała adoratorów, bo tryb jej życia utrudniał znajomości. Poza tym nie zwracała na siebie uwagi, jako kobieta. Miała nieładną buzię. Raczej brzydką. A to, że była pięknie zbudowana, wiedziało tylko lustro.

Miała i inne skarby. Lecz i te były ukryte tak głęboko i wstydliwie, że w ogóle nikt by nie zdołał ich dostrzec.

Biegły lata. Nadeszła wojna, rewolucja. Marysia straciła rodzinę i majątek. Nie warto o tym opowiadać. Takie tragedie stały się w Rosji zbyt pospolite. Marysia miała dalszą rodzinę w Kaliszu. Zaczęła się przedzierać na Zachód. W wirze życia praktycznego, wśród rekinów, była bezradna. Mogła tylko cierpieć, ciężko pracować i głodować.

Dotarła do Mińska i tu uwięziła ją sytuacja polityczna. Chwytała się różnej pracy i zadawała się byle czym. Niepozorna, nieśmiała, milcząca, nikogo nie interesowała. Była eksploatowana i poniewierana. Pierwszy Ażur wyróżnił ją i dobrze potraktował. Stosunek szefa wzruszył do głębi dziewczynę. Potem, śledząc go subtelna inteligencją kobiety, którą życie zepchnęło na ubocze, zobaczyła w nim ogromnie ciekawego człowieka. Z potrzeby serca 35-letniej już dziewczyny, zaczęła go wstydliwie i bojaźliwie kochać. Potem skojarzyła kilka faktów i z zupełną pewnością wywnioskowała: był przestępcą na większą skalę. Lecz to jej również nie zraziło. Przeciwnie z jeszcze

większym zainteresowaniem i miłością odnosiła się do tego dziwnego człowieka.

Gdy Ażur po powrocie z Wilna zaprosił Zapolską na kolację, a potem ją odprowadził do domu, była szczęśliwa. Potem wyłoniła się prośba o dyskrecję i dyskretna pieśczoła. To wyprowadziło Marysię z równowagi. Nawet, wstydząc się sama swych łez, długo płakała.

Pewnego dnia, smutną, rzewną jesienią, Ażur przyszedł do sklepu Zapolskiej. Przywitał się, usiadł przy stoliku i pisał list. Potem wziął kartkę papieru i coś rysował piórem. W powietrzu cicho wirowała melodia walczyka. Klientów w sklepie nie było. Ekspedientka poszła na dworzec po towar.

Zapolska z ukosa obserwowała Ażura, udając, że jest czymś zajęta. Ażur z rzadka rzucał na nią spojrzenia. Panowało dość krępujące milczenie. Marysia przerwała je.

— Co pan rysuje?

— Zaraz pani pokażę... To są dwa portrety... Ażur zaczął gwizdać.

— Portrety?

— Tak... Jeden mojej przyjaciółki... A drugi... drugi mojej żony...

— Żony?!... Pan nigdy... — nie dokończyła.

— Nie mówiłem, że żonaty... Bo pani nie pytała... Żona moja cudna... O takiej tylko myślałem...

Marysia milczała. Wiadomość tą przykro ją zaskoczyła... Z aureoli, którą otoczyła Ażura, znikło sporo blasku... Był to zawód... Przykry...

Ażur gwizdząc, zbliżył się do lady. Położył na szkle gablotki papier.

— To moja przyjaciółka. Niezawodna.

Zapolska zobaczyła rysunek czaszki kościotrupa.

— A to moja żona.

Ażur przewrócił kartkę papieru. Marysia patrzyła i milczała. Ażur gwizdał. Widział, jak twarz dziewczyny zalewa rumieniem. Marysia nie odrywała oczu od papieru. Nie mogła ich podnieść. Posłyszała cichy, trochę inny niż zwykle głos:

— Czy podobny jest portret mej żony?

— Tak... Ale niech pan teraz wyjdzie. Chcę zostać sama.

— Dobrze. Przyjdę do ciebie jutro na obiad...

Ażur pocałował Marysię w ramię, koło łokcia i wyszedł. A Marysia zarumieniona nadal patrzyła na kartkę papieru, na której była narysowana prymitywnie, ale śmiało i pewnie, jej twarz.

Ekspedientka była zdumiona, gdy po przyjeździe z towarem znalazła sklep zamknięty. Kazała doróżkarzowi zajechać na podwórko. Wstąpiła do mieszkania swej szefowej. Zastała ją rozpromienioną i jakby nieprzytomną.

— Co się stało?

— Nic. Dziś sobota i wcześniej zamknęłam sklep. Chcę wszystko uporządkować na święto. Jutro wielkie święto.

— Jakie wielkie?! Niedziela.

— Tak... Niedziela...

Marysia się roześmiała, podeszła do ekspedientki i pocałowała ją.

— Niedziela! Niedziela! Rozumiesz: moja niedziela.

„Co jej się stało?”.

W tym dniu Marysia zamówiła w kwiaciarni na dzień następny duży bukiet białych róż. Lecz na zajutrz otrzymała dwa. Drugi był z innej kwiaciarni. Też róże, ale czerwone.

Przy obiedzie, Azur, wbrew swemu, zwyczajowi, sporo mówił. Nie gwizdał wcale. Filuternie obserwował Marysię, która wciąż dostawała wypieków.

Wyglądała dziwnie młodo i jasno. A gdy patrzyła czasem na Azura, to w oczach jej drżała radość.

Poszli na operetkę do „Renesansu”. Potem na kolację do restauracji przy hotelu Europa. Potem długo chodzili ulicami. W pewnej chwili w Gubernatorskim ogrodzie — gdy się znaleźli w cieniu lip, a dalej wszystko było zalane światłem dużych latarni — Marysia zatrzymała Azura.

— Powiedz, jak ci naprawdę na imię. Pierwsze twoje imię.

— Jan.

— Słuchaj, Janku. Ja nic nie mam. Wszystko co mam twoje. Ale za nic ci nie dziękuję, tylko za portret. Takiego nie ma na świecie.

I gorąco, namiętnie pocałowała go w usta. Wówczas Azur wziął ją na ręce i uniósł do góry. Przeszedł ścieżkę i stanął nad wodą.

— Marysiu, dziecinko, spokojnie, bo rzucę cię zaraz do wody.

— Dobrze.

Lecz nie wrzucił. Tylko zapytał:

— Chcesz żebym dziś spał z tobą?

— Chcę.

I poszli ulicami. Nie rozmawiali...

Te dwa serca, tak różnie przez życie kształtowane, były jednym tętnem. Były dobre, wierne i śmiałe.

Ludzie mają przeważnie serca wylewne, które mówią i reklamują swój ból i swoje radości. Lecz jakże wiele jest takich, które żyją i konają z bólu, lub płoną ze szczęścia w milczeniu.

XIII.

ZŁODZIEJSKA RACJA

Jaś musiał przynajmniej na pewien czas zmienić dzielnicę, w której mieszkał. Miał już fałszywe dokumenty. „Lipy” wyrobił mu Ignacy. Nie kosztowało go to nic, tylko wypili razem.

Teraz chłopiec żył przy ulicy Nowokrasnej, w dzielnicy domów publicznych. Tu najłatwiej było się ukrywać. Dzielnica była rozległa i gęsto zaludniona. Błatnych żyło tu mało, więc policja i tajniacy nie interesowali się zbytnio tym rejonem.

Z asów świata podziemnego ukrywał się tu tylko Janek Złoty Ząb. On właśnie doradził Jasiowi zamieszkanie w tej dzielnicy.

Pewnego dnia, w południe, przyszedł do Jasia Janek Złoty Ząb. Przyprowadził Obywatela, który przyniósł dla chłopca list od Łobowej. List był przesłany złodziejską pocztą: przez Barana do truszczoży Cypy. Stamtąd zabrał go Obywatel. Listy złodziejów nie giną i nie ulegają tajnej cenzurze. Czasem taki „gryps” wędruje z Warszawy lub Odessy po kilka miesięcy. Czasem idzie z rąk do rąk nawet przez więzienia.

Łobowa pisała, żeby nie przychodził do niej, bo w mieszkaniu była rewizja. Szukano go. Wypyty-

wano mieszkańców podwórza. Prosiła by przyszedł w niedzielę wieczorem, gdy się ściemni. Będzie czekała na placu przed kościołem.

Paniec uważał za potrzebne uraczyć Janka i Obywatela. W domu nie miał nic, więc poszli do pobliskiego lupanaru. O tej porze był zamknięty, ale „bandarsza” była swoja i miała dobrze zaopatrzoną kuchnię. Poszli na salę dla gości — pustą teraz i cichą. Tam czekali na obiad. Obywatel był już podпиты. Obcując ze złodziejami więcej pił, niż jadł. Zresztą lubił wypić. Zalewał żrącą serce tęsknotę i niepokój o bliskich, których zostawił po stronie bolszewickiej. Ale organizm miał słaby i prędko się upijał. Był wówczas dość oryginalny.

Odnalazł ich tam Czesiek Swoboda. Był mu potrzebny Janek Złoty Ząb.

— Ty, jak tu trafiłeś? — zdziwili się blatni.

— Złodziej złodzieja znajdzie, jak pies psa — odparł Czesiek.

Zaproszono i jego na obiad. Nie bardzo lubiano jego „propagandy”, ale szanowano go, jako firmowego, charakternego złodzieja.

Gdy podano obiad — tłusty i obfity, jak zwykle w tego rodzaju zakładach — chłopcy zaczęli pić. Obywatel od razu się zalał i wystąpił z nowym projektem:

— Wiecie co, dzieci — rzekł uroczyście — musicie koniecznie zrobić strajk. Strajk wszystkich blatnych w Mińsku.

— Nie rób wiatru — powiedział Janek Złoty Ząb.

Ale Czesiek Swoboda się zainteresował:

— No, jakże to ma być?

— Na znak protestu — ciągnął Obywatel — przeciw znęcaniu się nad złodziejami w czasie badań, głodzeniu ich w więzieniu, nie rozpatrywaniu

spraw całymi miesiącami, złodzieje mińscy ogłaszają za tydzień, na przykład, generalny strajk.

— Doskonale! — trzasnął w stół pięścią Czesiek. Protest lumpenproletariatu przeciw metodom sługusów kapitalistów.

— Jakże to będzie? — zainteresował się Jaś.

— A tak. Pewnego dnia rozlepimy wszędzie ulotki, jeśli nie będzie można inaczej, to pisane ręcznie, że złodzieje od dnia dzisiejszego przestają kraść, aż do rozpatrzenia ich sprawy i usunięcia krzywd.

— I co dalej? — pociągnął Janek.

— Otóż mija dzień, dwa, tydzień, dwa: w mieście ani jednej kradzieży, żadnego przestępstwa. Gazety nie mają o czym rozpisywać się, żadnej sensacji. Policja robi się zbędną, Urząd Śledczy też. Prokuratura zaniepokojona. Sądownictwo nie ma nic do roboty. Wobec takiego stanu rzeczy aparaty te trzeba będzie zlikwidować.

— Dobrze, a z czego będą tymczasem żyć złodzieje?

— Jest i na to rada. Do strajku trzeba się przygotować. Każdy złodziej przez pewien czas musi dawać 25% zarobku na fundusz strajkowy. W parę miesięcy stworzy się kapitał, którego wystarczy na skromne zasiłki dla wszystkich potrzebujących.

Czesiek Swoboda klasnął w dłoń.

— Doskonale! Nie pamiętam, jak to się nazywa według Marksa... Ale mówcie, towarzyszu, dalej...

— Poza tym — ciągnął Obywatel — trzeba stworzyć Biuro Pośrednictwa Pracy i przyjmować wszelkie roboty. Rzucić złodziei czasowo, jako tanią siłę roboczą, na rynek pracy. Ci co potrafią głodować lata w więzieniach i tam pracować pra-

wie darmo, potrafią zrzeszeni stworzyć poważną konkurencję, jako pracownicy. Złodzieje są zdolni, ambitni, słowni i wytrzymali. Jeśli się czegoś podejmą, to dokonają.

Z przemowy tej Janek Złoty Ząb wywnioskował, że Obywatel zwariował. Więc spytał:

— A ty jeszcze nie gryziesz? Trzeba ci zastryk dać.

Ale Jaś wysnuł nową myśl:

— A jeśli policja, Urząd Śledczy, sądownictwo, gazeciarze, wiedząc, że mogą stracić posady i zyski, stworzą swoją organizację i zaczną sami czasowo kraść, aby usunąć niebezpieczeństwo, które dla nich stworzy strajk.

— Takich w zęby! — rzucił Swoboda.

— Nie — powiedział Obywatel. — Jest i na to rada. Trzeba jednocześnie z organizowaniem strajku zorganizować tajną policję złodziejską, która będzie pilnować uczciwych ludzi, aby nie kradli.

— To ty już głupstwa gadasz — powiedział Janek. Złodzieja można odzwyczaić i dopilnować. Z uczciwymi nie dasz rady. Bo uczciwi kradną pod osłoną prawa: tam gdzie tego nie dostrzeżesz. Kto okrada wdowy, sieroty, chorych, emerytów i więźniów?

— Racja? z tym nie damy rady — rzekł Obywatel. Ale możemy dopilnować, aby nie było przestępstw oficjalnych. Aby nie łamano nam strajku.

— Słuchajcie, wariaty, — powiedział Janek. — Róbcie wasz strajk, róbcie policję, ale przestańcie o tym teraz gadać. Rzygać się chce, a tu taki obiad.

Pijatyka przeciągała się. Pod wieczór dołączyły się do nich Gruzinka i Loda, dwie dziewczynki trochę blatne. Gospodyni posłała je dla towarzyswa. Traktowano je jak koleżanki. Bez karesów.

One traktowały również chłopaków przyjacielsko. Od swoich chłopców nie brano pieniędzy za „miłość”, nie naciągano ich. Nigdy nie zarażano chłopca, jeśli chora dziewczyna wiedziała, że to blatny. Frajerom robiono to na złość. Naturalnie poza lokalem, „z pikiety”, aby nie można było pociągnąć do odpowiedzialności.

Blatny nie widzi w prostytutce kobiety „gorszej”, istoty niższej. Nie wstydzi się jej po wyjściu z łóżka. Blatny uważa prostytutkę za lepszą od frajerki. Dziewczęta uliczne i te z lokali widzą to i mają dla złodziejów wielki sentyment. Chętnie stają się ich kochankami, naprawdę troskliwymi i wiernymi absolutnie. Mając zawodowo nadmiar mężczyzn lgną do swoich chłopaków i im tylko naprawdę się oddają.

Loda śpiewała:

Pada deszcz, pada deszcz...
Na ulicy śłota.
Kochałam złodzieja...
Myślałam: złoto.

I tak pieśnią i alkoholem, jak morfiną, łagodzili swój stały ból. To jedynie było biedną ozdobą ich marnego życia.

Jaś nie przyszedł w niedzielę na wyznaczone mu przez Marusię Łobową spotkanie. Wpadł razem z Baranem na melinie u Katarzyny Sperdy. Wpadli przez Kazika Moreckiego. Historia ta była w świecie złodziejskim rzadka i przykra.

Pewien złodziej, Mamida — sybirak, który nie cieszył się dużym respektem wśród chłopaków, wykroczył przeciw prawom blatnych. „Zahamał dole” jednemu z chłopaków — Mańce, który to dziwne przywisko otrzymał dla tego, że po śmierci

swej kochanki wciąż o niej mówił i wspominał: „Gdy żyła Mańka!...”, „Moja Mańka była inna”... I wciąż Mańka.

Otóż zrobili razem włamanie. Łup był dość obfity. Zaczęto go likwidować. Tymczasem Mańka przypadkowo wpadł. Lecz po tygodniu zwolniono go. Wyszedł z aresztu, nie mając nic. Od razu odnalazł współnika i upomniał się o dolę. Lecz Mamida oświadczył mu, że „gacjent” wpadł na melinie. Że nic z tego nie miał. Mańka zaczął prowadzić śledztwo i ustalili, że Mamida sprzedawał „szmokty” w różnych miejscach. Mańka wniósł skargę chłopakom i dał dowody przeciw Mamidzie. Postanowiono oddać sprawę Mamidy złodziejskiemu sądowi. Sędziami byli: Żaba, Filip Łysy i Kazik Morecki. Wezwano na rozprawę Mamidę. Na takie rozprawy oskarżony przeważnie nie przychodzi, bo wie, że wynik ich bywa często śmiertelny. Lecz Mamida stawiał się sam i bronił się bardzo sprytnie.

Rozprawę prowadził Żaba. Był jak zawsze zimny i spokojny. Nie zaniedbał niczego. Asystował Filip Łysy, który sprawą się nie interesował i Kazik Morecki, który denerwował się i czepiał Mamidy. Mańka oskarżał. Dowody jego oskarżenia było łatwo sprawdzić, więc wierzone mu na słowo.

Mamida twierdził, że jest zupełnie w porządku, bo gdy współnik wpadł, wszystko byle jak sprzedał i zamierzał z jego doli pomagać mu w więzieniu. Przedstawił świadka — zaocznie — córkę swej meliniary, przez którą posłał paczkę do więzienia, ale paczki nie przyjęto, bo Mańki tam jeszcze nie było. Pieniądze wydał na konieczne dla niego sprawy, bo wiedział, że Mańka ich teraz nie potrzebuje. Lecz nie zamierzał „zahamać” doli

wspólnika. Powiedział, że mu wszystko zwróci w najbliższych dniach.

W czasie tej „dintojry”, między Mamidą i Kazikiem Moreckim wywiązała się sprzeczka. Kazik zbyt się przejmował sprawą i ponosiło go oburzenie na sprytnie wykręcającego się złodzieja. Sprzeczka się zaostrzyła. Mamida powiedział kazikowi coś ubliżającego. Tamten porwał się miejscą i uderzył Mamidę. Wywiązała się bójka. Rozdzielono ich.

Wyrok był w następujący: Nie ma dowodów, że Mamida chciał przywłaszczyć sobie dolę wspólnika. Sprawa jest niewyjaśniona i niemożliwa do wyjaśnienia. Mamida musi w najszybszym czasie zwrócić dolę Mańce i uważać na przyszłość, aby to się nie powtórzyło.

Gdy rozprawa była skończona, Kazik powiedział:

— Ja tę sprawę nożem wyjaśnię.

Mamida wiedział z jakim złodziejem ma do czynienia i chociaż był dość bezczelny — stchórzył. Przyszła mu do głowy myśl zlikwidowania Moreckiego przedtem, zanim tamten go zlikwiduje. Miał znajomego „hintę” i nadał mu Kazika. Wskazał melinę, tryb życia, pseudonim wileński i inne szczegóły.

Moreckiemu nawet do głowy nie przyszło, że firmowy złodziej — choć z dalekich stron (sybirak) — może dopuścić się tak podłej zdrady. Więc nie zmienił meliny, ani trybu życia. Często spotykał się z Baranem, z którym się przyjaźnił, jako wspólnik z wielu robót w Wilnie i kolega z więzień. Po wyspie Jasia spotykali się z Moreckim, na Bondarewskim zaułku, u Katarzyny Sperdy. Tam też w sobotę wieczorem poszedł Jaś, aby się zobaczyć i pogadać ze swoim mistrzem. Zamierzał

tam przenocować i nazajutrz pójść na randkę z Marusią Łobową.

Koledzy umiarkowanie popijając siedzieli, czując się zupełnie bezpiecznie w zacisznym mieszkanku. Katarzyna coś robiła w kuchni. Wychodziła czasem na podwórko. W pewnym momencie weszła blada do pokoju i rzuciła cicho:

— Chłopaki „szocher”! *)

Ale tuż za nią do mieszkania wpadło pięciu cywilnych agentów Urzędu Śledczego.

— Ręce do góry!

Nikt z blatnych broni, ani narzędzi przy sobie nie miał. Podnieśli ręce do góry. Zaczęto ich rewidować. Broni nie było. Więc posadzono ich w kącie, pod obesrwacją dwóch agentów z pistoletami w pogotowiu, a trzech innych przystąpiło do rewizji domu. Katarzyna Sperda jako gospodyni musiała im towarzyszyć. Po rewizji, która wyników nie dała — zakwestionowano tylko futro Katarzyny i prawie nowy, nikłowy samowar — spisano protokół i wyprowadzono trzech przyjaciół na ulicę. Przedtem skuto im ręce kajdankami. Kazik był skuty osobno. Lewą rękę Barana przykuto do prawej Jasia. Tak szli w milczeniu Bondarewskim zaułkiem, a potem skręcili w Ślepiąńską ulicę.

Przed wyjściem z mieszkania Baran zdołał kilka razy szepnąć Jasiowi: nie znasz mnie wcale... przyszedłeś do Kasi szukając mieszkania... lipy odrzuć... idź na „wytysz” **)

Jaś korzystając ze sposobności wolną ręką wyjął z kieszeni fałszywe dokumenty. W pewnej

* Niebezpieczeństwo. Złapał szocher: został wykryty, zauważony na robocie.

** Prawdziwe nazwisko.

chwili rzucił je w błoto przed siebie. Postarał się przydeptać nogą. Nie dostrzeżono tego. Baran swoich dokumentów pozbył się dawno.

W pewnym miejscu ktoś krzyknął:

— Stój!

Błysnęły latarki. Padł strzał: potem kilka strzałów. Kazik Morecki uciekał. Jasia i Barana dwóch hintów chwyciło pod ręce. Zresztą skuci razem nie mogliby daleko uciec. Kazika ścigano. Brzmiały strzały, błyskały latarki, rozlegały się krzyki: „stój!” Lecz Kazik uciekł, chociaż był ranny w biodro i miał przestrzelone ucho.

Jasia i Barana, źli, zdenerwowani ucieczką Kazika, agenci przyprowadzili do Urzędu Śledczego. W drodze Baran zdążył dać chłopakowi jeszcze kilka wskazówek, aby wiedział czego się trzymać przy badaniu... „Jest wystawny przez nieporozumienie z tamtą maszyną do robienia tutek... Nikogo nie zna... Barana też”!

Ucieczka Kazika ułatwiła im zeznania.

Agenci byli źli, ponurzy.

Spisano personalia złodzieja. Naturalnie fałszywe. „Wczoraj, przyszedł z Wilna do Mińska”. Spotkał znajomego z widzenia w Wilnie Moreckiego, którego znał tam, jako przekupnia na rynku. U niego się zatrzymał do czasu znalezienia mieszkania. Z zawodu jest szewcem. W Wilnie nie miał pracy, więc przedostał się do Mińska”.

Jeden z agentów w czasie protokółowania chciał zabrać się do bicia. Baran uważnie spojrzał mu w twarz i rzekł spokojnie do wszystkich:

— Wy macie swoją robotę i róbcie... Mnie trzeba żyć, wam trzeba żyć... „wyciskiem” nie ze mnie nie dostaniecie... A wam mogą niejednemu kieszki wylecieć...

Agenci zrozumieli, że mają do czynienia z po-

ważnym „blatnym” i nie ruszyli go. Natomiast Jaś bez bicia — w myśl instrukcji mistrza — opowiedział o sobie wszystko, z wyjątkiem rzeczy istotnych, mogących jemu lub komuś zaszkodzić. Podstawą jego zeznań było znalezienie maszyny do robienia tutek, aresztowanie — zupełnie „nie-słuszne”, ucieczka i ukrywanie się.

Barana i Jasia zatrzymano dłużej w Urzędzie Śledczym. Stawiano na konfrontacje z różnymi poszkodowanymi. Baran szczególnie się bał dla siebie konfrontacji w sprawie grandy u fabrykanta przetworów mlecznych. Lecz Lisia go nie знаła wcale. Komplet bandytów w sprawie napadu był, aż za duży. Chłopczy, którzy byli rzeczywiście na grandzie, nie wydali go. Natomiast pewna pani stanowczo poznała w nim złodzieja, który wychodził z walizką z bramy domu, w którym mieszkała. Nie zwróciła uwagi na walizkę, lecz twarz zapamiętała. Gdy przyszła do drzwi mieszkania znalazła je otwarte, a wewnątrz ślady gospodarki złodzieja i brak najlepszych rzeczy. Wybiegła na ulicę, aby go zatrzymać, lecz złodziej już znikł.

Baranowi przyszyto na lewo sprawę. Doświadczony złodziej protestował. Przede wszystkim konfrontacja była nieprawidłowo przeprowadzona, bo Barana wyprowadzono dla rozpoznania samego. A konfrontacja musi być przeprowadzana tak, aby wraz z podejrzanym o kradzież — jednocześnie — pokazano poszkodowanemu kilka innych osób. Przecież były wypadki, że „dolator” *) zasugerowany otoczeniem i tym że pokazują właśnie złodzieja, poznawał go w agencji urzędu śledczego, lub aresztowanym, który miał murowane alibi,

* Poszkodowany; Landon.

gdyż właśnie w dniu kradzieży siedział w areszcie.

Jeden z agentów, który pracował dawniej w Urzędzie Śledczym w Wilnie, poznał w Baranie blatnego z tamtego terenu. To zaszkodziło poważnie Baranowi. I chociaż oskarżenie paniusi było niezbyt pewne, dano Baranowi robotę „na klućczyk” *). Jeden z agentów powiedział do Olka:

— Czy zrobiłeś ją, czy nie, wszystko jedno. Ty siedzisz za kogoś, a za ciebie ktoś siedzi.

W protokóle zaznaczono, że jest to znany zawodowy włamywacz z Wilna. Sprawę przekazano do sędziego śledczego. Jasiowi przyszyto sprawę kradzieży maszyny do robienia tutek. Zaznaczono, że poprzednio karany nie był. Obciążono sprawę ucieczką z aresztu w komisariacie. I jego sprawę przekazano sędziemu śledczemu. Na razie trzymano ich w areszcie Urzędu Śledczego. Ucieczkę Kazika z rąk hintów pokryto milczeniem, bo kompromitowała agentów.

Miedzy aresztem a wolnością zakrążyły grypsy. Wynosili je bezinteresownie blatni chłopcy, wynosili za łapówki i „męty” pilnujący aresztu. Kazik napisał, żeby do niczego się nie „pucowali”. Że sypnął ich „Manida”. Że chłopaki robią, co mogą, aby im pomóc.

Złodzieje mieli w Urzędzie Śledczym swego informatora „hint”. Opłacano go dość dobrze i stale powiadamiał blatnych o wszystkich posunięciach „legawych”. Lecz nie zawsze wszystko wiedział i nie zawsze mógł uprzedzić. Natomiast pomagał wydobyć blatnych za łapówki.

* Wykorzystanie przez złodzieja chwili opuszczenia mieszkania przez właściciela.

Agent ten — którego nazwiska nie podam — miał kontakt tylko z Żabą i Jankiem Żółtym Zębem. On właśnie wyjaśnił sprawę nalotu na melinę Moreckiego. Żaba i Janek ściągnęli „wystawnego” Kazika i odbyła się „dintojra”. Tym razem tajna. Dowody były oczywiste i zapadł wyrok śmierci na Mamidę. Zaczęto opracowywać wykonanie go. Kazik proponował, że jako „wystawny” przyjdzie na melinę Mamidy i sprzątnie go. Żaba się nie zgodził. Chodziło mu o to, żeby Mamida powiedział, któremu z hintów daje informacje. Tego informator Żaby i Janka — agent Urzędu Śledczego nie chciał powiedzieć. A złodzieje nie nalegali, bo cenili solidarność zawodową, nawet u znienawidzonych przez świat przestępczy, hintów.

Żaba, mimo niepozornej powierzchowności, był „prezydentem” i „sędzią” złodziei miasta Mińska w owych latach. Do godności tej wyniosła go, zgodna opinia firmowych blatnych miasta. Uzyskał ją jedynie za niezłomny charakter i wielką moc ducha. W świecie złodziejskim, jak i w świecie więziennym, nie można polityką zdobyć stanowiska i respektu. Tam każdy członek zajmuje takie miejsce, jakie mu się należy według jego zalet duchowych. W świecie ludzi uczciwych brudna szmata i nędzarz duchowy, szwindlem i podłością, może zdobyć władzę nad ludźmi i autorytet. W świecie podziemnym jest to niemożliwe.

Nazajutrz rano Żaba zawołał do siebie Tośkę Srokę. Naradzali się przeszło godzinę czasu. Tegoż dnia Tośka długo krążyła w pobliżu meliny Mamidy. A gdy złodziej wyszedł na miasto, niby przypadkiem z nim się spotkała. Poszli razem na rynek, a potem na obiad. Tośka była zalotna i Mamida topniał z zachwyty w jej sprytnych rączkach. Doliniara wyznaczyła mu randkę w Gubernator-

skim Ogrodzie, w alei, w pobliżu ulicy Wesołej. Mieli tam się spotkać o 8-ej wieczór i iść razem do kina.

Mamida stawiał się punktualnie. Tośki jeszcze nie było. Złodziej przechadzał się aleją. Dookoła panował mrok. Wiatr szumiał w gałęziach. Liście drzew szeleściły pod nogami.

W pobliżu Mamidy ukazała się postać ludzka. Gdy się zbliżyła o dwa kroki, Mamida zobaczył nie spodziewaną bogdanę, a włamywacza Pawła Czortę. Czort był słynny ze swej kolosalnej siły fizycznej i choć na to nie wyglądał, dokonywał często niesamowitych wprost rzeczy.

— A ty co tu robisz? rzekł, jakby zdumiony, Paweł.

Mamida trochę się zmieszał.

— Ot tak sobie, przechadzam się.

Paweł wyciągnął ku niemu dłoń i gdy wziął rękę Mamidy, podaną na przywitanie, już jej nie puścił.

— Czego ty chcesz?! — zawołał strwożony Mamida.

— Milcz, kurwo! — odezwał się Paweł i cicho gwizdnął.

Z pobliskiej ławki, niewidzialni w ciemności, podnieśli się Janek Złoty Ząb i Filip Łysy. Zbliżyli się do Mamidy i Czortę. Poszli grupką w kąt ogrodu, między frekiem, a ulicą Dołgobrodzką. Tam byli jak w lesie. Zresztą o tej porze, w taką pogodę, cały olbrzymi ogród był pusty.

Mamida wiedział, że sprawa jego stoi kiepsko. Zrozumiał, że Tośkę puszczono na niego „na wabia”. Dostrzegł w ręku Janka pistolet. Ale i teraz zaczął się wykręcać.

— Co wy chcecie, chłopaki?... Ja taki blatny

jak i wy... Mnie Kazik „po złości” obgadał... A Mańce ja całą dolę oddam...

Złodzieje nie odpowiadali. Tylko Czort, wykreślił mu mocniej rękę i rzekł: „Cicho bądź!”.

Przyszli w róg ogrodu. Tam kazano Mamidzie klęknąć. Janek zwrócił się do niego:

— Jeśli powiesz, któremu psu wskazałeś melinę Kazika, darujemy ci życie i wynoś się z Mińska. Żeby noga twoja tu nie stała. Jak nie — zaraz ciebie na giemzę przerobimy.

Mamida milczał. Pośpiesznie gorączkowo myślał:

...Jeśli powiem, tom kapuś... nie: machą w makówkę...

I powiedział:

— Sińcow...

— Aha! — odezwał się Janek. — Tego się spodziewałem. Dobra żmija.

Janek błysnął pistoletem. Padły dwa strzały i Mamida osunął się na ziemię. Wbrew zasadom, złodzieje słowa tym razem nie dotrzymali.

Z powodu dintojry nad Mamidą opowiem pewną drobną sprawę, która co prawda nie ma żadnego związku z akcją powieści, ale uważam za charakterystyczny szczegół życia.

Był w Mińsku drobny złodziej Ciamaga. Okradał składziki, piwnice, małe sklepiki na peryferiach. Ciamaga prawie zawsze robił w pojedynkę. Miał pasera Nochima, bardzo podłego, chciwego i chytrego, lecz mimo wszystko stale trzymał z nim sztamę i jemu opylał facjenta z blatu. Pewnego razu Nochim powiedział Ciamadze, że da mu połowę

pieniędzy, a na drugą połowę da „ksibę”^{*)}). Na tym stanęło. Nochim dał Ciamadze prócz pieniędzy ksibę na 3.000 ostrubli.

Wkrótce Ciamaga wpadł. Ksiba ocalała i złodziej przesłał ją z „kicza” żonie, aby podjęła pieniądze, lecz paser odmówił. Powiedział, że pieniądze wypłaci tylko Ciamadze. Żona złodzieja poskarżyła się blatnym. Sprawa doszła do Żaby. Żaba udał się na Łogojski trakt do rabina Mewdocheja. W jego właśnie rejonie mieszkał paser.

Żaba znał dobrze język żydowski i chociaż rabin mówił po rosyjsku i polsku, rozmawiali po żydowsku. Rabin wysłuchał złodzieja i kanał melamedowi, który po nauce dzieci miał wolny czas, wezwać do niego Nochima. Żabie kazał przyprowadzić żonę Ciamagi i przynieść ksibę.

Po godzinie odbyła się rozprawa u rabina. Paser był zaskoczony. Rabin postawił sprawę krótko i ostro. Wiem z opowiadania Żaby, że rozprawa miała następujący przebieg:

— Ty pisałeś tę ksibę na 3.000 rubli.

— Tak.

Rabin się zwrócił do żony Ciamagi:

— Ty jesteś żoną tamtego człowieka, któremu Nochim wypisał ksibę?

— Tak.

Rabin znów zwrócił się do pasera:

— Czemu ty nie oddałeś jej pieniędzy?

— Mogę oddać pieniądze temu, komu dałem ksibę.

— Ksiba nie imienna. Pieniądze mógł podjąć każdy, kto ci zwróci ksibę. A tym bardziej żona, której zabrano teraz męża.

* Kartka, zobowiązanie, « gryps ». Złodzieje mówią: ksiba.

— Ja mam prawo wypłacić pieniądze tylko Ciamadze.

— Prawo masz, ale racji nie masz. Jeśli ty jej dzisiaj nie wypłacisz tych pieniędzy, to niech do mnie przyjdzie jutro, ja jej te pieniądze oddam za ciebie. Jest to biedna i nieszczęśliwa kobieta; nie wolno jej skrzywdzić.

Taki zapadł wyrok rabina. I chociaż paser poprzednio się „stawiał”, wypłacił tegoż dnia pieniądze żonie Ciamagi.

XIV.

WIĘZIENNE MURY Z KAMIENIA.

W wodzie, w powietrzu, w lesie wszystko jest prawdziwe. Rekin jest rekinem, orzeł orłem, wilk wilkiem. Jeśli rekin zacznie udawać płótkę — nikt mu nie uwierzy. Wilk też nie będzie udawał wiewiórki. A w życiu społecznym, szakał z powodzeniem udaje wiewiórkę i wszyscy się zachwycają: patrzcie, co za śliczna wiewióreczka!

Spółczeństwa nasze dziwnie są ukształtowane. Brudne szmaty, nędzarze duchowi często odgrywają rolę pierwszorzędną i są wyrocznią. W kryminale to się nie uda. Tam człowiek może zająć jedynie takie miejsce, jakie mu się należy. Wchodząc do celi więziennej człowiek zostawia za murami całą tę broń, która mu pozwalała, wbrew naturze, zajmować niewłaściwą pozycję. W celi więziennej i w więzieniu, więzień ma takie miejsce, jakiego jest wart. Tam o pozycji nie decyduje siła charakteru i woli. Tam życie — jak zegarmistrz układa wszystkich na właściwe miejsca. Administracja więzienia może wyznaczyć więźniowi oddział i celę. Stanowisko wśród więźniów określi jego charakter.

Naturalnie, że elitą więzienia są zawodowi prze-

stępcy. Oni też odgrywają tam decydującą rolę i od nich często zależy los więzienia. Zawodowi przestępcy stanowią tam czynnik polityczny, z którym muszą się liczyć wszyscy i więźniowie, i administracja.

O tym obszernie napiszę w książkach specjalnie poświęconych temu życiu. Tu tylko wzmianka — aby powyższe nie było opacznie zrozumiane. Frajer w więzieniu nie jest szykanowany przez kolegów więźniów. Nie mają do niego zaufania, z jego opinią się nie liczą, lecz jeśli okaże moc ducha i solidarność, będzie szanowany nadzwyczajnie — lepiej może niż za te cechy szanowaliby go na wolności.

Czynnikiem decydującym w więzieniu są nie setki i nie dziesiątki więźniów, a często tylko kilku. Czasem administracja — prowadząc swoją politykę — w walce z nimi jest bezradna. Ich wpływ na resztę więźniów jest tak ogromny, że nie da się go usunąć. Były wypadki, że administracja starała się zniszczyć jednego z takich dyktatorów więziennych. Często był to chory, słaby fizycznie człowiek. Wówczas wybuchały „bez powodu” bunty, które czasem krwawo się kończyły. Administracja więzienna tych rzeczy unika, gdyż poważnie jej szkoda. Więźniowie „prawdziwi” nie „skaczą” niepotrzebnie do oczu: „Są więzienia — musi być i władza w nich”, lecz strzegą swych praw i w swoim środowisku pilnują dyscypliny. Los „kapusia” jest godny pożałowania.

Więzienie mińskie cieszyło się dobrą opinią. Cele były jasne — o olbrzymich oknach. Miały legematy (spuszczane na noc pojedyncze pryzce). Nie było przepełnienia. Było obliczone na 500 więźniów i tyle mniej więcej siedziało w nim pensjonariuszy.

Więzienie zajmowało podłużny, trzypiętrowy, z czerwonej cegły zbudowany gmach. Dookoła otaczał go wysoki ceglany mur. Kancelaria mieściła się przy bramie od ulicy Sierpuchowskiej. Tamże był pokój do „widzenia się” z odwiedzającymi więźniów.

Wewnątrz więzienie miało trzy oddziały: dolny, średni i górny — według pięter. Na dolnym i górnym piętrze siedzieli mniej poważni więźniowie: małodeterminowi, po wyrokach, lub siedzący za drobne przestępstwa. Na średnim, skąd ucieczka była najtrudniejsza, siedzieli poważniejsi przestępcy. Administracja umiała sprytnie ich klasyfikować. Czasem recydywista, który wpadł za drobną kradzież, albo był skazany na blahy termin, siedział na średnim korytarzu. Natomiast chłop, którego więziono za morderstwo, lub skazano na 6 lub 10 lat, siedział na dolnym korytarzu i nawet brano go do pracy. Funkcje korytarzowych posługaczy pełnili prawie wyłącznie złodzieje. Wówczas nie było nieporozumień przy dzieleniu zupy i chleba. Bo tacy korytarzowi mieli respekt u frajerów i byli „swoimi” chłopakami u elity więziennej.

Jasia ulokowano na średnim oddziale. Zaszkodziła mu ucieczka z aresztu i współnictwo z recydywistą, Baranem. Siedzieli w różnych celach, jednak łatwo mogli nawiązać kontakt przez grypsy i na gębę — przez swoich chłopaków — korytarzowych. Jeszcze w Ekspozyturze Śledczej wspólnicy opracowali zeznania i trzymali się ich nadal.

W celi Nr 3 Jaś zastał Balerona, z którym razem był na grandzie. Było tam jeszcze dwóch blatnych chłopaków: Dawidka, który siedział za włamanie się do sklepu i Zycher. Zycher w żargonie złodziejskim znaczy pewnik, na pewne. Złodzieja tak naz-

wano, bo mówił wciąż, że robi tylko „na zycher”. Był specjalistą od okradania żebraków. To może dziwne, lecz Zycher doskonale na tym zarabiał i nie wpadał. Teraz siedział na lewo. Wziął go przyczyn na Sierebrance. A ponieważ miał przy sobie sporo pieniędzy i nie mógł się wykazać legalnością ich pochodzenia, zagarnięto go na Sierpuchowską. Tam rozpoznała go na konfrontacji służąca jakichś państwa, u których skradziono ze strychu dużo bielizny. I Zycher miał siedzieć za „pajęczynę”, której nie wziął.

Specjalność swoją obrał przypadkowo. Frajerzy „nadali” mu żebraka. Zapewniali, że ma dużo pieniędzy. Żebrak mieszkał na skraju miasta, w nędznym mieszkanku. Robotę „wystawić” było łatwo i Zycher, gdy żebrak udał się na swoją robotę, zabrał się do pracy w jego mieszkanku. Czasu miał dość, więc dokładnie zbadał cały pokój i kuchenkę. W sienniku znalazł kilkanaście tysięcy ost-rubli, kilka tysięcy carskich banknotów i trochę „kierenek”. A w kominie wymacał blaszane pudełko. W nim było dużo srebrnych monet i około tysiąca rubli w złocie. To wszystko stanowiło znaczną sumę. Zycher dał 20% nadawcy roboty i odtąd zaczął się specjalizować w okradaniu żebraków. Wystawiał tylko fachowych, znanych żebraków i prawie zawsze trafiał dobre „kusze”. Jego klienci nigdy nie meldowali strat na policję, ani nie opowiadali o nich innym, nie chcąc się przyznać, że z żebraniny zbijali większą gotówkę. Więc Zycher pracował na pewniaka i bezpiecznie.

W celi Nr 3 siedziało siedemnastu ludzi. Tyle, ile było legematów. Resztę stanowili mniej znani złodzieje, kilku dyletantów i trzech frajerów. Ulu-

bieńcem celi był Dawidka — młody, wesoły, dowcipny Żydek. Wśród złodziei nie ma szowinizmu. I Dawidka miał tam wśród chłopaków taką pozycję, jaka mu się należała, jako firmowemu, charakternemu chłopakowi. Podkpiwano z jego głupiej wyspy, lecz nigdy nie krzywdzono go, chociaż był mały i fizycznie słaby.

Dwa razy w tygodniu z wolności przyjmowano dla więźniów podania, czyli „peredacze”. Złodzieje wszystkim się dzielili równo. Frajerów pomijano i od nich nie brano nic. Zostawiano eksploatację ich korytarzowym, którzy bez skrupułów „myli” frajerów.

Jeśli któryś frajer nie otrzymywał pomocy z wolności, a był solidnym więźniem, to złodzieje mu pomagali. Robili to niedbale — z litości. Lecz nie pozwalali głodować towarzyszowi w celi, jeśli sami mieli dość. Natomiast, jeśli dostrzegali, że frajer jest fałszywy, przekorny, to potrafili mu zatruć życie. Nie pomagały skargi i przeniesienia do innej celi. Nawet pogarszało to sytuację frajera, bo za nim szedł „cynk” i przyjmowano go gdzie indziej szczególnie wrogo. Czasem zaliczano go nawet do kapusi. Wówczas los jego był okropny. Administracja nie wiedziała, gdzie takich podziać, aby uchronić od prześladowań.

Tego dnia, gdy Jasia wrzucono do celi, kolację dano dobrą. Grochówka. Więźniowie jedli po czterech z miedzianych „baczków”. Zawsze się dobierali „swoi” razem. Tuż obok siebie spali. Im korytarzowi nalewali więcej jedzenia z kotłów. Po kolacji frajery sprzątnęli na rozkaz starosty — był nim Baleron — celę i wymyli naczynia. Do apelu była jeszcze godzina czasu.

Dawidka siedział na oknie i śpiewał złodziejską piosenkę.

Dwunasta godzina. Złodziej się zbiera.
„Statki” do kieszeni. Spólnika zabiera.

Hej! dyk-dyku-dyk... czarna krowa,
biały byk.

Hej! dyk-dyku-dyk... czarna krowa,
biały byk!

Baleron, Zycher i Jaś rozmawiali, siedząc na parapecie. Jaś opowiadał im nowiny z wolności i z Urzędu Śledczego. Chociaż więzienie ma zawsze kontakt z wolnością i wie, co tam się dzieje, jednak Jaś wiedział wszystko obszerniej i dokładniej.

Mrok ogarniał celę. Wszystkim było smutno. Te wieczorne godziny nasuwały różne myśli i wspomnienia. Włościwie złodzieje na wolności rozpoczynają żyć wieczorami.

Przyjechali do pasera. Na starą melinę.
Dawaj wódki dawaj piwa i klawę*) dziewczynę

Hej! dyk-dyku-dyk... czarna krowa,
biały byk!

Hej! dyk-dyku-dyk... czarna krowa,
biały byk!

Wreszcie na średnim korytarzu zaczął się apel. Więźniowie stanęli szeregiem — od drzwi wzdłuż celi. Starosta zameldował stan ilościowy więźniów w celi. Obliczono ich. Sprawdzono niedbale kraty u dwóch okien. Potem trzeba było czekać, aż „pro-

* Zgrabną, ładną; morową. Nie mieszać z wyrazem: klawisz—klucz; a czasem — dozorca.

wierka" przejdzie cały oddział. Dopiero wówczas spuszczano legematy, opierając je na kozłach i zaczęto układać się do snu.

Ta wieczorna godzina była najlepsza. Kończył się długi, bezmyślny dzień. Nadchodziła długa noc. We śnie więzień mógł opuścić mury więziennicze i... żyć...

W więzieniu wiedziano, że się zbliża ku miastu front bolszewicki. Raczej Niemcy bez walki opuszczali wschód i wycofywali się ku miastu.

Większość więźniów niecierpliwie czekała przyjscia bolszewików. Wierzano, że rozpuszczą więźniów, lub przynajmniej dadzą dużą amnestię. Pamiętali, że po rewolucji, na początku 1917 roku, zwolniono wszystkich więźniów. Spodziewano się, że i teraz to się powtórzy. Tylko starzy, firmowi złodzieje nie ufali „towarzyszom” i nie dobrego po nich się nie spodziewali.

W celi 7-ej, gdzie siedział Baran, było najwięcej takich asów świata podziemnego. Gdy posłyszeli, że nadchodzą bolszewicy, nawiązali regularny, niezawodny kontakt z wolnością. Chodziło im o to, aby znać dzień, w którym Niemcy opuszczają miasto. Ustalono, że w tym dniu jednemu z więźniów ich celi, podadzą z wolności duży biały ser i duży bochen chleba. Więzień był ze wsi, a więźniom zamiejscowym, którzy nie mogli regularnie korzystać z „podawania” żywności, można było przysyłać żywność o każdej porze dnia.

Cela 7-ma średniego korytarza zaczęła szykować masową ucieczkę. Złodzieje woleli nie czekać na zwolnienie ich przez bolszewików, a własnymi siłami zdobyć wolność. Między celami, wśród swoich chłopaków, zakrażyły grypsy. Frajerów w to nie wtajemniczano. Nie ufano im. Natomiast blat-

ni całego średniego korytarza wiedzieli, że przygotowuje się ucieczka. Mówili o niej między sobą, tak żeby inni więźniowie nie wiedzieli o co chodzi. Mimo to wyczuwało się, że nadchodzi coś ważnego. Nastrój więzienia był trwożny. Udzielało się to wszystkim.

W tym czasie wpadli razem na robocie Janek Żłoty Żąb i Ignacy Kulikowski. Osađono ich na średnim korytarzu, w celi Nr 7. Była to cela przeznaczona prawie wyłącznie dla znanych administracji więzienia recydywistów. Woleli mieć ich razem — na oku. Wsadzano tam czasem i kapusi dla obserwacji. Lecz nie długo tam byli. Złodzieje umieli ich się pozbyć. Natomiast tolerowali uczciwych frajerów.

W celi Nr 7 na piętnastu ludzi, było jedenastu złodziei. W tej liczbie Baran, Ignacy i Janek Żłoty Żąb. Przybycie kolegów z wolności ostatecznie przesądziło sprawę zamierzonej ucieczki. Wypracowano następujący plan opanowania więzienia.

W czasie rozdawania jedzenia — to jest trzy razy dziennie — dozorca oddziału wypuszczał z cel czterech więźniów do pomocy dwóm korytarzowym. Razem szli na dół do kuchni i przynosili zupę, lub — rano — wrzątek. Według tradycji korytarzowi wskazywali zawsze cele złodziejów. I zwykle łatni załatwiali tę funkcję. A jednocześnie załatwiano sprytnie wiele innych spraw: wymianę rzeczy na tytoń do palenia, wysyłanie i odbieranie grypsów. Przesyłano grypsy nawet do kobiecego więzienia przy ul. Gruszeńskiej. Dozorcy wiedzieli, że ta pomoc złodziei nie jest bezinteresowna, lecz tolerowano ją dla „świętego spokoju”. Gdy brano frajerów do tej funkcji, to zwykle powstawały kłótnie i nieporozumienia w trakcie rozdawania jedzenia. Natomiast złodzieje dając lepszą zu-

pę swoim chłopakom, frajerom dzielili ją zupełnie sprawiedliwie. I nie było żadnych kwestii, bo frajerzy nie odważali się skarżyć.

Pierwszy oddział (dolny) z drugim łączyły duże żelazne schody. U wlotu ich była olbrzymia oszklona krata, a w niej drzwi. Tak samo łączył się drugi oddział z górnym. Postanowiono, że na znak z wolności, że Niemcy opuszczają miasto korytarzowi wypuszczą czterech chłopaków z 7-ej celi, pójdą wraz z dozorcą do kuchni. Tam w sześciu zabiorą dozorcę klucze, zwiążą ich, zakneblują usta i pójdą na pierwszy oddział. Tam unieszkodliwią dozorcę z 1-go oddziału i wszystkich trzech wsadzą do karceru na 1-szym oddziale. Potem poniosą kotły z jedzeniem na trzeci oddział. Tak samo unieszkodliwią tam czwartego dozorcę. W ten sposób będą mieli więzienie do dyspozycji.

Po opanowaniu więzienia mogło z niego łatwo wydostać się około 10 więźniów. Zwykle po śniadaniu, obiedzie i kolacji wynoszono cebry do mycia na dziedziniec, przy łaźni. Tam szorowało je dwóch przeznaczonych do tego więźniów. Nie zwracano na nich uwagi, bo tych, których dozorca wypuszczał z gmachu do pracy, uważano za bezpiecznych.

Następnym zadaniem było unieszkodliwienie dozorecy przy łaźni i pralni, co łatwo można było zrobić pod jakimś pretekstem, wchodząc do tych ubikacji, zwykle otwartych w ciągu dnia. Gorzej było ze ściągnięciem dozorecy „obchodowego”. Ale i to można było załatwić, bo zawsze zbliżyłby się do więźniów, gdyby go zawołali do dozorecy w pralni. Budynek ten był niewidzalny z okien kancelarii. To ułatwiało sprawę.

Teraz chłopaki z dziedzińca mogły łatwo opuścić więzienie. Wystarczyłoby im przynieść ławki z pralni i zrobić rusztowanie do wejścia na względ-

nie niewysoki dach. Stamtąd wleźć na mur było drobiazgiem. W ten sposób wszyscy więźniowie z dziedzińca mogli łatwo uciec z więzienia, niedostrzeżeni z kancelarii i z wartowni w bramie. Lecz ambicje złodziei sięgały wyżej. Chodziło im o to, żeby wypuścić wszystkich chłopaków. A frajery jeśli chcą, mogą uciekać — lub zostać.

Aby opanować bramę, to znaczy — jednocześnie kancelarię i wartownię, gdzie w dzień prócz personelu administracyjnego, było zwykle 4 - 5-ciu dozorców, trzeba było wejść do bramy. W tym celu dwóch chłopców miało pójść z noszami, wyładowanymi cegłą, do bramy i przed nią czekać. Klucznik zawsze w tych wypadkach otwierał bramę, bo więźniowie pracowali przy sprzątaniu wartowni i kancelarii oraz przy remontach. Gdy furtka w bramie zostanie otwarta, wówczas blatni w liczbie dziesięciu mając 5 pistoletów, rzuciliby się do bramy, rozbroili kilku wartowników i opanowali kancelarię.

W tym czasie wewnątrz więzienia chłopcy mieli otworzyć wszystkie cele i oddziały. Blatni mieli pierwsi zejść na dół i czekać przed drzwiami wyjściowymi na otwarcie bramy i opanowanie kancelarii. Dopiero wówczas złodzieje w bramie mieli otworzyć furtkę drugiej bramy, wychodzącej — na ulicę i — dać znak do ucieczki. Postanowiono, że będą wychodzić nie tłumem, a grupkami, żeby niezbyt prędko zwrócono na to uwagę.

Wszystko było omówione i zorganizowane dokładnie. Role rozdane. O planie tym wiedziało szczegółowo tylko kilkunastu więźniów. O tym, że z odejściem Niemców będzie ogólna ucieczka, wiedziało kilkudziesięciu blatnych. Frajerzy i drobni złodzieje nie wiedzieli nic. Więc nie było komu zdradzić. A administracja więzienia nie wyobrażała sobie nawet, co się knuje wewnątrz gmachu i

co się kryje w oczach i myślach złodziei.

Oczekiwano jedynie na znak z wolności: bochenek chleba i ser. Oczekiwano tego z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Tylko noc przerywała naprężoną atmosferę, którą stwarzał poważny nastrój w celach. Normalny tryb życia więźniów zmienił się. Udawano, że wszystko idzie po dawnemu: żartowano z dozorcami, posyłano grypsy, rozdawano jedzenie, lecz w mózgach tych, którzy decydowali o akeji, nieustannie czaiła się myśl: k i e d y ?

W 7-ej celi w dzień, chłopcy prawie nie mówili. Czekali. Natomiast wieczorem, po apelu, ożywiali się. Wówczas leżąc i siedząc na legematach, w grupie zaprzyjaźnionych więźniów cicho rozmawiali. Dozorcy nie zwracali na nich uwagi. Starali się najmniej dokuczać blatnym, bo to się nie opłacało. „Szukającemu” ich dozorczy blatni zawsze potrafili wypłatać bardzo bolesnego figla. Więc dozorczy przymykali tu oczy na wyłamywania się spod regulaminów. Natomiast surowo przestrzegali porządku i dyscypliny w celach frajerskich.

Tematem rozmów więźniów są przeważnie kobiety, jedzenie, roboty, sprawy więzienne. Światło latarni z dziedzińca więziennego wpadało ukośnie do celi. Rzucało wydłużony prostokąt na część podłogi i ścianę. To rozwidniało nieco celę, w której gwarzyli więźniowie. Jarzyły się ognie papierosów.

Barana zżerała tęsknota za Pawcią. Brakowało mu jej widoku. Myślał o niej nieustannie. Nawet jej zdrada i podłości, które wykrywał tak łatwo, nie zniechęciły go do niej. Gdy patrzył w jej oczy, starając się zrozumieć tę kobietę, czuł w piersi łaskotanie. W blasku jej oczu topniał jego hart i, jak w przepaści, ginęły jego marzenia.

Gdy Olek został aresztowany wysłał z Ekspozytury Śledczej gryps do kochanki przez pewnego

chłopaka. Uprzedził ją o swoim aresztowaniu. Odpowiedziała mu, zapewniając o swej miłości, pisała, że go bardzo żałuje. Wyraziła nadzieję, że wkrótce będzie zwolniony. I to wszystko. Nie wspomniała nic o jego potrzebach. Innym złodziejom kochanki posyłały jedzenie — chociaż niektóre same były w nędzy. Baranem nikt się nie zaopiekował... A przecież Pawce powodziło się doskonale.

Natomiast Jasiowi Marusia Łobowa wciąż posyłała „peredacze”. Co prawda pieniądze dawał na to, choć skąpo, wuj Żardoń, lecz trud był jej. Baran nie głodował, bo blatni żyli zwykle komuną, lecz upokarzało go to, że będąc firmowym złodziejem i mając kochankę, nie otrzymuje od niej pomocy. Zatruiowało mu to wprost życie.

Inni chłopacy mówili o swych kochankach, o ich sprycie, czy urodzie. Baran milczał. Nikt nie słyszał od niego nic o Pawce.

Późno w nocy ucichły w ich celi dyskretnie rozmowy. Więźniowie usnęli. Tylko Olek długo jeszcze nie spał. A gdy usnął, zaraz zaczął pośpiesznie coś mówić. Trudno było jednak zrozumieć sens tych urywanych, niewyraźnych słów.

A nazajutrz dozorca odemknął celę i wywołał na korytarz właśnie tego więźnia, na imię którego z wolności mieli podać chleb i ser — jako znak, że Niemcy opuszczają miasto. Był to wiejski chłop, spokojny, prosty. Nie wiedział wcale, że „peredacza” na jego nazwisko miała spowodować poważne wydarzenia w więzieniu. Nie wiedział nawet, kto o niego tak się zatroszczył.

Gdy wywołano go z celi, blatni spojrzeli po sobie. Spojrzenia te były wymowne bez słów. Czekali powrotu frajera z korytarza. Przecież mógł być wywołany w innym celu. Lecz wkrótce chłop wrócił z korytarza. Niósł duży bochen chleba, pocięty przy

rewizji na podłużne pajdy, a na nim leżał też po-
cięty na kawałki, duży wiejski ser.

„Niemcy opuszczają miasto”.

Celę zaległa cisza.

Chłop nieporadnie rozłożył na stole pajdy chle-
ba, a na nich umieszczał kawałki sera. Starał się
skonstruować tyle porcji, ilu było ludzi. Potem
zwrócił się do celi z nieśmiałym uśmiechem — nie
wiedział, jak mówić do nich. Byli dla niego dobrzy.
Nie krzywdzili. Często nawet dali coś do jedzenia,
gdy sami mieli.

— Proszę chłopaki... Co mam...

Wszyscy, nie śpiesząc się podchodzili do stołu
i brali jedzenie. Zostawili chłopu największy ka-
wał chleba i sera. Wziął go i smutny, jadł.

— Kiedy to człowiek wyjdzie na wolność? —
rzekł z cichą rozpaczą w głosie.

— Dzisiaj! — rzucił mu z kąta celi Janek Zło-
ty Ząb.

Chłop machnął ręką.

— E, gdzie tam... Zeżrą mnie te mury...

Znów celę zaległa cisza.

Było to o godzinie 10-ej rano. Według planu
ucieczka miała się odbyć w czasie pierwszego roz-
dawania jedzenia — po otrzymaniu znaku z wol-
ności. Znak ten otrzymali i jedli. A obiad był zwy-
kle o godzinie 12-tej. Do początku akcji zostały
dwie godziny.

Z sąsiedniej celi dolatywał głos więźnia, który
śpiewał:

Więzienne mury z kamienia,
Ileż młodzieży w nich jęczy!
Czekają chwili zbawienia,
Bo ich tam tęsknota i smutek dręczy!

Cała siódma milczała. Słuchała. A pieśń opadała i narastała. Wreszcie wybuchła śmiałym protestem:

Uszyjmy sztandar z purpury,
Jego unieśmy do góry,
Gdy będą pioruny biły:
Niech biją w więzienne mury!

I pioruny te zbliżały się do więzienia, aby w nie uderzyć... Właśnie spod czerwonego sztandaru... Mało kto to rozumiał. Przeczowało kilku starych blatnych... znawców ludzi i życia...

XV.

GODZINA WOLNOŚCI

W celach był spokój, ale serca były inaczej. Średni, korytarz zamarł. Czekał. Stary złodziej pracujący na korytarzu, Zubiło, obchodził cele. Uchyłał na „judaszach” czarne osłonki i spozierał do cel. Gdy zbliżał się do wizjerki swój chłopak, rzucał mu krótko:

— Jest cynk *).

Wiadomo było o co chodzi. Lecz nie mówiono o tym. Tylko nastrój w celi od razu się zmieniał. Dozorcy dostrzegli tę zmianę, lecz nie znali jej powodów. Przypuszczali, że ma to związek z niepewną sytuacją polityczną. Sami też byli podenerwowani zbliżającą się zmianą władzy w mieście.

Grzyb, olbrzymi, ponury dozorca, miał w tym dniu służbę na średnim korytarzu. Jako dozorca pracował już dwadzieścia kilka lat. Więźniów znał dobrze i mało było tajemnic, których nie wykrył, pracując w więzieniu. Więźniami wogóle pogardzał, lecz błatnych szanował. Niektórych bał się

* Znak. Wiadomość. « Dać cynk » — uprzedzić. « Stać na cynku » — na warcie. « Cynkowane styrki » — znaczone, sfalszowane karty itd.

więcej od naczelnika. Nigdy nie skrzywdził blatnego, nawet wówczas, gdy z obowiązku służby winien był to zrobić. Blatni wiedzieli o tym i szanowali swego ponurego stróża. Chłopaki z siódmej celi żałowały, że ucieczka przypadła w czasie jego dyżuru. Wiedzieli, że będzie odpowiedzialny za to a szkoda im było krzywdzić go.

Siódemka omawiała opracowany już plan ucieczki. Baran, Kulikowski, Janek Złoty Ząb, Szczupak, Warłam i Knot siedzieli na parapecie okna i kozłach. Cicho rozmawiali. Oni właśnie mieli opanować średni korytarz i rozpocząć akcję. Chodziło o rozbrojenie i unieszkodliwienie Grzyba.

— Ja go wezmę „na chomąt” — powiedział Warłam, koński złodziej „skamiejecznik”, znany ze swej ogromnej siły fizycznej.

— Nie — zaprotestował Baran. — Ty staniesz z tyłu. Ja się z nim załatwię. Jakby chciał podnieść „haj” bierz na chomąt, a ja zedrę spluwę.

Baran nie chciał krzywdzić porządnego kluźnika. Z drugim dozorcą, na kuchni łatwo było sobie poradzić. Nie był uzbrojony, był tchórzliwy i słaby fizycznie.

Omówiono wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Warłam zatarł żelazne dłonie:

— Pójdzie robótka!

Janek Złoty Ząb krążył po celi jak tygrys po klatce. Na policzkach grały mu mięśnie. Coś tam kombinował. Ignacy Kulikowski siedział na parapecie okna i cicho gwizdał. A Baran starannie oczyścił buty. Lśniły jak nowe. Czyścił je i myślał o... Paulince...

Mijały minuty. Dochodziła dwunasta. Ruch w celach zaczął zamierać. Blatni wiedzieli, inni wyczuwali, że nadciąga coś groźnego... Nasłuchiwali...

A na korytarzu królował Grzyb. Zsunął krza-

czaste brwi, beształ korytarzowych, dzwonił kluczami i pluł... Coś mu tam się nie podobało...

„Wymyślili jakąś hecę... Ale co?”.

Cicho.

Z dołu Świerszcza krzyknął cienko:

— O-bia-ad!

Korytarzowi rzucili porządkowanie oddziałów i poszli w kierunku drzwi z oddziału. Tam stanęli przy stoliku, nad którym wisiała duża czarna tablica: „Stan więźniów”.

Grzyb wstał od stołu, gdzie sprawdzał spis więźniów śledczych, który nie zgadzał się z ich liczbą na desce. Błysnął głęboko ukrytymi w cza-szce oczami po twarzach korytarzowych. Mieli łagodnie i ciche minki.

„Cholera!”.

— Siódma idzie? — spytał stereotypowo.

— Siódma, panie dozorczo — potwierdził usłuszenie jeden z korytarzowych.

Grzyb splunął i dzwoniąc kluczami poszedł ku celi. Rzucił okiem po celach. Nasłuchiwał. Cicho.

Ruchem, który był niezawodny, bo miliony razy go powtarzał, odemknął celę.

— Po obiad!

Janek Złoty Ząb wyszedł pierwszy. Był tuż przy drzwiach. Potem wyszli Baran, Warłam i Ignacy Kulikowski.

— Dziś pewnie obiad z dwóch dań — próbował żartować Kulikowski.

— Na drugie: smażone uszy i nogi od ryby — powiedział Janek.

Baran był spokojny jak zawsze. Warłam wciąż ziewał.

Grzyba to nie uspokoiło. Lecz i on umiał zamykać nie tylko drzwi, lecz i myśli.

— Jazda do kuchni!

I sześciu więźniów z jednym dozorcą ruszyło w dół schodami. Zostawili milczący oddział. Grzyb odpiął klapę futerału od rewolweru. A klucze przełożył do lewej ręki. Wówczas Baran jednym szybkim ruchem wyrwał mu rewolwer z kobuzu. Cofnął się w tył i powiedział do dozorecy:

— Dajno klucze!

Teraz Grzyba załapała krew.

— Jakim ty prawem...

— Dziś nasze prawo... Weź mu klucze...

Warłam chciał wyjąć dozorecy z dłoni klucze. Lecz tamtem chwycił je obu rękami.

— Nie dam... Przysięgę złożyłem...

Dozorca wiedział, że nie poradzi. Lecz był uczciwy i wierny służbie. Walcząc nie krzyczał, aby nie zmusić blatnych do mordu. Obezwładniono go i zabrano klucze.

— Nie kneblować... rzucił Baran i zostawiając go na schodach pod opieką Szczupaka i Knota poszedł w dół, do kuchni, z resztą chłopaków. Rewolwer dozorecy miał ukryty na brzuchu, klucze niósł w rękawie marynarki.

Kuchnia tonęła w obłokach pary z kotła. To jeden z blatnych kucharzy przygotował teren do pracy.

Świerszcza, który o niczym nie wiedział „zgaszono” workiem. Nie zorientował się nawet kto to zrobił. Więźniowie — dwunastu teraz — wzięli sześć nalanych zupą cebrów i ruszyli na I — szy, oddział. Zwykle zostawiali tam 4 kotły. Dozorca, jak zawsze, widząc tę procesję, odemknął drzwi. Ale po chwili poczuł, że jest w ciemności i leci w górę. Spróbował krzyknąć, lecz krzyk się urwał. Rozbrojono go. Zabrano klucze. Wówczas Baran otworzył pusty karcer w końcu korytarza i zanie-

siono tam wszystkich trzech dozorców. Karcer zamknięto.

W ten sposób więźniowie opanowali kuchnię i dwa oddziały.

— Rozdawać obiad. Z cel nie wypuszczać! — rozkazał Baran i wręczył klucze z pierwszego oddziału i jeden z dwóch rewolwerów Jankowi.

— O... bia... ad! — krzyknął jeden z korytarzowych i pierwszy oddział ożył. Poszedł w ruch więzienny młyn, który przedtem zamarł. Janek Żłoty Zęb otwierał cele i, niewidzialny dla więźniów z celi, pozostawał na korytarzu. Posługacze wnosili ceber do celi i rozdawali zupę.

Tymczasem blatni, w ten sam sposób, uruchomili wolny już drugi oddział. Tam rolę dozorca przy otwieraniu drzwi na obiad, objął Ignacy Kulikowski.

Baran, Warłam, Szczupak, Knot i dwóch posługaczy z kotłami w rękach ruszyli na trzeci, górny oddział. Tam też „zgaszono” łatwo dozorcę. Rozbrojono go, odebrano klucze i zaczęto rozdawać obiad. Zrobiono to w tym celu, aby z zewnątrz — z kancelarii przede wszystkim — wszystko wyglądało jak zwykle. Więźniowie jedzą, siedząc na parapetach. Chodzą. Wszystko w porządku.

Dopiero gdy opanowano wszystkie oddziały, zaczęto otwierać cele.

— Kto chce uciekać: wychodźcie! Kto zostaje — siedzieć cicho! Ani słowa!

Blatni zaczęli pośpiesznie opuszczać cele. Schodzili w dół i grupowali się, koło drzwi wyjściowych. Frajerów zeszło mało. Może dziesiąta część. Reszta, przerażona tym, co się dzieje, została na miejscu. Niektórzy dygotali ze strachu. Inni się modlili. Lęk pełził po więzieniu i zalał je.

Tymczasem na dole pośpiesznie szykowano ce-

bry, z którymi chłopaki zamierzały wyruszyć z gmachu więzienia w kierunku pralni. Dalszy ciąg miał się odbyć w ciągu kilku minut. Wszyscy rozumieli, że zbliżają się minuty decydujące o ich wolności. Panowała cisza.

Z drugiego oddziału jedne drzwi prowadziły do cerkwi. Otwierano je przeważnie na nabożeństwa. Opanowując oddział, blatni nie zwrócili na nie uwagi. Tymczasem wewnątrz był dozorca który pełnił zwykle obowiązki starosty cerkiewnego. Porządkował tam nieduży lokal. Z początku nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na korytarzu. Myślał że to normalny ruch na oddziale. Lecz w pewnej chwili zdziwiło go tupotanie wielu nóg i przyciszzone głosy. Chciał wyjść na Korytarz i zobaczyć, co tam się dzieje. Zbliżył się do drzwi. Ale przez chwilę nasłuchiwał. Wystarczyło kilkunastu sekund, aby zrozumiał, że więźniowie wydostali się z cel i gospodarzą w więzieniu.

Dozorcę ogarnął strach. Drżącymi rękami zamknął z wewnątrz drzwi na zasuwkę. Znał wyjście z cerkwi na strych więzienia. Było zamknięte na kłódkę, a klucza od niej nie miał. Sporo czasu stracił, dopóki wyłamał dość mocny skobel. Wydostał się na strych, a stamtąd na dach. Widział z dala ulicę. Krzyżeć nie mógł, bo się obawiał, że więźniowie to posłyszają wcześniej niż administracja w kancelarii i mogą do niego się przedostać i zamordować.

Po namyśle zaczął się rozbierać. Zdjął z siebie koszulę. Włożył znów mundur i z trudnością wlaź na wysoki komin. Tam stanął i zaczął rozpaczliwie wywijać w powietrzu koszulą. Sygnały nie szybko dostrzeżono, lecz dostrzeżono. Jakiś starszy pan z żoną szli przeciwległym chodnikiem, ul. Sier-

puchowskiej. Stanęli, gapiąc się na więzienie. Wtem żona rzekła do męża.

— Patrz, patrz!... Tam na dachu... Co to: wariat?!

Mąż się przyjrzał.

— Rzeczywiście... Ale to przecież więzienie, a nie dom wariatów!

Zorientowali się, że to nie na próżno. Że człowiek z dachu stara się uprzedzić o czymś ludzi na zewnątrz.

— A może więźniowie uciekają? — wyraził przypuszczenie mąż. — Trzeba zobaczyć... Powiedzieć...

Ruszył ku zamkniętej bramie więzienia.

— Nie idź. Jeszcze ciebie tam zamordują! — hamowała go żona.

— Wszystko jedno... Jak wydostaną się, to mogą całe miasto wyróżnać... Toż kryminaliści!... Mój obywatelski obowiązek...

I ruszył ku bramie. Tam zapukał w okienko.

W ciągu kilku sekund w kancelarii zorientowano się w sytuacji. Chwycono za broń. Zamknięto „na głucho” bramę od strony dziedzińca. Zadzwoił telefon.

Niemcy nie opuścili jeszcze miasta. Większa część garnizonu wyszła, lecz jeszcze sporo zostało. A bolszewicy nie śpieszyli się z opanowaniem Mińska.

W kilka minut po alarmie z więzienia, do bramy podjechały dwa pancerne auta. Było w nich kilkudziesięciu żołnierzy niemieckich. Otwarto porty bramy i auta wolno wpłynęły na dziedziniec więzienny. Tymczasem mury otoczył inny zbrojny oddział niemiecki, który przewieziono tu autami ciężarowymi.

Wewnątrz więzienia, naprzeciw drzwi wyjścio-

wych, zgromadziło się w korytarzu i na schodach stu kilkudziesięciu więźniów. Szykowano się do wyjścia z budynku na dziedziniec i opanowania kancelarii. Kotły już zniesiono. Rozmawiano przy-ciszonymi głosami. Więźniowie, nie należący do wyprawy, stali po bokach korytarza, aby nie tamować przejścia.

W pewnej chwili z zewnątrz rozległ się warkot motorów. Narastał. Zbliżał się.

Wszystko zamarło w bezruchu.

Cisza. Dziwne, że nie słysząc, jak się tłuką trwoźnie serca.

— Szocher! — rzucił ktoś.

— Poruta! — wyrzeźbił Warłam i wyjął zza pasa rewolwer.

Wtem z zewnątrz lekko, wesoło zaterkotał karabin maszynowy i serią kul pieśczośliwie skropił więzienie. Powstała panika. Więźniowie z tyłu zaczęli uciekać w głąb korytarzy. Chowali się po celach. Na dole zostało tylko kilkunastu blatnych.

Baran pośpiecźnie zamknął otwarty zamek drzwi i założył na nie potężne haki.

Znów się odezwał karabin maszynowy. Z zewnątrz dochodziły głosy otaczających więzienie ludzi.

Blatni zaczęli się naradzać co robić.

Ignacy Kulikowski, mały zadzierzysty, zdenerwowany, z pałającymi oczami, gorąco przekonywał:

— Chłopaki, brońmy się! Zabarykadujemy workami z mąką drzwi. Mamy kilka rewolwerów. Żarcia wystarczy i na tydzień. Niech spróbują nas wziąć... Możemy bronić oddział po oddziale... Niech frajerstwo połamie zęby!

— I co z tego będzie? — ponuro rzekł Szczupak.

— Nie nie wybronimy. W więzieniu przecież jesteśmy — dodał Knot.

Warłam ponuro milczał. Baran uważnie obserwował twarze kolegów.

Janek Złoty Ząb powiedział:

— Ja bym się bronił i sam, ale po co?

— Po to, żeby nie katowali nas. I sprawy zrobić, wszystkim! — gorączkował się Ignacy.

— Za dużo nas jest — odezwał się Knot. — Dużej sprawy nie będzie. I w kość nie dostaniemy, jak sami się poddamy. Nikogośmy nie ukałrupili.

Baran widział, że zgodnej decyzji nawet tu nie ma. A cóż będzie za dzień, gdy rozpoczną otwartą walkę, a może i zabiją kilku z oblegających ich ludzi. Przy tym mieli po celach kilkuset więźniów, których musieli skazać na głód.

Z zewnątrz zbliżono się do drzwi. Rozległ się głos, w rosyjskim języku:

— Jeśli odemkniecie drzwi ukarzymy was łagodnie. Jeśli nie, to będzie źle.

— Czekać! Za pięć minut odpowiemy! — odezwał się milczący dotąd Warłam.

— Chłopaki nie otwierać. Brońmy się! — zakliwał Ignacy.

— I co z tego, wariacie?! — wrzasnął Knot.

— Doczekamy się, aż przyjdą bolszewicy... Wtedy się poddamy. Zwolnią nas, jak zwolnili wszystkich w 1917 roku.

— Tam byli nie bolszewicy... Tam rewolucja zwolniła. Kiereński... — wyrwał się Szczupak.

— Jak chcecie... Pożałujecie...

Baran podniósł rękę.

Nie ma co... Poddamy się... Na bolszewików nie liczcie... Dawajcie tu wszyscy rewolwery i klucze... Sami po celach... Każdy do swojej... Ja odemknę drzwi...

Blatni oddawali Baranowi broń i klucze. Potem szli do swoich oddziałów. Do cel. Nieśli w duszach rozpacz i gorycz. Jedyna ich nadzieja umarła.

Dawidka, który wesoło i śmiało brał udział w akcji, teraz — idąc do celi — płakał ze złości. Jaś był prawie obojętny. Dla niego to wszystko było tylko „ciekawe”. Dotąd robił, co było trzeba. Nie chciał odejść ode drzwi. Bał się o swego mistrza. Ociągał się.

— Idź, no, idź! — powiedział mu Olek.

Korytarz po chwili był pusty. Nie odszedł tylko Ignacy. Stał. Trzymał w dłoni rewolwer i gryzł dolną wargę.

— No!?! — rzucił mu Baran i wyciągnął rękę po broń.

— Zaraz... Do widzenia kolego... Szkoda, że...

Ale nie powiedział, czego szkoda. Przyłożył rewolwer do skroni i wystrzelił. Olek zdążyłby mu przeszkodzić. Wyczuł to. Miał czas. Lecz wiedział, że nie wolno zabierać nikomu nawet takiej „wolności”.

Baran położył rewolwery i klucze na podłodze przed drzwiami i zaczął je otwierać. Usunął haki. Odemknął dużym kluczem zamek i otworzył na oścież drzwi. Spojrzał na buty: czy lśnią i zrobił z boku krok naprzód. Padł strzał, ktoś krzyknął po niemiecku: „Nie strzelać!”.

Olek stał w otwartych drzwiach więzienia, usmiechał się i wytwornym ruchem dłoni zapraszał do środka. Jak gospodarz gości.

Niemiecki podoficer śmiało podszedł do drzwi. Zobaczył broń i klucze na podłodze. Dalej leżał trup więźnia, który wolał stracić życie, niż nawet złudzenie wolności.

Patrzył w dziwną twarz nieznanego mu więź-

nia. Była spokojna pod maską uśmiechu. W oczach był wyraz pogardy.

Przez chwilę milczeli.

Stary podoficer zrozumiał tragizm sytuacji i wielkość tego więźnia. Miał ochotę podać mu rękę. Cenił odwagę nade wszystko. Lecz nie podał. Dręczyła go myśl, o czym ten więzień może teraz myśleć.

A Baran w tej chwili właśnie myślał:

„Co robi Paulinka?”.

Dalszy ciąg w powieści: „Nikt nie da nam zbawienia”.



DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Narodu Polskiego i
Pielgrzymstwa Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

P. HOSTOWIEC: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Prometeusze.*

J. KADEN-BANDROWSKI: *Miasto mojej matki.*

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

SERGIUSZ PIASECKI: *Jabluszką.*

WŁ. REYMONT: *Rok 1794 (Trylogia).*

ANDRZEJ STRUG: *Mogiła nieznanego żołnierza.*

LEON BLUM: *Na miarę człowieka.*

J. CHŁASIŃSKI i J. ULATOWSKI: *Przeszłość i
przyszłość inteligencji polskiej.*

DR TADEUSZ FELSZTYN: *Energia atomowa.*

SERGIUSZ PIASECKI: *Spojrzę ja w okno...*

SERGIUSZ PIASECKI: *Nikt nie da nam zbawienia...*

W D R U K U :

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*

ARTUR KOESTLER: *Krucjata bez krzyża.*

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI: *W oczach pi-
sarzy (antologia noweli wojennej).*

14

10